

Brüster Ort

Kl. 100

Gr. K. H. H. H. H. H.

Gränzbear

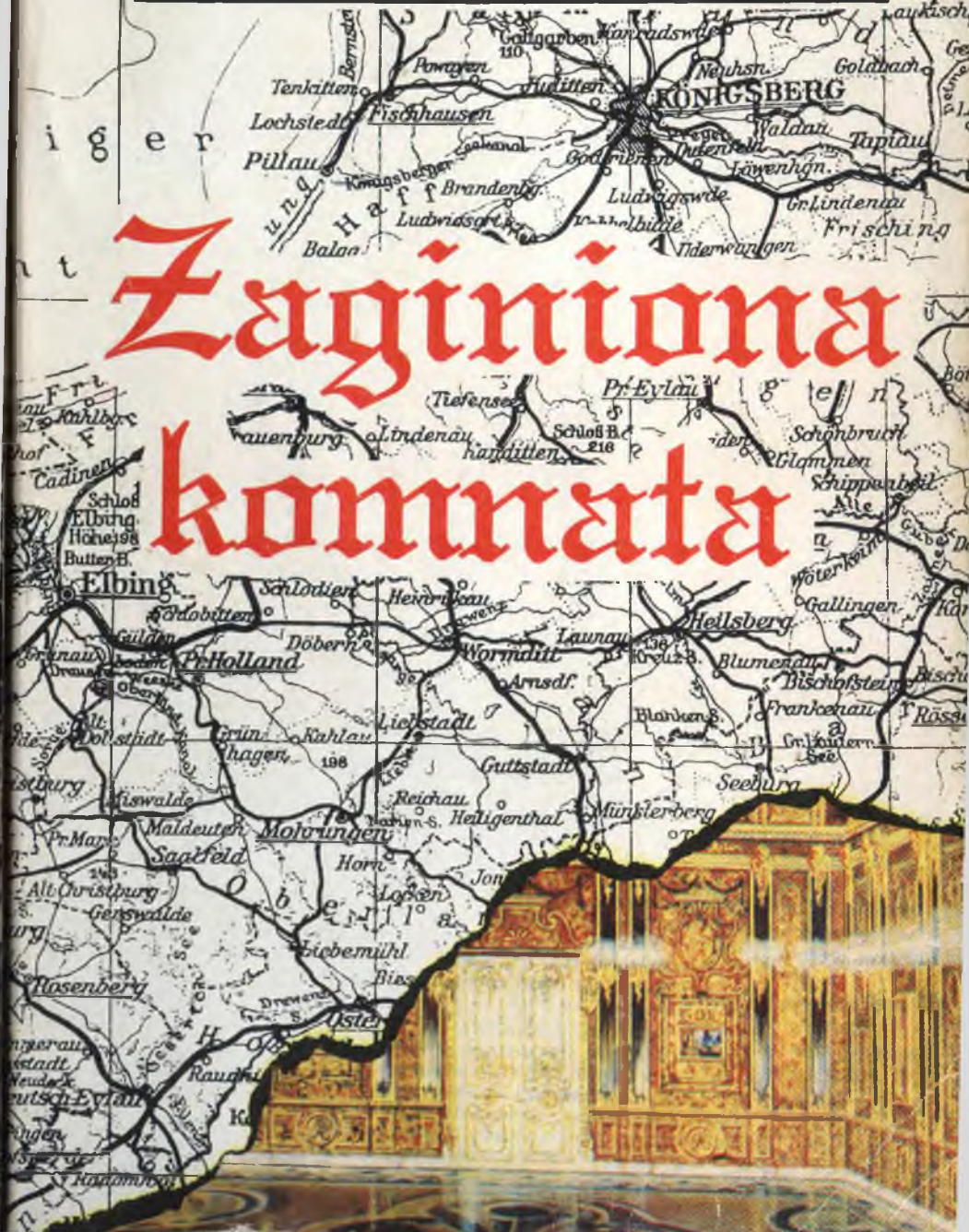
Pusterort

Postnicken

Agill

LESZEK ADAMCZEWSKI

Zaginiona konnata



POD GRADEM BOMB

W roku 1944 przedostatni dzień sierpnia przypadł w środę. W Królewcu (Koenigsberg), stolicy ówczesnych Prus Wschodnich, panowała piękna pogoda kończącego się lata. Mieszkańcy tej „Wenecji Północy”, nazywanej tak z racji wielu kanałów i mostów, żyli dotychczas w miarę spokojnie, tak naprawdę nie wiedząc, co to są okrucieństwa gdzieś obok toczącej się już pięć lat wojny. O niej wielu rodzinom królewieckim przypominały tylko zaświadczenia, że ich syn, brat lub ojciec „*poległ na polu chwały za fuehrera i ojczyznę*”.

Na ulicach Królewca nie wyczuwało się jeszcze wtedy jakiegoś szczególnego zagrożenia. Kursowały tramwaje, czynne były lokale, kina i teatry, pracowały urzędy i fabryki. Zwłaszcza fabryki. Wszak armia niemiecka, niczym gąbka, chłoneła ogromną ilość sprzętu wojskowego, broni i amunicji, a w nie nękanym dotychczas nalotami bombowymi Królewcu, zatrudniające przeważnie robotników przymusowych, fabryki mogły pracować pełną parą. Wprawdzie niektórzy mieszkańcy z pewnym niepokojem spoglądali na wschód, gdzie Armia Czerwona zbliżała się do granic Prus Wschodnich, ale nie było przecież powodów, by nie wierzyć zapewnieniom Adolfa Hitlera, że nieprzyjaciel nie wkroczy do Rzeszy i że zwycięstwo ostatecznie należeć będzie do „wielkich Niemiec”.

W tamtą ostatnią sierpniową środę mieszkańcy Królewca nie spodziewali się, że jeszcze tego dnia odczują skutki rozpetanej przez faszyzm niemiecki wojny. Że wielu z nich nie dożyje wieczora, a jeszcze więcej straci cały swój dobytek...

Do spokojnego Królewca wojna nadeszła niespodziewanie, uderzyła niczym grom z jasnego nieba. Nadeszła nie ze

POD GRADEM BOMB

wschodu, ale z zachodu, a ściślej właśnie z bezchmurnego nieba, na którym w pewnej chwili pojawiły się samoloty. Setki nieprzyjacielskich maszyn. Eskadry ciężkich bombowców alianckich nadlatywały nad miasto falami. Zaskoczenie było całkowite. Zanim odezwała się artyleria przeciwlotnicza, zanim ludzie zdążyli zbiec do piwnic i schronów, na Królewiec spadły pierwsze bomby.

Tego, co działo się później, nie da się opisać. Nalot dywanowy. W gruzy waliły się zakłady przemysłowe, domy i całe dzielnice. Bomby gęsto wybuchały w zabytkowym śródmieściu, płonący fosfor zalewał ulice. Ludzie płonęli jak pochodnie. Tarzali się po ziemi lub skakali do Pregoty i kanałów. Śmierć nie wybierała ofiar. Ginęli Niemcy, w tym przede wszystkim cywile, zwłaszcza kobiety i dzieci, ginęli



1. „Wenecją Północy” nazywano Królewiec (Koenigsberg), stolicę Prus Wschodnich. Fotografia archiwalna.

ZAGINIONA KOMNATA

robotnicy przymusowi: Polacy, Rosjanie, Ukraińcy, Białorusini, Francuzi...

Nie ugaszono jeszcze wszystkich pożarów i nie pochowano zabitych, gdy w nocy z 1 na 2 września alianci powtórzyli uderzenie na stolicę Prus Wschodnich. W zgodnej opinii historyków, było ono jeszcze cięższe od pierwszego bombardowania dywanowego. I znowu, z budzącym przerażeniem, świstem spadały na Królewiec bomby, które eksplodując siały śmierć i zniszczenia. Potęgowały je trafione pociskami niemieckiej artylerii przeciwlotniczej bombowce, które — płonąc — spadały na miasto. W gruzach legła opera, uszkodzona została katedra, spłonął zabytkowy budynek uniwersytetu. Kilka bomb spadło na zamek.

W upiornej scenerii nocnego nalotu, rozjaśnionej łunami pożarów i bladym światłem „choinek”, czyli opadających na spadochronach rakiet oświetlających, rozpoczynamy opowieść o Bursztynowej Komnacie — jednym z najpiękniejszych dzieł sztuki, jakie kiedykolwiek wyszły spod ręki człowieka.

Bursztynowa Komnata tak naprawdę stała się sławna dopiero po jej tajemniczym zaginięciu w końcowej fazie drugiej wojny światowej. Przedtem niewiele o niej słyszało, a jeszcze mniej miało okazję oglądać ją na własne oczy. Z biegiem zaś czasu to arcydzieło sztuki stało się synonimem wszystkiego, co zaginęło w tajemniczych okolicznościach w ostatnich miesiącach wojny. Zaginęło lub raczej zostało ukryte, by nie dostało się w ręce nieprzyjaciela.

Niemal wszystko wskazuje na to, że Bursztynowa Komnata też została przez Niemców ukryta, podobnie jak wiele innych dzieł sztuki, zbiorów muzealnych, zapasów złota, dokumentacji nowych rodzajów broni i archiwów. Została ukryta na tyle sprytnie, że — mimo trwających wiele lat poszukiwań — nie udało się na nią natrafić. Podobnie zresztą jak i na wiele innych cennych przedmiotów, by wymienić tu choćby tak

zwane złoto Wrocławia. Na przełomie lat 1944 i 1945 ze stolicy Dolnego Śląska Niemcy wywieźli kilka ton złota oraz waluty, papiery wartościowe, kosztowności i dzieła sztuki stanowiące własność wrocławskich banków lub będące depozytami sklepów i co zamożniejszych mieszkańców ówczesnego Breslau. Transporty wyjechały z przygotowującego się do obrony miasta i... ślad po nich zaginął.

Wielokrotnie na łamach prasy zabierali głos świadkowie jakichś tajemniczych wydarzeń z ostatnich miesięcy wojny. Często nocą, w świetle księżyca lub przy przyćmionych światłach reflektorów samochodów wojskowych, przez dłuższą lub krótszą chwilę obserwowali z ukrycia jakąś akcję. Żołnierze niemieccy, najczęściej z Waffen SS lub ludzie w obozowych pasiekach, zdejmowali z platform ciężarówek ciężkie skrzynie, topiąc je w pobliskim jeziorze, albo zanosząc do wykutej w skałach góry sztolni, albo składając w wykopanym uprzednio dole, albo też wnosząc te skrzynie do zamku...

Pomijając mitomanów, nie ma powodów nie wierzyć w większość takich lub podobnych relacji. Ci ludzie nie ulegli złudzeniu. Oni rzeczywiście widzieli akcje ukrywania jakichś skrzyń. Lecz gdy po latach przypomnieli sobie o tym, twierdzili z przekonaniem graniczącym z pewnością:

— *Widziałem, jak ukrywano Bursztynową Komnatę! Wiem, gdzie jej szukać!*

Żądni sensacji dziennikarze w setkach tysięcy egzemplarzy gazet lub na falach eteru rozpowszechniali te stwierdzenia. Rzadko kto próbował je zweryfikować, porównać z ustalonymi już faktami. Wielu autorów publikacji o Bursztynowej Komnacie nie zadało sobie nawet trudu zapoznania się z wojenną historią Prus Wschodnich, zwłaszcza ostatnich miesięcy istnienia tej niemieckiej prowincji. Co więcej, wielu z nich pisząc o poszukiwaniach komnaty nie za bardzo orientowało się, jak w całej okazałości prezentowało się to arcydzieło sztuki oraz jak po jego zdemontowaniu, rozłożeniu na części i zapakowa-

ZAGINIONA KOMNATA



2 Stary gotycki zamek pokrzyżacki w Królówcu.

Fotografia archiwalna

niu do skrzyń, jakie były jego dzieje i w jakich okolicznościach zniknęło ono ze sceny dramatycznych wydarzeń wojennych. Przeto też przez lata czytelnicy, nie tylko zresztą w Polsce, karmieni byli półprawdami, gęsto okraszonymi mitami i legendą. Fikcja mieszała się z prawdą, a mniej lub bardziej prawdopodobne lub wręcz nieprawdopodobne hipotezy przedstawiano za udokumentowane fakty.

Pójdźmy zatem śladem Bursztynowej Komnaty od jej narodzin jako zrazu stosunkowo niewielkiego gabinetu monarchiego, dopiero później przebudowanego w wielki salon. Prześledźmy dzieje tego arcydzieła sztuki aż do drugiej połowy roku 1944. Dlaczego tylko do owej środy, 30 sierpnia tamtego wojennego roku? Otóż gdy pierwsze eskadry bombowców alianckich nadlatywały w rejon stolicy Prus Wschodnich, Bursztynowa Komnata na pewno znajdowała się w pokrzyżackim zamku królewieckim.

Dalej obracamy się już tylko w sferze mniej lub bardziej prawdopodobnych hipotez, nierzadko nawzajem się wykluczających. Nie znalazł się bowiem nikt, kto po wojnie przyznałby się, że na własne oczy widział Bursztynową Komnatą po 30 sierpnia 1944 roku. Nie świadczy to wcale, że miała akurat rację pewna mieszkanka Berlina, która w latach siedemdziesiątych podzieliła się w zaiste sensacyjnym liście wspomnieniami z Królewca z okresu dwóch wielkich bombardowań tego miasta. Ale nie uprzedzajmy wydarzeń. Jeśli zaś o wspomniane hipotezy chodzi, to pójdziemy także śladami przynajmniej niektórych z nich. Przez lata zrodziło się bowiem bardzo wiele hipotez na temat miejsca ukrycia Bursztynowej Komnaty. Jedne z nich są rzeczywiście prawdopodobne, chociaż w różnym stopniu, inne zakrawają na fantazje. Wejdziemy także na trop, który — jak się wydaje — może doprowadzić do miejsca ukrycia tego bursztynowego skarbu. A przynajmniej jego części.

ZAGINIONA KOMNATA

Warto bowiem wiedzieć, że w ostatnich miesiącach wojny Niemcy swe najcenniejsze zbiory na ogół dzielili na kilka części i ukrywali w różnych miejscach tak, by w najgorszym razie zniszczeniu uległa tylko część tej czy innej kolekcji. Złożoną w skrzyniach Bursztynową Komnatę można było z łatwością podzielić na dwie, a może nawet więcej części. I ukryć w kilku różnych miejscach.

ÓSMY CUD ŚWIATA

S poglądając na bryłkę bursztynu pod światło można zauważyć, iż mieni się ona przepiękną gamą barw. Tym tajemniczym wręcz zróżnicowaniem kolorystyki bursztynu ludzie zachwycają się już od tysiącleci. A poszczególne bryłki tego szlachetnego kruszcu, nazywanego często „złotem północy”, są albo niemal bezbarwne, albo żółto-żłociste, wiśniowe lub prawie białe. A są to tylko barwy podstawowe, między którymi występuje około dziesięciu odcieni żółci, pomarańczy, brązu i czerwieni. W bursztynie spotyka się także często niewielkie odłamki kory, wodorostów morskich, zmurszałego drewna lub uwięzione owady.

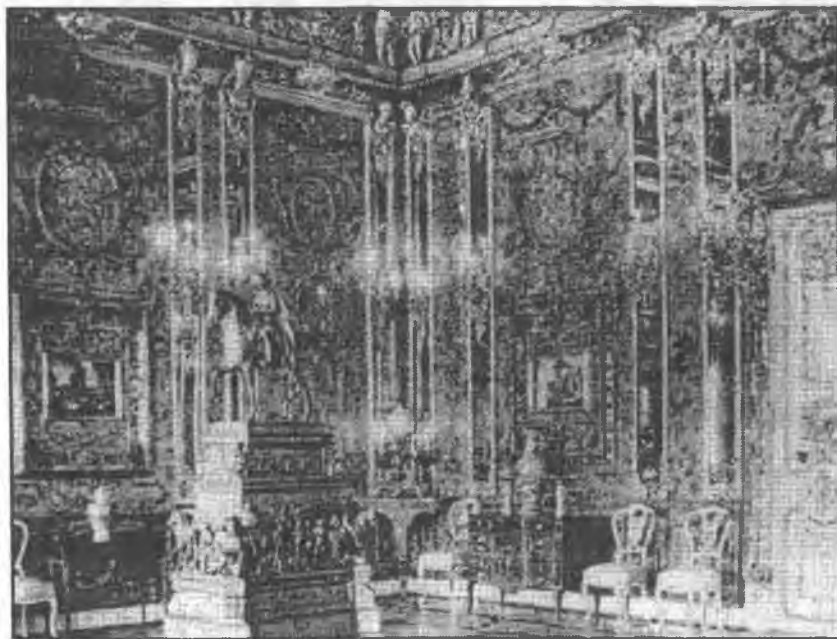
Dotychczas nie udało się jednoznacznie wyjaśnić, skąd wziął się bursztyn. Kiedy i w jakiej sytuacji powstał ten szlachetny kruszec, będący skamieniałą i przetworzoną żywicą dawnych drzew? Różne hipotezy na ten temat wysuwano w minionych latach. Intensywne wydzielanie się żywicy tłumaczono różnymi zjawiskami, między innymi anomaliami klimatu, działaniem szkodników, a także uszkodzeniem mechanicznym lub patologicznymi zmianami drzew.

Polscy uczeni wysunęli swego czasu tezę, która dotychczas nie została obalona, że bursztyn powstał wskutek ożywionej działalności wulkanów. One właśnie wywołały obfite żywicowanie drzew. Miało się to zdarzyć bardzo dawno temu, w okresie nazwanym starszym paleogenem. W każdym razie w warstwach geologicznych na terenie Danii, w których znajdowano bursztyn, natrafiono na pyły i popioły. Mogły być one rezultatem erupcji wulkanów w basenie dzisiejszego Morza

ZAGINIONA KOMNATA

Północnego. Czy tak było? Tego nikt nie wie. Wiadomo jednak na pewno, że na terenie wybrzeża dzisiejszej Polski bursztyn znajdowano od dawien dawna. Przynajmniej już 9 tysięcy lat temu!

Tyle bowiem lat liczy sobie zachowana do dziś bursztynowa figurka z okresu neolitu, przechowywana w największym na świecie muzeum bursztynu w rosyjskim Kaliningradzie. Tak nazwano dawną stolicę Prus Wschodnich po wojnie, gdy tę była prowincję niemiecką podzielono między Polskę, która otrzymała część południową z Elblągiem i Olsztynem, a były Związek Radziecki, który zachował część północną z Królewcem, włączając ją do Federacji Rosyjskiej.



3. Bursztynowa Komnata w całej okazałości w jednej z sal Pałacu Jekatierinskiego w Carskim Siole.

Fotografia archiwalna.

ÓSMY CUD ŚWIATA

Bursztynowi przypisuje się od wieków właściwości magiczne i... lecznicze. Od wieków używany jest też do wyrobu ozdób. Zrazu talizmanów i figurek różnych bóstw, a potem także rzeźb, a nawet obrazów, które z bursztynu tworzyli w wiekach późniejszych najwybitniejsi artyści. Wraz z upływem stuleci bursztyn awansował, zyskał rangę królewską. Stał się surowcem, z którego wyrabiano ozdoby królewskich głów, papieży i książąt. Są wśród nich korony, pastorały i szkatuły. Są też całe komnaty królewskie, z których najslynniejszą była (a może nadal jest?) Bursztynowa Komnata.

Wykonano ją na początku osiemnastego stulecia z inicjatywy króla Prus — Fryderyka I, znanego w ówczesnej Europie znawcy i mecenasa sztuki, który pragnął pozostawić po sobie dzieło podziwiane przez wieki. Do dzisiaj nie są znani wszyscy pomysłodawcy i wykonawcy tego gabinetu z bursztynu. Król myślał zrazu o wspaniałej galerii bursztynowej, a potem — być może za radą duńskiego snycerza Gottfrieda Wolfframa — zaakceptował pomysł sali wykładanej bursztynem. Obok Wolfframa, który za swą pracę zażądał zbyt wygórowanego honorarium i król wkrótce zrezygnował z jego usług, prace nad gabinetem kontynuowali: Andreas Schlueter, Ernest Schacht i Gotfryd Turow, w niektórych publikacjach nazywany błędnie Tusso. Cała trójka pochodziła z Gdańska, gdzie — obok Królewca, Elbląga, Kamienia Pomorskiego, Lubeki i Kopenhagi — znajdowały się w siedemnastym i osiemnastym stuleciu najslynniejsze warsztaty obróbki bursztynu. Schlueter był nadwornym architektem Fryderyka I, a przed zaciągnięciem się na służbę u króla Prus zaprojektował i wykonał wiele pięknych dzieł sztuki w Polsce czasów Jana III Sobieskiego.

Po kilku latach żmudnych prac powstał gabinet składający się z dwunastu płaszczyzn ściennych i dziesięciu fragmentów boazerii, które można było dowolnie zestawiać. To bursztynowe cacko olśniewało płaskorzeźbami, misternymi inkrustac-



4. Pomnik króla Prus — Fryderyka I, inicjatora wykonania Bursztynowej Komnaty, dłuta Andreasa Schluetera, który też był jednym z jej twórców. Pomnik ten do 1945 roku stał koło zamku królewieckiego.

Fotografia archiwalna.

jami i kunsztownymi ornamentami, przedstawiającymi herby, girlandy, inicjały królewskie oraz miniaturowe scenki rodzajowe. Niektóre szczegóły trzeba było oglądać przez szkło powiększające. Specjalnie dobrane płytki bursztynowe umocowano na srebrnej folii w celu spotęgowania efektów świetlnych.

Bursztynowy gabinet, który zaczął zdobić berlińską rezydencję króla Prus, już wówczas uznano za ósmy cud świata, a przecież w najbliższych latach miał on zostać rozbudowany w wielki salon, zaś kompozycje wzbogacone o nowe, jeszcze wspanialsze elementy...

Fryderyk I nie cieszył się długo nowym gabinetem. Zmarł w roku 1713, a jego syn i następca na tronie pruskim — Fryderyk Wilhelm I nie odziedziczył artystycznych upodobań ojca. Pociągała go bardziej wojaczka, wiele czasu spędzał zatem nie na dworze lecz z żołnierzami.

W 1716 roku car Rosji — Piotr I Wielki, który na zaproszenie Fryderyka Wilhelma I przebywał w Prusach, w berlińskiej rezydencji króla zobaczył po raz pierwszy bursztynowy gabinet. Car — jeśli wierzyć skąpom przekazom historycznym — był zachwycony. Podziwiał brunatne, matowo-żółte i białe-złote tafle, migotliwe mozaiki i kryształy, liście akantu i rozety, połyskujące milionami iskier żyrandole i świeczniki. Tak długo podziwiał to arcydzieło barokowej sztuki inkrustacyjnej, że Fryderyk Wilhelm I postanowił je podarować Piotrowi jako symboliczną rękojmnię sojuszu między Prusami i Rosją.

W 1717 roku skrzynie z bursztynowym gabinetem popłynęły statkiem do Kłajpedy, skąd saniami, pod eskortą wojskową, zostały przewiezione do Petersburga. Nie znamy przyczyn, dla których aż do śmierci Piotra I w 1725 roku bursztynowe wykładziny przechowywano zapakowane w skrzyniach. Dopiero na polecenie Katarzyny I gabinet zamon-

ZAGINIONA KOMNATA

towano w jednej z sal tak zwanego Zimowego Domu w ówczesnej stolicy Rosji carskiej. Po jej śmierci płaszczyzny ścienne i boazerie ponownie zapakowano do skrzyń, w których przeleżały aż do czasu wybudowania w Carskim Siole w pobliżu Petersburga letniej siedziby imperatorowej Elżbiety, córki Piotra i Katarzyny.

Zanim bursztynowe wykładziny zaczęły tam zdobić jedną z narożnych sal Pałacu Jekatierńskiego (Katarzyny), gabinet znacznie rozbudowano, wzbogacając jego kompozycję o nowe, jeszcze wspanialsze elementy. Było to głównie dzieło nadwornego architekta carycy Elżbiety — Warfołomieja Rastrelliego, któremu pomagał mistrz bursztyniarski Martelli, a także pięciu specjalistów obróbki bursztynu z Królewca.

Panneaux i ramy, wykonane z licznych płytek bursztynu, zostały ozdobione płaskorzeźbami, statuetkami, herbami i inicjałami. Nad bogato zdobionymi drzwiami Rastrelli umieścił pięknie rzeźbione w drewnie supraporty i wprowadził 24 kryształowe płaszczyzny lustrane. W czterech punktach miejsce lusterek zajęły mozaiki z kamieni, przedstawiające krajobrazy tokańskie, z alegorycznymi wyobrażeniami zmysłów. Wielka, prawie kwadratowa, sala o wymiarach dziesięć i pół na jedenaście i pół metra oraz sześciu metrów wysokości pomieściła dzieło sztuki, w którym pruski barok i rosyjskie rokoko zespoliły się w niepowtarzalną całość.

„Surowość stylu i zamysł artystyczny Schluetera zostały wypaczone — pisał historyk sztuki Wilczewski — lecz barbarzyńca, który dotknął dzieła artysty, sam był nie mniejszej klasy artystą, tak że bursztynowy gabinet, który stał się teraz Bursztynową Komnatą, nie stracił swych walorów artystycznych. Włączył się organicznie w ciąg reprezentacyjnych sal pałacu, gdzie Rastrelli tak wspaniale przejawił swój talent.”

ÓSMY CUD ŚWIATA

Uzupełniając te słowa, warto zauważyć, że właśnie wtedy, w połowie osiemnastego stulecia, narodziła się Bursztynowa Komnata w tym kształcie artystycznym, w którym utrwalona została w mniej lub bardziej fachowych opisach oraz na kilkudziesięciu zachowanych do dzisiaj zdjęciach czarno-białych i jednym barwnym przeźroczu. W tym też kształcie artystycznym Bursztynowa Komnata przeszła do historii sztuki. I chyba nie tylko sztuki...

Wprawdzie za datę narodzin tego dzieła sztuki, w jego kształcie z Carskiego Sioła, przyjmuje się rok 1755, to jednak na jednym z cokołów zwierciadeł umieszczono napis „Anno 1760”. Zapewne już w 1755 roku komnata w swym nowym kształcie była gotowa, a w kilku następnych latach przeprowadzano tylko prace uzupełniające i upiększające. Wiadomo na przykład, że w roku 1759 malarz Firsow wykonał plafon, a pięć lat później wymieniono parkiet, kładąc mozaikę z najcenniejszych gatunków drewna.



5. Pałac Jekatieriński w Carskim Siole koło Petersburga, wybudowany w latach 1744-1756.

Fotografia współczesna.

ZAGINIONA KOMNATA

Bursztynowa Komnata zdobyła jedną ze wspomnianych sal narożnych Pałacu Jekatierinskiego w Carskim Siole (po rewolucji październikowej zmieniono nazwę tego miasta zrazu na Dietskoje Sieło, a w 1937 roku na Puszkini) przez prawie dwa stulecia, aż do jesieni 1941 roku. W tym długim okresie niezmiernie rzadko poddawana była poważniejszym pracom konserwacyjnym. Na pewno renowację przeprowadzono w 1830 roku, a w latach 1855-58 zrekonstruowano sufit komnaty.

W Związku Radzieckim Józefa Stalina, niezbyt dbano o najcenniejsze dzieła sztuki z czasów Rosji carskiej. Wprawdzie Bursztynową Komnatę udostępniono zwiedzającym, ale na krótko przed agresją Niemiec na ZSRR była ona — jak napisał w 1988 roku radziecki dziennikarz Jurij Iwanow — *„w okropnym stanie. Komnaty od dawna nie konserwowano. Wysechł stary klej, przeschły, zdeformowały się drewniane panele, na które był naklejony bursztyn. Do tej części pałacu wycieczki przed wojną (czyli przed 22 czerwca 1941 roku — przyp. L. A.) zostały wstrzymane. Żeby uchronić bursztyn, pracownicy muzeum wzdłuż ścian ułożyli dywaniki, materace i poduszki.”*

Iwanow podał także nieznaną szczegół ratowania Bursztynowej Komnaty przez pracowników muzeum w ówczesnym Puszkynie. Otóż wzdłuż ścian z bursztynowymi wykładzinami pośpiesznie zbudowali oni z cegieł drugą ścianę. Coś w rodzaju kurtyny. Osłaniające to dzieło sztuki ściany pokryto tynkiem i wyklejono tapetami. Informacji tej nie można jednak zweryfikować. Według innych źródeł, bursztynowe wykładziny osłonięto tylko papierem...

LIST Z BERLINA

22 czerwca 1941 roku Niemcy hitlerowskie napadły na Związek Radziecki. Krótki, bo niespełna dwuletni okres przyjaźni dwóch totalitarnych mocarstw ówczesnej Europy i sojuszu dwóch dyktatorów — Adolfa Hitlera i Józefa Stalina — dobiegł końca.

Zaskoczone jednostki Armii Czerwonej, niezbyt przygotowane do walk w obronie i słabo na ogół uzbrojone, nie mogły długo stawiać oporu. W pierwszych tygodniach wojny niemiecko-radzieckiej uzbrojone po zęby oddziały hitlerowskie i sojuszników III Rzeszy parły na wschód. 17 września, a więc po prawie trzech miesiącach walk, na dziedzińcu Pałacu Jekatierinskiego wjechali motocykliści oddziału rozpoznawczego dywizji pancerniej Wehrmachtu.

Po 22 czerwca 1941 roku z muzeów ówczesnego Leningradu ewakuowano na wschód, za Ural, najcenniejsze skarby Ermitażu. Nie zdążono jednak wywieźć wszystkich, w tym niektórych dzieł sztuki zdobiących była letnią rezydencję carów w Puszkynie, zwłaszcza zaś Bursztynowej Komnaty. Czy w ogóle próbowano ją wywieźć za Ural? Wszystko wskazuje, że nie. Najprawdopodobniej nie znalazła się ona w spisie najcenniejszych dzieł sztuki przeznaczonych do ewakuacji w pierwszej kolejności. A na drugą nie było już ani czasu, ani możliwości, choćby transportowych. Świadczy o tym także fakt, że już przed 22 czerwca pracownicy muzeum w Puszkynie zabezpieczali Bursztynową Komnatę na jej stałym miejscu, w ogóle nie przygotowując się do jej demontażu.

Podczas walk na dalekich przedpolach Leningradu, Pałac Jekatierinski został uszkodzony. W salę balowa trafiła bomba, a podmuch wyrwał okna i drzwi. We wspaniałych komnatach, gdzie w ciągu wieków zgromadzono cenne dzieła

ZAGINIONA KOMNATA

sztuki, hulał wiatr. Po pałacu snuli się żołnierze niemieccy i ich kompani z hiszpańskiej Błękitnej Dywizji. Największym ich zainteresowaniem cieszyły się bogate zbiory porgnografii, kolekcjonowane przez Katarzynę Wielką. Na parkietach, wdeptane w błoto, walały się stare mapy i zabytkowe książki...

Taki obraz zastali w Puszkynie oficerowie niemieccy, którym polecono „zabezpieczyć” dzieła sztuki na okupowanych ziemiach ZSRR. Dzięki źródłom niemieckim znamy ich nazwiska. Byli nimi: rotmistrz doktor Ernest Otto hrabia zu Solms-Lubach i kapitan doktor Georg Poensgen, w cywilu historycy sztuki pracujący dla pruskiej Administracji Pałaców i Ogrodów, podlegli wówczas dyrekcji muzeów wojskowych.

W dzienniku wojennym dowództwa 18 armii Grupy Armii Północ pod datą 29 września 1941 roku z godziny 16 zachował się następujący zapis: *„Rotmistrz hrabia Solms z OKH, któremu polecono przejęcie dzieł sztuki w pałacu carskim, prosi o ochronę pałacu w Puszkynie, który został lekko uszkodzony wybuchem bomby lotniczej, a obecnie jest zagrożony wskutek nieostrożnego postępowania wojska w pierwszej linii. Zabezpieczenie powierzono 50 Korpusowi Armii”*.

O tym, co dalej działo się z Bursztynową Komnatą, mówią dwie różne relacje. Niemiecka i radziecka. Według tej pierwszej umundurowani rabusie z doktorskimi tytułami przystąpili do „zabezpieczania” skarbów rosyjskiej sztuki. Na rozkaz hrabiego Solmsa zdejmowano i ładowano do skrzyń wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość artystyczną i materialną zarazem: obrazy, meble, porcelanę, świeczniki. Zrywano nawet co wartościowsze parkiety. Zainteresowano się także okładzinami ścian Bursztynowej Komnaty.

W niemieckich dokumentach wojskowych skrupulatnie odnotowano, że żołnierzom 553 batalionu rezerwowego zajęło

LIST Z BERLINA

tylko 36 godzin zdemontowanie bursztynowej mozaiki. Zdjęte ze ścian okładziny zostały troskliwie, z zachowaniem ostrożności, zapakowane do skrzyń. Ciężarówki przewoziły ładunek na stację kolejową Siewierskoje, skąd część skrzyń z zawartością pałacowych sal przewieziono do Pskowa i Rygi, zaś te z Bursztynową Komnatą do Królewca, gdzie zostały umieszczone w pokrzyżackim zamku. Znalazły się tam już — zapamiętajmy tę datę — 14 października 1941 roku.

Tyle wersja niemiecka. Pierwsza wersja radziecka, wielokrotnie potem powielana w różnych publikacjach nie tylko w byłym ZSRR, pochodzi z wydanej w Rydze w 1961 roku książki W. Dmitriewa i W. Jeraszowa „Tajemnica Bursztynowej Komnaty”. Warto dodać przy okazji, że nazwisko Dmitriew było pseudonimem Weniamina Dmitriewicza Krolewskiego, w latach 1949-61 sekretarza Komitetu Obwodowego KPZR w Kaliningradzie i pierwszego przewodniczącego specjalnej komisji radzieckiej do spraw poszukiwań Bursztynowej Komnaty. W latach pięćdziesiątych komisja ta ustaliła, iż przez długi czas bursztynowym skarbem nikt z Niemców, zarówno przedstawiciele władz wojskowych, jak i cywilnych władz okupacyjnych, nie interesował się. Ale o komnacie dowiedział się urzędujący w Królewcu gauleiter czyli szef okręgu (prowincji) hitlerowskiej Narodowosocjalistycznej Partii Niemieckich Robotników (NSDAP) i jednocześnie nadprezydent Prus Wschodnich — Erich Koch. Miało go zauroczyć nie tyle piękno artystyczne tego dzieła, co jego wartość materialna.

— *Ta komnata jest warta pięćdziesiąt milionów dolarów. I to w złocie* — powtarzał swoim najbliższym współpracownikom.

Według pierwszej wersji radzieckiej, by zdobyć ten skarb Koch posłużył się misterną intrygą. Nie mógł on bowiem posłać do Puszkina swoich ludzi, którzy Bursztynową Komnatę by zdemontowali i przywieźli do Królewca, ponieważ na okupowanych ziemiach Związku Radzieckiego obowiązywał

ZAGINIONA KOMNATA

podział kompetencji. Gauleiter Koch został w połowie 1941 roku mianowany szefem administracji cywilnej okręgu białostockiego oraz komisarzem Białorusi i Ukrainy, które to funkcje pełnił jednocześnie z tymi sprawowanymi w Prusach Wschodnich. Z reszty podbitych ziem ZSRR utworzono tak zwany Ostland. Tam rządził naczelny ideolog NSDAP — Alfred Rosenberg, który jednocześnie mianowany został przez Hitlera szefem specjalnego sztabu do spraw „zabezpieczania dzieł sztuki” na podbitych przez III Rzeszę terenach Europy. Jeśli dodam, że miasto Puszkina znalazło się w granicach owego Ostlandu, to bursztynowy skarb Koch mógł zdobyć dla siebie tylko posługując się intrygą.

Wiosną 1942 roku na łamach wychodzącej w Królewcu „Koenigsberger Allgemeine Zeitung”, której właścicielem był Koch, pojawiły się artykuły o Bursztynowej Komnacie. Ich autor zapytywał „kompetentne czynniki”, dlaczego nie zainteresowały się tym skarbem, wykonanym z surowca pochodzącego z Prus Wschodnich i nie zabezpieczyły go przed sowieckimi dywersantami i sabotażystami. To dzieło — grzmiał dziennikarz z łamów królewskiej gazety — powinno zdobić któreś z niemieckich muzeów...

W tym samym mniej więcej czasie — nadal streszczam ustalenia pierwszej radzieckiej komisji zajmującej się poszukiwaniami Bursztynowej Komnaty — żołnierze Wehrmachtu oblegający Leningrad, a pochodzący z Prus Wschodnich, zwrócili się z petycją do nadprezydenta swojej prowincji, by on zaopiekował się tym bezcennym skarbem.

Koch zyskał coś w rodzaju alibi i w tej sytuacji mógł już wydać polecenie przewiezienia Bursztynowej Komnaty do Królewca, gdzie oddano ją pod opiekę doktorowi Alfredowi Rohdemu, dyrektorowi królewskich zbiorów sztuki, które szczyliły się najbogatszą w świecie kolekcją wyrobów z bursztynu. Sam zaś doktor Rohde był w tej dziedzinie znakomitym fachowcem o co najmniej europejskim rozgłosie.

Tak przedstawia się wersja radziecka, zaprezentowana we wspomnianej książce W. Dmitriewa i W. Jeraszowa z 1961 roku. Jest jeszcze wersja Sławomira Orłowskiego, który kilkakrotnie w polskich więzieniach rozmawiał z Erichem Kochem. W wydanej w roku 1976 książce „Bursztynowa Komnata”, w zbeletryzowanej formie uzupełnia wersję radziecką o następujący szczegół. Otóż z powodu przewiezienia komnaty do Królewca, w otoczeniu Hitlera wybuchła awantura. Alfred Rosenberg nie dał bowiem za wygraną.



6. Erich Koch, gauleiter NSDAP i nadprezydent Prus Wschodnich.

Fotografia archiwalna.

I kto wie, czym by się ów spór zakończył, gdyby po stronie Kocha nie opowiedział się reichsfuehrer SS i szef policji niemieckiej — Heinrich Himmler. Dobrze on bowiem pamiętał pewien incydent z początków swojej błyskawicznej kariery, gdy próbował usunąć Kocha z partyjnych i państwowych stanowisk w Prusach Wschodnich. O mały włos nie przyplacił tego własnym stanowiskiem, a może i głową. Stąd też w 1942 roku szef SS wolał nie zadzierać ponownie z wpływowym gauleiterem i poparł, zaliczanego do starej gwardii bliskich współpracowników Hitlera, Kocha. Sprawa Bursztynowej Komnaty została więc przesadzona i skarb pozostał w stolicy Prus Wschodnich.

Zaprezentowałem wszystkie znane mi wersje przedstawiające okoliczności rabunku Bursztynowej Komnaty z

ZAGINIONA KOMNATA

Pałacu Jekatierinskiego. Wydaje się, że najbliższa prawdy jest jednak wersja niemiecka, ale i ona nie jest wolna od luk. W każdym razie z dokumentów niemieckich jednoznacznie wynika, że komnata znalazła się w Królewcu już jesienią 1941 roku. Jednocześnie nie można wykluczyć, iż w następnych miesiącach na szczytach władz III Rzeszy mógł toczyć się jakiś spór, czy ten skarb ma zostać w stolicy Prus Wschodnich, czy też ma być przewieziony do Berlina, Poczdamu lub może na przykład Drezna. Wszak z dokumentów niemieckich wynika, że dopiero wiosną 1942 roku Bursztynowa Komnata została oficjalnie przekazana pod komisaryczny zarząd miasta Królewiec. Dokonał tego kapitan Helmut von Wedelstaedt. Był to być może rezultat sporu Kocha z Rosenbergiem, a czynnikiem decydującym okazało się nie tyle poparcie Himmlera dla gauleitiera Prus Wschodnich, co fakt, iż w Królewcu mieszkał i pracował doktor Alfred Rohde, który mógł zapewnić komnacie, najlepszy z możliwych nadzór konserwatorski i właściwą opiekę. Niemcy wiedzieli bowiem, że to unikatowe dzieło sztuki znajdowało się w opłakanym stanie i pilnie potrzebowało fachowej ręki jednego z najlepszych znawców bursztynu.

Zwróćmy uwagę na fakt, że Bursztynowa Komnata oddana została miastu Królewiec w zarząd komisaryczny, a więc tymczasowy. Rosenberg o tym nie zapomniał i w swoim czasie upomni się o bursztynowy skarb...

Tymczasem doktor Rohde zabrał się ostro do pracy. Rozpoczął żmudną rekonstrukcję komnaty w jednej z sal na pierwszym piętrze zamku królewieckiego. Sala ta była nieco mniejsza i niższa od tej z Pałacu Jekatierinskiego. Musiał zatem zrezygnować z wysokich lusterek i części bursztynowych ozdób. Jednocześnie 13 stycznia 1942 roku Rohde złożył reklamację, że brakuje dwojga drzwi. Skrzynie z nimi gdzieś się zawieruszyły podczas transportu i — o dziwo! — oficerowie z jednostek Wehrmachtu wchodzących w skład Grupy Armii

Północ, które w tym czasie toczyły ciężkie walki zimowe z Armią Czerwoną, odnaleźli je i przesłali do Królewca.

Po kilku miesiącach Bursztynowa Komnata znów zaśmiała swym pełnym blaskiem, zdobiąc tym razem jedną z sal zamku królewieckiego. Na uroczyste otwarcie pofatygował się osobiście sam Erich Koch w towarzystwie swych najbliższych współpracowników z królewieckiego Gauleitungu NSDAP, urzędników wschodniopruskiej administracji rządowej, generalicji i oficerów SS. Przybyli profesorowie miejscowego uniwersytetu, ludzie kultury, dziennikarze...

Krótko po tym wydarzeniu na łamach sierpniowo-wrześniowego numeru berlińskiego czasopisma „Pantheon” z 1942 roku ukazał się obszerny artykuł Alfreda Rohdego „Bursztynowa Komnata Fryderyka I w zamku królewieckim”. Ta fachowo napisana rozprawa jest do dziś kopalnią wiadomości na temat tego unikatowego dzieła sztuki. Rohde przedstawił też okoliczności przewiezienia komnaty z Puszkina do Królewca i wymienił nazwiska obu oficerów niemieckich, którzy nadzorowali rabunek. Opisał także kłopoty z ekspozycją komnaty w Królewcu, dodając, iż dzięki zmianom dawne części barokowe boazerii odcięły się wyraźniej od późniejszych uzupełnień rokokowych Rastrelliego.



Minęły dwa lata. W środę, 30 sierpnia 1944 roku, Królewiec podzielił w końcu los wielu innych, największych miast niemieckich, od kilku lat systematycznie bombardowanych przez aliantów w dzień i w nocy. Wspomniałem już, że tego dnia Bursztynowa Komnata znajdowała się na pewno w zamku królewieckim. I to jest fakt, którego nikt nie kwestionuje. Ale jeśli już chodzi o szczegóły, to istnieją spore rozbieżności w źródłach niemieckich i radzieckich. Według tych ostatnich, gdy nad miasto nadlatywały pierwsze eskadry

bombowców alianckich, bursztynowe okładziny nadal zdobyły jedną z sal zamku na pierwszym piętrze. Według zaś bardziej wiarygodnych źródeł niemieckich, Bursztynowa Komnata od dawna leżała zapakowana w skrzyniach. Stało się to jeszcze w marcu 1943 roku, gdy w zamku królewieckim wybuchł pożar i bursztynowe boazerie nieco ucierpiały od dymu. Po oczyszczeniu zdemontowano je i złożono w skrzyniach, które umieszczono na parterze w południowym skrzydle zamku.

W tym miejscu warto poświęcić kilka zdań zdemontowanej komnacie. Fachowcy obliczyli, że po rozłożeniu jej na podstawowe elementy musiała być złożona do skrzyń mających aż do czterech metrów długości i do dwóch metrów szerokości. A skrzyń takich musiało być co najmniej dwadzieścia kilka. Źródła radzieckie podają, że na dziedzińcu zamku królewieckiego złożono 27 skrzyń z Bursztynową Komnatą. Trudno stwierdzić, w jaki sposób działająca w Kaliningradzie komisja do spraw poszukiwań komnaty to ustaliła, ale liczba ta może się akurat zgadzać. I warto sobie też uświadomić, że tyle skrzyń tych właśnie rozmiarów nie da się załadować ani na jeden, ani nawet na dwa samochody ciężarowe...

Podczas obu wielkich nalotów dywanowych na Królewiec 30 sierpnia i w nocy z 1 na 2 września bomby spadały także i na zamek. Wybuchł pożar, ale skrzynie — według źródeł niemieckich — uniknęły ognia. Najpierw leżały na dziedzińcu zamkowym, a podczas drugiego nalotu — w piwnicach lub w pobliskich bunkrach. Pożar strawił tylko czterometrowej wysokości lustro i kilka tafli z boazerii, których nie zdołano złożyć w skrzyniach lub o nich po prostu zapomniano. Być może były to te części Bursztynowej Komnaty, których nie pomieściła nieco mniejsza sala, gdzie skarb z Pałacu Jakatierńskiego był eksponowany przez prawie rok — od późnej wiosny 1942 do marca roku następnego...

Pomińmy na razie wiele wręcz sensacyjnych i — co ważniejsze — w części przynajmniej udokumentowanych

wydarzeń, które nastąpiły w ostatnich miesiącach wojny i przeskoczmy od razu w lata siedemdziesiąte. A ściślej — w pierwsze lata tej dekady. Właśnie wtedy koleżanka córki doktora Alfreda Rohdego z królewieckich lat szkolnych — tak przynajmniej się przedstawiła — obejrzała film „Tajemnica Bursztynowej Komnaty”, zrealizowany w 1971 roku przez ekipę Telewizji Polskiej pod kierownictwem Ryszarda Badowskiego. Film ów kilkakrotnie emitowano w Polsce, wyświetliła go też telewizja ówczesnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Pani Liesel Amm, nauczycielka z Berlina, bo ona to w latach 1943-45 przyjaźniła się z córką Rohdego, przypominała sobie pewne wydarzenie z września 1944 roku, które obszernie opisała w liście do realizatorów filmu, przesłanym za pośrednictwem Państwowego Komitetu do Spraw Telewizji przy Radzie Ministrów NRD. List ten opublikował zrazu „Przekrój”, a potem zacytował Ryszard Badowski w wydanej w roku 1976 książce „Tajemnica Bursztynowej Komnaty”, a więc pod tym samym tytułem, co o piętnaście lat wcześniejsza praca W. Dmitriewa i W. Jeraszowa.

Liesel Amm napisała między innymi:

„...Podczas jednego z kolejnych obiadów dr Rohde powiedział, że w związku z możliwością nalotów należy przenieść komnatę do piwnic zamkowych. Sklepienia piwniczne w zamku były tak grube (...), że Bursztynowej Komnacie nie mogło się nic stać. Największe naloty nastąpiły latem 1944 roku. Królewiec sprawiał wrażenie jednego olbrzymiego rumowiska. Po nocnym pożarze w czasie drugiego z wielkich nalotów udałam się w stronę śródmieścia w poszukiwaniu krewnych i znajomych. Około południa znalazłam się na dziedzińcu zamku.

Spotkałam tu doktora Rohdego, który musiał przyjść krótko przede mną. Odległość od jego mieszkania do zamku była mniej więcej taka sama, jak od mojego. Miał wygląd człowieka zdruzgotanego, jego twarz była popielata.

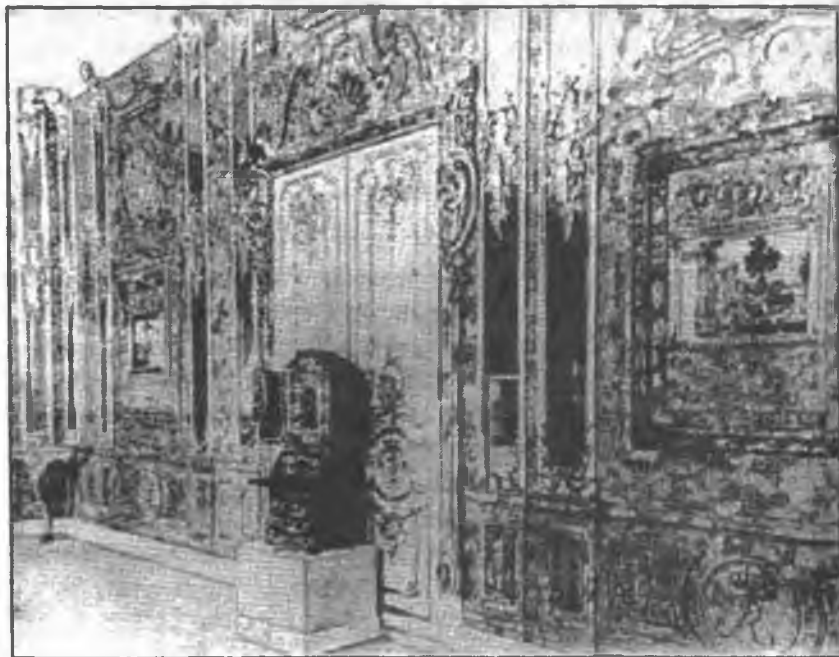
ZAGINIONA KOMNATA

Wymieniliśmy krótkie powitanie i wtedy zadałam pytanie: „Co z Bursztynową Komnatą?” Odpowiedział: „Wszystko przepadło”.

Zaprowadził mnie w kierunku nie znanych mi piwnic i ujrzałam wtedy roztopioną masę, w której widniały zwęglone kawałki drewna. Dr Rohde był załamany. Nigdy potem nie mówiliśmy o Bursztynowej Komnacie...’

Liesel Amm w dalszej części listu interpretuje zauważone wydarzenie w taki oto sposób:

.....Dr Rohde w pierwszym odruchu rozpaczony pokazał mi owej nocy po pożarze miejsce, w którym Bursztynowa Kom-



7. Bursztynowa Komnata. Zdjęcie to wykonano w zamku królewieckim najprawdopodobniej w 1942 roku.

Fotografia archiwalna.

nata padła ofiarą płomieni. Ze strachu przed odpowiedzialnością przemilczał jednak ten fakt przed ówczesnym gauleiterem Erichem Kochem. Ze strachu milczał również później, gdy współpracował z radzieckimi znawcami sztuki...”

Czy po zapoznaniu się z enuncjacjami pani Amm należy uwierzyć w to, że Bursztynowa Komnata mogła spłonąć? Nie tyle nawet spłonąć, co stopić się. Ta hipoteza, pozornie bardzo prawdopodobna, ma tyle słabych punktów, że chyba nie należy traktować jej poważnie. Ponadto hipoteza ta stoi w sprzeczności z późniejszymi i — jak się wydaje — dość rzetelnymi ustaleniami niemieckimi, zarówno Niemców z byłej NRD, jak i RFN, o czym będzie jeszcze mowa.

Nikt nigdy nie udzielił odpowiedzi na cisnące się wprost pytania. Choćby, czy pani Liesel Amm w ogóle istniała? A jeśli tak, czy to ona sama napisała ten list? Czy ktoś z realizatorów filmu „Tajemnica Bursztynowej Komnaty” próbował skontaktować się z autorką listu? Po to choćby, by ją zapytać, kiedy w końcu widziała roztopioną masę bursztynową: w południe po drugim nalocie dywanowym, czy w nocy? Albo na czym opierała przesłankę, że Rohde, bojąc się Kocha, przemilczał stopienie się w ogniu pożaru Bursztynowej Komnaty? Wszak nie była to jego wina, a Koch i tak o tym by się dowiedział. W policyjnym państwie Hitlera takiego faktu nie dałoby się ukryć. W każdym razie weryfikacja też listu z Berlina była dziennikarskim obowiązkiem realizatorów filmu. Badowski w swej książce nic o tym nie wspomina.

Jest niemal pewne, że listem pani Amm, nadesłanym — jak wspomniałem — do Państwowego Komitetu do Spraw Telewizji przy Radzie Ministrów NRD, zainteresowała się Stasi, czyli policja polityczna ówczesnej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Jakie zatem były ustalenia funkcjonariuszy Stasi?

Nie można też wykluczyć, że Liesel Amm napisała prawdę, lecz niewłaściwie ją zinterpretowała. Mogła być bowiem świadkiem reakcji Rohdego na udokumentowany już od dawna fakt zniszczenia podczas bombardowania Królewca drobnych fragmentów Bursztynowej Komnaty.

No i chyba do fantazji nie można zaliczyć przypuszczenia, że ów list mógł być albo niewybrednym dowcipem, albo zostać napisanym przez kogoś, kto chciał uciszyć warzawę wokół Bursztynowej Komnaty. Rozpętał ją wspomniany film telewizyjny, a wrzawa ta (miliony widzów w kilku krajach i setki listów do realizatorów) nie była na rękę tym, którzy — uczestnicząc w akcji ukrywania skarbu z Pałacu Jekatierinskiego — nie chcieli, by wypłynęły jakieś nowe, a niewygodne fakty. Fakty, które mogły doprowadzić do kryjówki lub kryjówek skrzyń z bursztynowym skarbem.

Ale siła sugestii jest ogromna. Opublikowany w „Przekroju” list Liesel Amm przeczytał Edward Appel z Gdyni. Podczas wielkich bombardowań Królewca przebywał on w tym mieście. Gdy zakończył się drugi nalot, Appel wyruszył na wędrowkę po płonącej i zniszczonej stolicy Prus Wschodnich. W liście, zacytowanym przez Badowskiego w książce „Tajemnica Bursztynowej Komnaty”, napisał między innymi:

„...Przez szeroko otwartą bramę udałem się na dziedziniec zamkowy. Nie pamiętam, czy zamek palił się i czy był mocno rozbity. Ale po przeczytaniu listu Liesel Amm przypomniałem sobie dokładnie, że z jednej strony podwórza stała sterta opalonych i dymiących skrzyń, z których wydobywał się ciężki, gęsty, żółtawego koloru dym. Widziałem też gęstą, kremową maź, która wydobywała się z niektórych skrzyń i pokrywała bruk podwórza. Uderzył mnie zwłaszcza silny zapach, wwiercający się nozdrza, drażniący jak woń... ka-dzidla! Wtedy nie zastanawiałem się, co to były za skrzynie. Dzisiaj — po przeczytaniu artykułu i listu nauczycielki z

Berlina — zadaję sobie pytanie: czy to nie była Bursztynowa Komnata?..."

Appel — zwróćmy na to uwagę — widział płonące skrzynie na podwórzu zamkowym, pani Amm zaś roztopioną masę w jakichś piwnicach.

Tymczasem jeszcze tego samego dnia, czyli 2 września 1944 roku, doktor Alfred Rohde napisał obszerny list do tajnego radcy, profesora Zimmermanna z Berlina. Donosi w nim, że chociaż zamek w Królewcu został zbombardowany i ogarnął go pożar, to jednak dzieła sztuki nie ucierpiały. I, jakby podkreślając ten fakt, oddzielnie wymienił Bursztynową Komnatę.

Nie ma podstaw, by nie wierzyć słowom doktora.

UKRYTE BUNKRY

W marcu 1945 roku w starym zamku porządkowym w miasteczku Labiawa, leżącym w pobliżu Zalewu Kurońskiego, ponad setka oficerów i żołnierzy Armii Czerwonej zajmowała się... budową miniaturowego miasta. Na powierzchni ponad 35 metrów kwadratowych z kawałków blachy, drewna, dykty i tektury powstawała makieta Królewca. Budowano domy, kościoły i mosty, zakłady przemysłowe, dworce kolejowe, forty i bunkry, stawiano parki i ogródki działkowe. Zaangażowani do tej pracy artyści i topografowie codziennie nanosili zmiany dokonujące się w Królewcu, a o których na bieżąco donosił wojskowy wywiad radziecki. Miniaturowe ulice przegradzały równie miniaturowe barykady, oznaczano na makiecie środki ogniowe wojsk hitlerowskich i pola minowe...

W taki oto sposób sztab 3 Frontu Białoruskiego, dowodzonego przez marszałka Aleksandra Wasilewskiego, przygotowywał się do szturmowania stolicy Prus Wschodnich. Wówczas, wczesną wiosną 1945 roku, Armia Czerwona i operacyjnie podporządkowana dowództwu radzieckiemu I Armia Wojska Polskiego wyzwoliły spod okupacji niemieckiej prawie całe terytorium Polski i wkroczyły w granice III Rzeszy. Przełamano już umocnienia Wału Pomorskiego, nad Odrą przygotowywano się do operacji berlińskiej. Również spora część Prus Wschodnich z Olsztynem i Elblągiem zajęta już była przez oddziały radzieckie. Poza główną linią frontu wschodniego broniła się stara twierdza prusactwa — Królewiec. W istocie to miasto, znacznie zniszczone podczas alianckich nalotów bombowych w końcu lata roku poprzedniego, ufortyfikowano w potężną twierdzę wojsk niemieckich. „Festung Koenigsberg”

jest nie do zdobycia — pocieszał się w swym berlińskim bunkrze Adolf Hitler.

Zacięte walki na dalekich przedpolach Królewca toczyły się już od kilku tygodni, a samo miasto od końca stycznia otoczone było od strony ładu szczelnym pierścieniem, co dla wyjaśnienia wszystkich okoliczności zaginięcia Bursztynowej Komnaty ma istotne znaczenie.

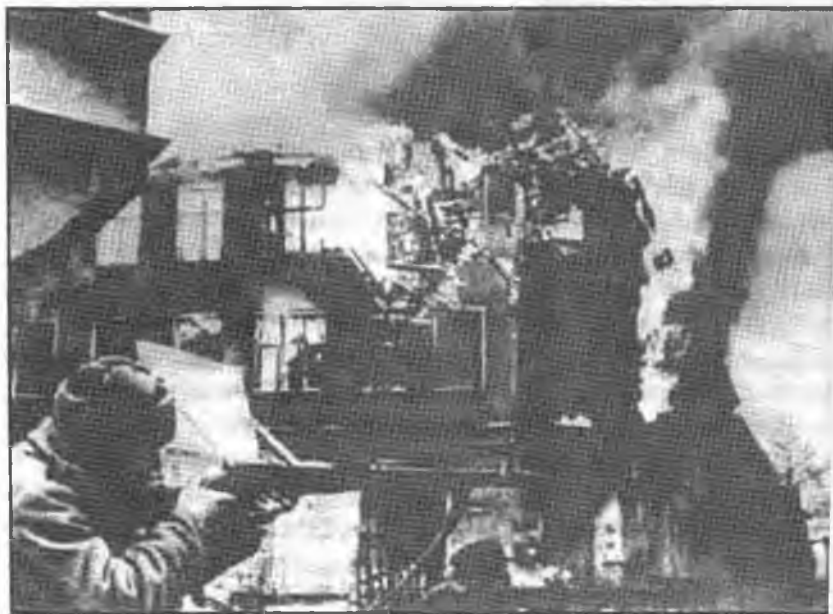
6 kwietnia, po trwającym kilka godzin przygotowaniu artyleryjskim, na Królewiec runęła fala piechoty, czołgów i lekkiej artylerii radzieckiej. Krwawe boje toczyły się o osłaniające miasto forty, później przeniosły się na ulice. Tutaj niemal każdy dom zamieniony był przez hitlerowców w punkt oporu. Zdobywać trzeba było piwnice, partery, walczyć o piętra i poszczególne izby. Ofiary padały po obu stronach, masowo ginęli cywile. Miasto płonęło.

Szczególnie zaciekle broniła się, pod dowództwem pułkownika Heuera, załoga zamku królewieckiego, składająca się głównie z fanatycznych, dobrze wyposażonych i wyszkolonych podchorążych różnych niemieckich szkół oficerskich. Ukryci za grubymi murami odpierali ataki Rosjan niezwykle skutecznie. By zmusić obrońców do zaprzestania oporu, dowództwo radzieckie postanowiło zbombardować zamek. Zrazu do akcji weszły ciężkie bombowce, po nich średniego zasięgu, w końcu zamek zaatakowały słynne szturmowce „Iljuszyny”. Po bombardowaniu odezwała się artyleria rakietowa. Z ustawionych niedaleko „katiusz” ostrzelano zamek tysiącami pocisków. I gdy już się wydało, że w zamku nikt nie pozostał żywy, obrońcy znowu zaczęli ostrzeliwać z ciężkich karabinów maszynowych szturmujących czerwonoarmistów. Powtórzono więc bombardowanie i ostrzał rakietowy. Wreszcie do zamku, a właściwie jego ruin, udało się wdrzeć grupom szturmowym. Żołnierze w podartych waciakach, wśród ciemnych i zadymionych piwnic, korytarzy i sal, torowali sobie drogę granatami, pistoletami, nożami i bagnetami...

ZAGINIONA KOMNATA

Walki o Królewec trwały cztery dni. Aż tak „długo” broniła się twierdza... nie do zdobycia. O godzinie pierwszej w nocy z 9 na 10 kwietnia niemiecki komendant miasta — generał Bernhardt Otto Gustaw von Lasch wydał ostatni swój rozkaz — przerwania ognia i złożenia broni. Na gruzach Koenigsbergu wywieszono na znak kapitulacji białe flagi, które rychło zostały zastąpione czerwonymi...

O tym, co w Królewcu działo się w następnych tygodniach, wiadomo z relacji Niemców wysiedlonych potem z miasta. Zabójstwa, gwałty i rabunki. Do tego głód i epidemie dziesiątkujące mieszkańców. Przedtem jednak na polecenie władz radzieckich, najprawdopodobniej Józefa Stalina lub Ławrientija Berii, zwieziono do Królewca (nazwę miasta na Kalinin-



8. Czerwonoarmiści podczas walk na ulicach Królewca wczesną wiosną 1945 roku.

Fotografia archiwalna

grad zmieniono dopiero w 1946 roku) zdemoralizowanych wojną chłopców w wieku od 15 do 20 lat, polecając im... oczyszczenie miasta z ponemieckiego mienia ruchomego. Ogarnięte manią niszczenia młodzieżowe bandy pozbawiły Królewiec wszystkiego, co przedstawiało jakakolwiek wartość, przy okazji mordując wielu cywilnych Niemców.

Czy w tej sytuacji ktoś miał czas i głowę do zajmowania się jakąś tam Bursztynową Komnatą? Po prostu, do jej poszukiwań w potwornie zniszczonym i nadal płonącym mieście. Między bajki należy włożyć te relacje, nierzadko polskich autorów, którzy w zaiste sielankowych warunkach przedstawiali ludzi poszukujących w Królewcu skarbu z Pałacu Jekatierinskiego już w drugiej połowie kwietnia 1945 roku. Nierzetelne są również opracowania radzieckie na ten temat, chociaż ich autorzy samokrytycznie przyznawali, że nikt z zainstalowanych w zdobytym Królewcu wojskowych władz radzieckich w ogóle nie wiedział, że Bursztynową Komnatę Niemcy przywieźli tutaj wkrótce po zajęciu miasta Puszkina. Co więcej, zapewne tylko nieliczni oficerowie Armii Czerwonej, stacjonujący wówczas w Królewcu, kiedykolwiek coś słyszeli o tym unikatowym dziele sztuki.

Ale wkrótce do zniszczonego miasta przyjechał człowiek, który o Bursztynowej Komnacie powinien wiedzieć sporo i natychmiast zorganizować jej poszukiwania. Był nim nieco roztargniony profesor, którego na czas pełnienia specjalnej misji mianowano pułkownikiem Armii Czerwonej. Ten uczony, archeolog, specjalizujący się w dość wąskiej wprawdzie dziedzinie — dzieje plemion zamieszkujących w okresie neolitu i brązu tereny europejskiej części ZSRR — otrzymał polecenie zabezpieczenia dzieł sztuki, zrabowanych przez hitlerowców z muzeów radzieckich, a ukrytych w Królewcu, zwłaszcza zaś obrazów. Znane jest jego nazwisko, chociaż ujawniono je dopiero po śmierci profesora w 1966 roku. Nazywał się Aleksander Jakowlewicz Briusow.

Jak się później okazało, profesor w mundurze pułkownika nie wiedział wówczas o tym, że podczas wojny Bursztynowa Komnata znalazła się w Królewcu, więcej — w ogóle nie wiedział o jej istnieniu. Był to na pewno błąd ludzi, którzy go do byłej stolicy Prus Wschodnich delegowali, ponieważ można przyjąć za pewnik, że wywiad radziecki dowiedział się już w końcu 1942 roku o przewiezieniu skarbu z Pałacu Jekatierińskiego do Królewca. Meldunek agenta powędrował jednak do archiwum i o tym fakcie zapomniano.

Profesor Briusow — jak się rzekło — zmarł w 1966 roku i nic już nie powie. W latach pięćdziesiątych był jednak kilkakrotnie przesłuchiwany przez specjalną komisję radziecką do spraw poszukiwań Bursztynowej Komnaty. Co powiedział? Dmitriew i Jeraszow opisując w książce „Tajemnica Bursztynowej Komnaty” działalność profesora Briusowa w Królewcu mocno ją zbeletryzowali, na tyle, że trudno dzisiaj oddzielić ustalone wówczas fakty od fikcji literackiej. Wydaje się, że w relacji autorów wydanej w 1961 roku książki więcej jest jednak fikcji niż faktów. W każdym razie owa pierwsza wersja radziecka przedstawiała działalność Briusowa (w książce żyjący jeszcze wtedy profesor występował pod pseudonimem) w sposób następujący.

Otóż profesor Briusow rychło nawiązał osobisty kontakt z doktorem Alfredem Rohde, który wraz z żoną przeżył walki o miasto i pozostał w Królewcu. Obaj uczeni zaczęli nawet ze sobą współpracować. Jednak Rohde nigdy ani słowem nie wspomniał swojemu radzieckiemu koledze o Bursztynowej Komnacie, a ten zaś nie pytał, bo o niej wszak nic jeszcze wówczas nie wiedział. Pewnego dnia doktor Rohde zaprowadził profesora na jakiś placyk w zniszczonym centrum Królewca, gdzie pod gruzami rozwalonej kamienicy miały się znajdować ukryte bunkry. Roztargniony profesor nawet nie zapytał swego niemieckiego kolegi, co tam jest schowane. Zadowolili się tylko stwierdzenie, że „nie obrazy z muzeów

radzieckich" i do sprawy już nie wracał. Kilka lat później profesor Briusow nie mógł sobie przypomnieć, w które miejsce zaprowadził go Rohde...

Po kilku miesiącach współpracy obu uczonych, w grudniu 1945 roku doktor Alfred Rohde wraz z żoną zniknęli z Królewca. Jakby zapadli się pod ziemię. Zaalarmowani przez Briusowa funkcjonariusze organów bezpieczeństwa przeprowadzili śledztwo w tej sprawie. Znalaziono między innymi zaświadczenie lekarskie o śmierci małżonków Rohde na dyzenterię. Rychło się jednak okazało, iż było ono sfalszowane. W Królewcu nigdy nie był bowiem zarejestrowany lekarz niemiecki o takim nazwisku, jakie widniało na owym zaświadczeniu. Przeszukano również cmentarze królewieckie. Na żadnym z nich nie odnaleziono grobów lub wspólnego grobu tego małżeństwa.

Radzieccy autorzy książki sugerują, że śledztwa nie prowadzono wówczas zbyt skrupulatnie. Wielu Niemców zniknęło z Królewca w tajemniczych okolicznościach, a w mieście rzeczywiście panowała epidemia dyzenterii.

Oficerowie śledczy — streszczam nadal radziecką wersję wydarzeń zbeletryzowaną w książce „Tajemnica Bursztynowej Komnaty” — zlekceważyli również znaleziony w mieszkaniu niemieckiego uczonego przy Beekstrasse dziennik w formie pamiętnika, zatytułowany „Moja spowiedź”. Rohde miał napisać między innymi:

.....Bursztynowa Komnata, którą otrzymałem z Carskiego Siola latem 1942 roku, umieszczona została w zamku. Od nalotu angielskiego nie ucierpiała. Na początku 1945 roku zapakowano ją pod moim nadzorem i ukryto w lewym skrzydle zamku. 5 kwietnia, w przeddzień szturm, była tam jeszcze. Następnie zaś..."

I w tym miejscu pamiętnik się urywał. Następną kartka była wydarta.

Co sądzić o tym zapisie? No cóż, Dmitriew i Jeraszow byli konsekwentni. Według nich Bursztynową Komnatę przewieziono z okupowanego Puszkina do Królewca dopiero latem 1942 roku i... taki zapis musiał się znaleźć w pamiętniku doktora Rohdego. Pamiętniku — na co wszystko wskazuje — będącego dziełem fantazji radzieckich autorów książki „Tajemnica Bursztynowej Komnaty”.

Późniejsze ustalenia wykluczyły jakąkolwiek bliższą współpracę doktora Rohdego z profesorem Briusowem, aczkolwiek na pewno się spotkali. Było to jednak nie spotkanie dwóch kolegów — naukowców, lecz zwycięzcy z pokonanym. Najnowsze źródła niemieckie twierdzą też, że Rohde i jego żona pozostali w Królewcu nie ze względu na Bursztynową Komnatę, co sugerowali Dmitriew i Jeraszow oraz Ryszard Badowski i Sławomir Orłowski, lecz nie chcąc porzucić sędziwego dziadka. Pod koniec grudnia 1945 roku zmarli na tyfus plamisty.

Jeszcze dalej w gmatwaniu losów małżeństwa Rohde, posunął się Sławomir Orłowski w wydanej w 1976 roku i wspomnianej już tu książce „Bursztynowa Komnata”, w której przedstawił dzieje tego skarbu podczas drugiej wojny światowej, dowolnie operując faktami i wprowadzając liczne postacie fikcyjne. W swej książce Orłowski opisał też moment otrucia małżeństwa Rohde przez niejakiego Ringela — szefa Werwofu — w zajęтым przez wojska radzieckie Królewcu. Werwolf — wbrew temu, co chcą niektórzy — nie był wcale wymysłem propagandy komunistycznej. Ta posthitlerowska organizacja podziemna, składająca się przeważnie z byłych esesmanów i najbardziej fanatycznych działaczy Hitlerjuugend, istniała naprawdę.

W tym miejscu sięgnijmy raz jeszcze do historii drugiej wojny światowej. Otóż w roku 1944, gdy widmo klęski militarnej Niemiec hitlerowskich było coraz wyraźniejsze, na polecenie szefa wydziału wywiadowczego Sztabu Naczelnego

Dowództwa Wojsk Lądowych „Obce Armie Wschód” — generała Reinharda Gehlena — rozpoczęto prace studyjne zmierzające do utworzenia zakonspirowanej organizacji zbrojnej, która w przypadku zajęcia terenów III Rzeszy przez wojska radzieckie lub aliantów zachodnich, prowadziłaby tam działalność sabotażowo-dywersyjną. Powstanie tej organizacji poprzedziły badania naukowe z zakresu socjologii, psychologii i historii. Przeprowadzono również dogłębne studia nad organizacją ruchu oporu na terenach okupowanych przez Niemców, zwłaszcza nad polską Armią Krajową. Te prace studyjne prowadzono w ścisłej konspiracji przed... Hitlerem, ponieważ nawet teoretyczne rozważania nad możliwością oddania nieprzyjacielowi części ziem III Rzeszy uważane były za szerzenie defetyzmu. A za to można było trafić przed pluton egzekucyjny.

Generał Gehlen przedstawił jednak swój projekt generałowi SS Walterowi Schellenbergowi, kierownikowi Urzędu VI (za-graniczna służba wywiadowcza) w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. W tym też czasie podwładni Schellenberga pracowali nad koncepcją podobnej organizacji posthitlerowskiego podziemia. Schellenberg zaryzykował i nieco zmodyfikowany projekt Gehlena przedstawił reichsfuehrerowi SS Heinrichowi Himmlerowi, na którego postępowanie w ostatniej fazie drugiej wojny światowej ów młody i ambitny generał SS miał ogromny wpływ. Reichsfuehrer SS zrazu projekt ów odrzucił, ale szybko doń wrócono, zaś w specjalnym sztabie nowo utworzonej organizacji, zwanej potocznie Werwolfem, znalazł się i sam Himmler.

Bandy Werwolu (wilkołaków) nie odegrały wprawdzie jakiejś ważnej roli i daleko im było do organizacyjnej prężności partyzantki polskiej, radzieckiej lub jugosłowiańskiej, niemniej przez kilka pierwszych lat powojennych prowadziły działalność terrorystyczną głównie na Dolnym Śląsku i Opolszczyźnie, ale także na Pomorzu i w Prusach Wschodnich, w

tym także w części północnej tej byłej prowincji niemieckiej, a więc również i w zajęтым przez Rosjan Królewcu. W maju 1945 roku ostatni prezydent III Rzeszy — wielki admirał Karl Doenitz wydał wszystkim zachodnim formacjom Werwofu rozkaz złożenia broni. Nie dotyczył on jednak wschodnich terenów byłej III Rzeszy, gdzie długo jeszcze oddziały UB i milicji na polskich ziemiach zachodnich i północnych, a jednostki wojsk NKWD w Królewcu i okolicach zwalczały dywersyjne formacje Werwofu.

Wspominam o tej organizacji posthitlerowskiej nie bez kozery. W niektórych publikacjach, nie tylko zresztą we wspomnianej książce Orłowskiego, ludziom spod znaku wilkołaka przypisuje się ważną rolę w ukryciu lub tylko zamaskowaniu miejsca ukrycia skrzyń z Bursztynową Komnatą. Tymczasem najnowsze ustalenia na to nie wskazują.



Wróćmy jednak do owego tajemniczego Ringela. Kim był obersturmbannfuehrer SS Gustaw Georg Ringel? Jego nazwisko pojawiało się w wielu nawet poważnych publikacjach na temat Bursztynowej Komnaty. Jest to wprawdzie postać autentyczna, chociaż publicznie przez długie lata nie ujawniano prawdziwego nazwiska tego podpułkownika SS, który w dziejach bursztynowego skarbu odegrał być może rolę najważniejszą, ale na pewno nie taką, jak chciał Orłowski w swej książce.

Jak zatem narodził się Ringel? Otóż pod koniec lat pięćdziesiątych prasa radziecka zaczęła zamieszczać pierwsze artykuły na temat tajemniczego zaginięcia i poszukiwań Bursztynowej Komnaty. Przedrukowywano je w wielu krajach, zwłaszcza w Polsce i ówczesnej NRD, a także na Zachodzie, głównie w RFN. I oto do redakcji wychodzącego w Berlinie wschodnim czasopisma „Freie Welt” napisał list

młody mieszkaniec Elsterbergu, miasteczka leżącego na południu NRD. Przedstawił się on jako syn zmarłego w 1947 roku podpułkownika SS. Krótco przed śmiercią chory na gruźlicę ojciec opowiedział mu, że pod koniec wojny brał udział w ukrywaniu różnych cennych przedmiotów. Wspominał też o Bursztynowej Komnacie i innych zbiorach bursztynu, a także o bunkrze III na Steindamm. Ciekawski chłopiec zapytał, gdzie dokładnie ów bunkier w Królewcu się znajduje, co ojciec zbył stwierdzeniem, że nie powinno go to obchodzić, ponieważ jest za mały i za głupi...

Aby zaś na młodym człowieku nie zaciążyła zbrodnicza przeszłość jego ojca, dobrego zresztą znajomego gauleitera Ericha Kocha, redakcja „Freie Welt” list ten opublikowała pod pseudonimem „Ringel”.

„Ringel” junior swą relację udokumentował kopiami rozkazów i meldunków znalezionych w piwnicy, ponieważ zaraz po śmierci ojca spalił wszystkie jego dokumenty znajdujące się w mieszkaniu. Trzy z nich dotyczyły właśnie Bursztynowej Komnaty.

Oto fragmenty rozkazu, który z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA) otrzymał przebywający w Królewcu „Ringel” senior:

.....Oczekuje się, że w najbliższym czasie w Królewcu przeprowadzona zostanie OPERACJA ZIELEŃ. W związku z tym powinien pan przeprowadzić akcję Bursztynowa Komnata i dostarczyć ją do znanego panu B. III. (...) Po przeprowadzeniu operacji wejścia, zgodnie z ustaleniem, zamaskować. Jeśli budynek zachował się — wysadzić go w powietrze..."

Kilka, a może kilkanaście dni później obersturmbannführer „Ringel” depeszował do RSHA:

.....Rozkaz został wykonany. Akcja Bursztynowa Komnata przeprowadzona. Wejścia, zgodnie z planem, zamaskowane. Wybuch przyniósł oczekiwane rezultaty..."

A oto jeszcze jeden dokument odnaleziony przez czytelnika „Freie Welt”:

„Przekazano kierownikowi transportu 30 skrzyń z płytkami bursztynu i skrzynie ze zbiorami bursztynowymi zgodnie z rozkazem Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy”.

Kierownikiem konwoju był właśnie podpułkownik SS „Ringel”.

Sprawa jest jednak na tyle tajemnicza, że przed laty przypuszczano, iż młody „Ringel” albo łągał, albo też teksty tych radiogramów odtwarzał z pamięci i wszystko pokręcił. Wszak możliwa jest każda interpretacja tych dokumentów. By jeszcze bardziej zagmatwać całą sprawę trzeba dodać, że istnieje ich pięć różnych wersji, a nigdy nikomu, mimo wielokrotnie ponawianych próśb, nie ujawniono ich oryginałów. Ani w Moskwie, ani w Kaliningradzie, ani też w Berlinie wschodnim.

Jedna z wersji najważniejszego radiogramu brzmi: *„Rozkaz wykonany. Bursztynowa Komnata przejęta przez wartowników i złożona w B. III. Górne piętra wysadzono w powietrze. Straty wskutek starcia z nieprzyjacielem. Czekam na dalsze rozkazy”.* Jak zatem widać, depesza ta dość znacznie różni się od cytowanej uprzednio.

W jeszcze innych wersjach zamiast tajemniczego określenia „B. III.” pojawia się „B. Sz.”, a raczej — według zapisu niemieckiego — „B. Sch”. Błąd ów mógł powstać przed pierwszym opublikowaniem treści radiogramów poprzez kilkakrotne tłumaczenie i przepisywanie z niemieckiego na rosyjski i odwrotnie. Redakcja „Freie Welt” nie odważyła się bowiem opublikować tej depeszy bez konsultacji ze stroną radziecką. Trwały one dość długo, na tyle długo, że syna „Ringela” specjalna komisja radziecka zajmująca się poszukiwaniami Bursztynowej Komnaty zdążyła nawet zaprosić do Kaliningradu. Zaś mechanizm powstania wspomnianego błędu był prosty. Otóż graficzny zapis rzymskiej trójki jest w

rosyjskich maszynach do pisania zastępowany dużą spółgłoską „sz”, w cyrylicy bardzo podobną do III.

Ale co było w oryginale? „B. III.” czy „B. Sch”?

Wspomniałem już, że Rosjanie i Niemcy z NRD nie pokazali nikomu oryginałów cytowanych radiogramów. Dlaczego? W NRD tłumaczono to tym, że Rosjanie depesze te otrzymali wcześniej od... Brytyjczyków. Otóż, wywiad brytyjski, dzięki pomocy poznańskich matematyków, którzy już przed wybuchem wojny złamali tajemnice niemieckiej maszyny szyfrującej „Enigma”, odczytywał większość zaszyfrowanych depesz niemieckich przesyłanych drogą radiową. Po roku 1941 Brytyjczycy przekazywali radzieckim sojusznikom — prawdopodobnie za pośrednictwem działającej w Szwajcarii grupy wywiadowczej Roesslera — wybrane i nierzadko „wyczyszczone” z niektórych szczegółów kopie przejętych radiogramów niemieckich. Wiadomo też, że niezależnie od tego agent wywiadu NKWD Anthony Blunt przekazywał do Moskwy wszystkie odbitki niemieckich radiogramów będących w posiadaniu Brytyjczyków. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć tajemniczość Rosjan, zamieszanie wokół tekstów depesz, jak również ich zniekształcenia. Wielokrotnie tłumaczono je nie tylko z niemieckiego na rosyjski i odwrotnie, ale też z niemieckiego na angielski i potem dopiero na rosyjski.

Trudniej zrozumieć dlaczego w depeszach raz mówi się o „akcji Bursztynowa Komnata”, raz w ogóle o Bursztynowej Komnacie. Aż trudno wprost uwierzyć, by w tym przypadku Niemcy przekazywali przez radio nazwę tego dzieła sztuki otwartym tekstem. Albo zatem określenie to (w języku niemieckim jest to jedno słowo — Bernsteinkabinet) zostało rozszyfrowane później, albo nadgorliwy pracownik jakiejś komisji specjalnej na własną rękę „poprawił” zniekształcony lub niejasny tekst.

Wróćmy jeszcze do ostatniej z cytowanych tu depesz, a raczej jednej z jej wersji. Sformułowanie „przejęta przez

wartowników" jest co najmniej dwuznaczne. Trudno sobie bowiem wyobrazić, by Bursztynowa Komnata nie była strzeżona. Powyższe sformułowanie będzie miało sens tylko wówczas, gdyby oznaczało przekazanie strzeżonego obiektu przez jedną eskortę — innej.

Różnie można też interpretować sformułowanie „*górne piętra wysadzono w powietrze*”. Autor meldunku mógł mieć na myśli zarówno wysadzenie w powietrze ruin stojących w pobliżu bunkra budynków, ale również... podziemnych sztolni. Termin „*piętro*” stosuje się bowiem w Niemczech na określenie poziomych chodników w kopalniach głębinowych i w innych obiektach podziemnych. Zaś sformułowanie „*straty wskutek starcia z nieprzyjacielem*” można logicznie wytłumaczyć tylko w ten sposób, że konwój z Bursztynową Komnatą został zbombardowany lub ostrzelany przez samoloty nieprzyjacielskie, ponieważ trudno sobie wyobrazić, by pchał się on w wir walki lądowej...

Wspomnieniami „Ringela” juniora poważnie zainteresowała się specjalna komisja radziecka do spraw poszukiwań Bursztynowej Komnaty. Czytelnika „Freie Welt” kilkakrotnie zapraszano do Kaliningradu. Niestety, wyjazdy te nie dały żadnych rezultatów.

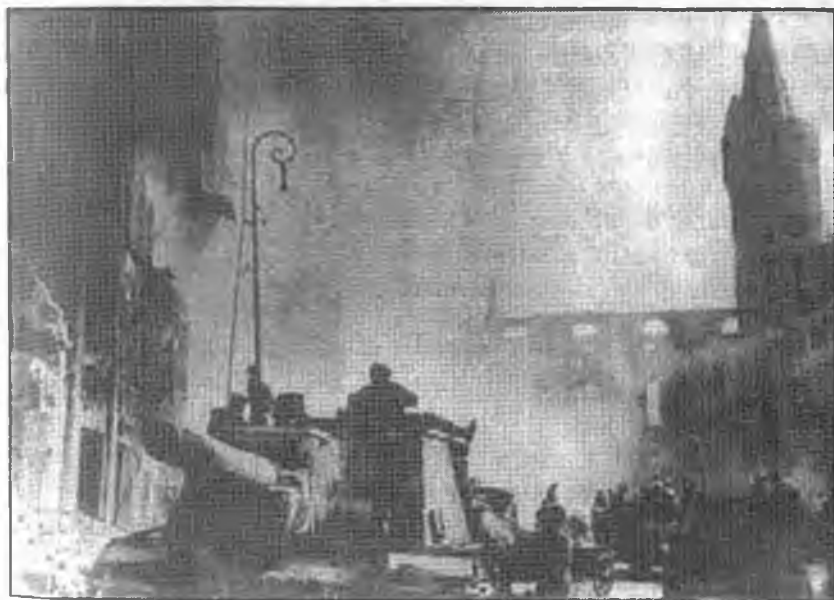
„Ringel” junior powiedział również coś, co zrozumiano opacznie. Popęłnił on wprawdzie błąd, ale błąd ów zinterpretowano tak, jak błąd roztargnionego profesora, a nie kilkulatka, liczącego na palcach spotkania z bardzo rzadko widywanym ojcem. Otóż syn oficera SS powiedział, iż ojciec odwiedził go w Elsterbergu w lutym czterdziestego piątego, krótko po kapitulacji twierdzy królewieckiej. Tymczasem „Festung Koenigsberg” skapitulowała 10 kwietnia, a nie w lutym. Uznano więc, że chłopiec pomylił miesiące.

Jeśli rzeczywiście „Ringel” senior uczestniczył w akcji ukrywania Bursztynowej Komnaty, to jego syn nie pomylił

miesiący. Dobrze zapamiętał, że ojciec odwiedził go w lutym. Żyjąc zaś w odległym od Królewca Elsterbergu pomylił się co do daty kapitulacji „Festung Koenigsberg”.

Ale błędna interpretacja słów młodego „Ringela” zaczęła żyć własnym życiem. Jeśli — rozumowano — „Ringel” senior przebywał w Królewcu jeszcze na początku kwietnia 1945 roku, to już tylko w tym mieście lub w jego najbliższych okolicach mógł uczestniczyć w ukrywaniu różnych cennych przedmiotów, wśród których Bursztynowa Komnata była skarbem najcenniejszym.

Być może młody „Ringel” coś jeszcze pomylił, być może też jego ojciec, nagabywany przez syna, na oczekaniu wymyślił bajeczkę o tajemniczym bunkrze III na Steindamm w



9. Gdy 10 kwietnia 1945 roku Królewiec zajęła Armia Czerwona, skrzyń z Bursztynową Komnatą nie było w ruinach widocznego na zdjęciu po-
kryżackiego zamku.

Fotografia archiwalna.

Królewcu, chociaż niektórzy mieszkańcy dawnej stolicy byłych Prus Wschodnich zaklinali się, że widzieli go na własne oczy. A ściślej — widzieli placyk, a na nim skwer, z zieleni którego wystawały otwory wentylacyjne. Według niemożliwych już do zweryfikowania relacji, na krótko przed zajęciem Królewca przez Rosjan, w owym bunkrze na Steindamm miano ukryć jakieś skrzynie, a następnie zamaskować to miejsce poprzez wysadzenie w powietrze wypalonych kamienic otaczających ów plac.

Obecnie w tym miejscu przebiega ponoć jedna z ruchliwszych ulic śródmieścia Kaliningradu. Zapyta ktoś, dlaczego podczas wytyczania, a następnie budowy tej ulicy nie natrafiono na ów ukryty bunkier? Chyba tylko dlatego, że w byłym Królewcu, podobnie zresztą jak i w niektórych innych miastach mocno zniszczonych podczas działań wojennych, usuwano tylko część ruin, resztę zaś niwelowano, na warstwie gruzów, przysypanych ziemią, zakładając choćby parki, skwery i place lub wytyczając ulice. I tak na przykład w drugiej połowie lat czterdziestych wybudowano część tak zwanej arterii nadodrzańskiej w Szczecinie, w ten sposób powstało też nowe centrum Kaliningradu, gdzie miast odkryć tajemniczy bunkier III, zamaskowano go na dobre. Kto wie, czy nie na wieczność...

Nasuwa się teraz pytanie, co schowano w tym bunkrze, jeśli on rzeczywiście istniał? Niemal wszystko wskazuje na to, że nie Bursztynową Komnatę. Ale biorąc pod uwagę fakt, że po raz ostatni widziano ją w Królewcu, szukano jej przede wszystkim w Kaliningradzie. Zapraszano więc do tego miasta (do początku lat dziewięćdziesiątych obwód kaliningradzki uznawany był przez władze byłego ZSRR za militarną strefę zamkniętą, gdzie bez specjalnych przepustek nie można było przyjechać lub stąd wyjechać) świadków, którzy coś istotnego wiedzieli, albo też wiedzieć mogli. Przyjeżdżali obywatele

ówczesnego Związku Radzieckiego, których wojna zagnała do Prus Wschodnich, przyjeżdżali Polacy oraz Niemcy, nierzadko ludzie urodzeni i wychowani w Królewcu, znający tu ongiś każdy kąt i zaułek. A jednak po latach gubili się w zupełnie już teraz obcym mieście, a znane im z młodości ulice, place, parki i skwery wydawały się jakby inne. Bezradnie więc rozkładali ręce, zdając się mówić „to już inne miasto”.

Rzeczywiście, Kaliningrad w niewielkim stopniu przypomina dawny Królewiec. Wojskowy charakter miasta i okolic sprawił, iż pod względem gospodarczym przez wiele lat powojennych był to obszar zapomniany i zrujnowany. Odbudowa zaś ze zniszczeń wojennych trwała długo i miała przebieg chaotyczny, dostosowany dla doraźnych celów. Nie liczonego się w ogóle z zabytkowym charakterem tej dawnej „Wenecji Północy”. W końcu lat sześćdziesiątych wysadzono w powietrze ruiny zamku, uzasadniając ten barbarzyński akt jako zniszczenie „symbolu niemieckiego imperializmu i ekspansji”, nie odbudowano wielu innych obiektów zabytkowych, w tym starej gotyckiej katedry, której szkielet góruje nad miastem.

Działająca w Kaliningradzie komisja do spraw poszukiwań Bursztynowej Komnaty sprawdzała wszystkie, z różnych stron nadchodzące sygnały. Szukano zwłaszcza bunkrów, schronów, lochów i innych przemyślnych schowków. Ekipom poszukiwawczym wielokrotnie zdawało się, że za chwilę odkopią i wyciągną na powierzchnię skrzynie ze skarbem zrabowanym z Pałacu Jekatierńskiego. A tymczasem znajdowano przeróżne dokumenty i formularze administracji hitlerowskiej, sprzęt biurowy, jak na przykład przeżarte korozją maszyny do pisania, a także broń i amunicję, zdemontowane z fabryk maszyny... Zdarzały się też ukryte dzieła sztuki, ale nie było wśród nich skarbu najcenniejszego. Właśnie Bursztynowej Komnaty.

Jeszcze w końcu lat osiemdziesiątych podjęto w Kaliningradzie próbę dotarcia do podziemi zwanych lodownią byłego

browaru królewieckiego, gdzie wczesną wiosną 1945 roku miano ukryć jakieś skrzynie z eksponatami muzealnymi. Ekspedycja zakończyła się chyba niepowodzeniem, ponieważ nie poinformowano opinii publicznej, czy w ogóle udało się dotrzeć do zasypanych podziemi browaru, mających znajdować się pod wybudowaną po wojnie halą produkcyjną jednego z kaliningradzkich przedsiębiorstw.

JEDNO SŁOWO GAULEITERA

W Hasenmoor, małej miejscowości leżącej niedaleko Hamburga, latem 1945 roku zjawił się krępy człowiek w okularach. Wprawdzie jego dokumenty wskazywały, że jest majorem rezerwy i nazywa się Rolf Berger, to jednak nie odznaczał się wojskową postawą. A ponadto raził miejscowych swym zachowaniem. Stronił od ludzi, prowadząc życie samotnika. Mieszkańcy Hasenmoor tłumaczyli to wojennymi przejściami majora Bergera. Od kogoś bowiem usłyszeli, że podczas wojny stracił nie tylko cały swój majątek, ale także najbliższą rodzinę. Nikt jednak nie zainteresował się bliżej tym, że major w tak trudnych dla Niemców czasach powojennych dysponował pieniędzmi, regularnie płacąc dość słone sumy za wynajęty domek.

Po roku odnalazła się żona majora Bergera, pani Ilza. Zamieszkała z mężem, a i sam major otrząsnął się już chyba z wojennych przeżyć, ponieważ zaczął unikać samotności i coraz częściej zaglądał do miejscowej knajpy, by wypić kufel piwa. Zaczął też rozmawiać z ludźmi, chociaż starał się unikać spotkań z uciekinierami z Prus Wschodnich.

I ta idylla trwałaby zapewne długie jeszcze lata, gdyby któregoś dnia major nie zdecydował się wybrać na zebranie ziomkostwa z Prus Wschodnich. Usiadł gdzieś w kącie i uważnie przysłuchiwał się dyskusji, w której często wymieniano jego nazwisko. Jego prawdziwe nazwisko. I to wyłącznie w wyjątkowo niepochlebnym kontekście...

Nie wytrzymał więc tej krytyki... to go zgubiło. Poprosił bowiem o głos. Gdy znalazł się na mównicy, ktoś z sali krzyknął:

— *To on! Poznaję go! To najgorszy wśród nas, oby był przeklęty. To Erich Koch!*

W tumultcie, jaki wybuchł na sali po tych słowach, Rolf Berger zniknął. Nie na długo. Po kilku dniach przed jego domkiem w Hasenmoor zatrzymał się „Jeep”, z którego wyskoczyło kilku żołnierzy brytyjskich z bronią gotową do strzału.

Berger nie próbował uciekać, chociaż od momentu rozpoznania go na zebraniu ziomkostwa liczył się z aresztowaniem.

— *Pan jest Erichem Kochem?* — zapytał oficer.

— *Tak, to ja.*

— *Pozwoli pan z nami.*

Aresztowany Erich Koch nie przewidział jednego. Liczył bowiem, że stanie przed niemieckim sądem i w najgorszym razie zostanie skazany na kilka lat pobytu w więzieniu. W najczarniejszych nawet myślach nie wyobrażał sobie, że niemal w samym środku zimnej wojny zostanie przekazany za „żelazną kurtynę”. Ówczesny rząd polski, dowiedziawszy się o aresztowaniu Kocha, zażądał jego ekstradycji, motywując swój wniosek licznymi zbrodniami wojennymi i przeciwko ludzkości, popełnionymi przez niego na okupowanych ziemiach Rzeczypospolitej Polskiej, przede wszystkim na Białostocczyźnie, Suwalszczyźnie i Ziemi Ciechanowskiej. Brytyjski Trybunał Ekstradycyjny w Hamburgu po krótkim śledztwie postanowił uczynić zadość żądaniu Polaków.

Był rok 1950.

★

Gdy w nocy z 9 na 10 kwietnia 1945 roku skapitulowała „Festung Koenigsberg”, gauleiter Erich Koch przebywał w

swej nadmorskiej willi, leżącej na samym końcu Mierzei Wiślanej koło miejscowości Neutief. Jeszcze tego samego dnia nadał radiogram do Hitlera: „*Mein Fuehrer! Dowódca Królewca, generał Lasch, wykorzystał moment mojej nieobecności w twierdzy, aby tchórzliwie kapitulować. Ja bronię się nadal w Sambii i na Mierzei Wiślanej*”. Na podstawie tego radiogramu Hitler skazał Lascha na śmierć, a jego rodzinę represjonowano. Generała Bernhardta von Lascha uratowała jedynie niewola radziecka, którą — w odróżnieniu od wielu jego podwładnych — przeżył i wrócił do RFN...

Mimo utraty stolicy Prus Wschodnich i znacznej części terytorium tej prowincji, Koch nadal zachowywał się jak udzielny książę, bezceremonialnie wtracając się w decyzje dowódców wojskowych i śląc do Berlina wiernopoddańcze radiogramy, upewniające Hitlera i jego świętę, że gauleiter nadal broni Prus Wschodnich przed bolszewikami. Czuł się nadal wielkim Kochem, starym towarzyszem partyjnym Hitlera z pierwszych lat działalności w ruchu nazistowskim i nadal szczylił się legitymacją NSDAP z numerem 90.

25 kwietnia Koch z grupą najbliższych i najwierniejszych współpracowników oraz silną eskortą esesmanów opuścił swą nadmorską willę i drogą przez Krynicę Morską i Sztutowo, wśród tłumów ogarniętych paniką cywilnych uciekinierów, dotarł do ujścia Wisły. Tam eskorta gauleitera, wygrażając pistoletami maszynowymi, zarekwirowała łódź patrolową nr 545. Na jej pokładzie przepłynięto na Półwysep Helski, gdzie na Kocha czekał już lodolamacz o wymownej nazwie „Ostpreussen” (Prusy Wschodnie).

Wieczorem 27 kwietnia lodolamacz z Kochem i grupką jego ludzi opuścił port helski, by 2 maja zawinąć do Kopenhagi. Okupacyjne jeszcze władze niemieckie nie pozwoliły jednak nikomu zejść na ląd. Nawet jemu, do niedawna potężnemu gauleiterowi Prus Wschodnich.

5 maja na rozkaz niemieckich władz wojskowych lo-
dołamacz „Ostpreussen” opuścił port w Kopenhadze. Na
pełnym morzu pasażerowie zdjęli brunatne mundury partyj-
ne i wrzucili je do wody. Morze pochłonęło też ich broń i
prawdziwe dokumenty...

Kilka tygodni później w Hasenmoor zjawił się major rezerwy
Rolf Berger.



Był poniedziałek, 9 marca 1959 roku. Największa sala w
gmachu sądowym na Lesznie w Warszawie zapełniona była do
ostatniego miejsca. Wielu ludzi stało na korytarzu. Swe
miejsce zajął też oskarżony, który usiadł w towarzystwie
dwóch rosyjskich milicjantów. Jak zapamiętali świadkowie,
Erich Koch był tego dnia wyjątkowo spokojny. Czyżby wie-
dział, że wyrok, który niechybnie tu za chwilę zapadnie, nie
zostanie wykonany? Czy obiecano mu życie za jakieś informa-
cje? Na przykład za informacje o miejscu ukrycia Bursztyno-
wej Komnaty...

Osiem lat czekał Koch w Polsce na rozprawę, chociaż
śledztwo zakończono stosunkowo szybko. Dlaczego tak długo
zwlekano z postawieniem byłego gauleitera przed sądem?
Ponoć z powodu jego ciężkiej choroby. Ponoć, ponieważ w
pierwszych kilku latach przebywania Kocha w polskim
więzieniu nie cackano się z wieloma autentycznymi bohaterami
walk o wolność Polski: żołnierzami Armii Krajowej i
Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, a nawet Armii Ludowej.
Dlaczego ten zbrodniarz hitlerowski cieszył się wyjątkowymi
względami ówczesnego wymiaru sprawiedliwości?

— Proszę wstać! Sąd idzie! — głos woźnego przerwał
prowadzone półgłosem rozmowy.

Sędzia Edward Binkiewicz, mrużąc oczy przed jaskrawym
światłem zapalonych reflektorów Polskiej Kroniki Filmowej i
jupiterów telewizji, zaczął odczytywać wyrok:

— W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej Sąd Wojewódzki dla województwa warszawskiego uznaje oskarżonego Ericha Kocha za winnego popełnienia zbrodni z artykułu 1 punkt 1 dekretu z dnia 31 sierpnia 1944 roku o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy, winnego zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami — przez to, iż w okresie od 1 września 1939 do kwietnia 1945 roku na terytoriach Rzeczypospolitej Polskiej, przyłączonych do Prus Wschodnich jako tak zwany Okręg Ciechanowski i Okręg Suwalski oraz na terenie Okręgu Białostockiego, jako gauleiter NSDAP oraz nadprezydent, a następnie szef zarządu cywilnego Okręgu Białostockiego, działając ze względów politycznych, narodowościowych i rasowych, z własnej inicjatywy bądź też w urzeczywistnieniu przestępczych wskazań władz państwowych III Rzeszy i władz NSDAP brał udział w dokonywaniu zabójstw osób spośród ludności cywilnej, przez planowanie, podżeganie i udzielanie pomocy w zabójstwach osób, uważanych przez reżim hitlerowski za przeszkodę w utrzymaniu i ugruntowaniu hitlerowskiego władztwa na podległych mu okupowanych terytoriach polskich — i za to, na zasadzie artykułu 1 punkt 1 cytowanego wyżej dekretu skazuje oskarżonego Ericha Kocha na karę śmierci...

Kary tej, pod pretekstem obłożnej choroby skazanego, nigdy nie wykonano. Kochowi darowano jeszcze prawie trzydzieści lat życia, które spędził w polskich więzieniach, przede wszystkim w podolsztyńskim Barczewie, a więc w mieście leżącym w dawnych Prusach Wschodnich.

Po procesie, w więzieniu odwiedzał Kocha polski dziennikarz Sławomir Orłowski, autor wydanej w 1976 roku i wspomnianej już tu książki „Bursztynowa Komnata” i jej znacznie szerszej wersji z 1990 roku „Tajemnica gauleitera”. Na te wizyty Orłowski otrzymał zgodę władz sądowych. O czym



10. Erich Koch przed polskim sądem.

Fotografia archiwalna.

rozmawiali? O latach rządów Kocha w Prusach Wschodnich, ale także i o Bursztynowej Komnacie. W latach 1973 i 1974 w czasopiśmie „Barwy” Orłowski opublikował cykl artykułów pod tytułem „Wyznanie gauleitera”, a wcześniej w kilku innych pismach zamieścił fragmenty swoich rozmów z hitlerowskim wielkorządcą Prus Wschodnich. Według Orłowskiego, Koch miał powiedzieć między innymi:

„Gdy Rosjanie bezpośrednio zagrozili miastu (czyli Królewcowi — przyp. L. A.) zwróciłem się do Hitlera z prośbą o przystanie ludzi do ukrycia cennych dzieł sztuki, papierów i dokumentów rządowych oraz kosztowności. Himmler przystał mi dziesięciu ludzi pod dowództwem Ringela. Wiem, że wozili się z komnatą do Piławy, żeby dzieło wywieźć morzem do Rzeszy, ale nic z tego nie wyszło i w rezultacie wrócili do Królewca. Przy pomocy Żydów, których później rozstrzelali, żeby nie mieć świadków, ukrywali nocami w tajemnicy te dzieła sztuki, kosztowności i dokumenty. Ja na te sprawy nie miałem wpływu, ani się nie zajmowałem, będąc zaabsorbowany obroną miasta. Wszystkie tego rodzaju sprawy przekazałem nadburmistrzowi Królewca, Helmutowi Willowi i poleciłem Ringelowi z nim się skontaktować”.

Co sądzić o tej wypowiedzi? Wszak Koch nie mógł w niej użyć nazwiska „Ringel”, które było przecież pseudonimem wymyślonym przez redakcję „Freie Welt”, ale pseudonimem człowieka, którego Koch rzeczywiście znał. Mógł więc domyślić się, o kogo chodzi, ponieważ w polskim więzieniu regularnie czytał prasę, zarówno polską, jak i NRD-owską. Mógł się domyślić, gdyby faktycznie doszło do wydarzeń, których opis Orłowski wsadził w usta Kocha. Tymczasem człowiek, którego w 1959 roku ukryto pod pseudonimem „Ringel”, w czasie obrony Królewca nie przebywał już w Prusach Wschodnich.

Ale zapoznajmy się z dalszym ciągiem opowieści byłego gauleitera w interpretacji Sławomira Orłowskiego. Na pyta-

nie, czy zna bunkry, w których została ukryta Bursztynowa Komnata, Koch miał rzekomo odpowiedzieć:

„Znam dwa schrony w okolicy starego kościółka w byłej dzielnicy Ponarth. Byłem wtedy na Półwyspie Sambijskim. Helmut Will i Ringel zadzwonili do mnie, zawiadamiając, że następnego dnia dowódca obrony Królewca, generał Lasch, poddaje miasto Rosjanom. Wtedy to właśnie Ringel wspominał, że dwa obrazy z mojej prywatnej galerii zostały ukryte w tych dwóch bunkrach koło kościółka. Mówił mi, że ukryto tam również inne dzieła sztuki. Później bunkry zasypano i wysadzono w powietrze okoliczne domy, pozorując usypisko. Być może, właśnie tam jest Bursztynowa Komnata... Podczas tej rozmowy spytałem nawet Ringela, co się stało z komnatą, ale gdy mi zaczął opowiadać, niespodziewanie straciliśmy połączenie. Widocznie pocisk uszkodził ostatnią linię łączącą Królewiec ze światem...”

Rozwijając intrygę Orłowski zgubił już chyba wątek, ponieważ w innym miejscu wsadził w usta Kocha następujące słowa o Bursztynowej Komnacie:

„Doktor Rohde ukrył ją na własną rękę. Ja nie miałem czasu zajmować się tymi sprawami. Mogę natomiast zagwarantować, że komnata ukryta jest w Królewcu... Widziałem skrzynie, w których była zapakowana i mówił mi o niej doktor Rohde, gdy miasto było już odcięte od zaplecza...”

Kto więc ukrył Bursztynową Komnatę w Królewcu? „Ringel” czy doktor Alfred Rohde? I co naprawdę powiedział Koch Orłowskiemu?

Nie uprzedzając wydarzeń warto w tym miejscu zaznaczyć, że z byłym gauleiterem Prus Wschodnich rozmawiali w polskim więzieniu członkowie komisji wschodnioniemieckiej zajmującej się swego czasu poszukiwaniami skarbu z Pałacu Jekatierńskiego. Koch nie powiedział im wiele, ale wystarczająco, by w połączeniu z informacjami publikowanymi systematycznie w RFN i po skonfrontowaniu tego wszystkiego

z zachowanymi, a raczej tylko z nielicznymi odtajnionymi dokumentami niemieckimi na ten temat, udało się z grubsza odtworzyć ostatnią drogę Bursztynowej Komnaty...

Wróćmy jednak do rozmowy Kocha z Orłowskim. Co temu ostatniemu powiedział były gauleiter? Otóż w maju 1972 roku, na polecenie Ministerstwa Sprawiedliwości PRL, odwiedził Kocha w więzieniu Waclaw Szulc z ówczesnej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Sprowadził go tam list, który były gauleiter wysłał do ministra sprawiedliwości. Twierdził w nim, że posiada informacje o masakrze Polaków, pracowników leśnych, dokonanej w okolicach Kowla przez nacjonalistów ukraińskich. Jego zeznanie w tej sprawie mogło mieć duże znaczenie dla komisji i dlatego też delegowano Szulca do więzienia.

Gdy Kocha wprowadzono do gabinetu zastępcy naczelnika zakładu karnego, prezentował się bardzo dobrze. W wywiadzie udzielonym Andrzejowi Gassowi i opublikowanym na łamach szczecińskiego tygodnika „Morze i Ziemia” w numerze z 18 — 24 czerwca 1986 roku Szulc powiedział:

„Mimo podeszłego wieku wyglądał krzepko, był starannie ubrany, w strój więzienny ale czysty i wyprasowany. W kieszonce na piersiach kokieteryjnie tkwiła chusteczka, na nogach miał niewięzienne pantofle. Wyglądał jak starszy, przyjemny pan. Przedstawiłem się. Koch powiedział, że zaraz wszystko wyjaśni i zaczął opowiadać historię... całego swojego życia.

Taka właśnie rozmowa — Koch o sobie, ja o czym innym — trwała ponad dwie godziny i nie mogliśmy w żaden sposób zbliżyć się do tematu. Wreszcie, w dość stanowczej formie, zażądałem, aby Koch odpowiadał na moje pytania dotyczące owej zbrodni, o której miał mieć wiadomości.

Koch wówczas jakby się nastroszył, zachnął i powiedział, że jeśli ja nie chcę wysłuchać wszystkiego, to jak on może mówić o jednej sprawie: przecież musi namalować tło. No i

dalej potoczyła się opowieść Kocha, tym razem już o czasach wojennych...”

Wacław Szulc niewiele dowiedział się o zbrodni w okolicach Kowla, a więc na okupowanych przez Niemców terenach ukraińskich, gdzie Koch był komisarzem Rzeszy. Odstąpił zatem od przesłuchania i... Oto dalszy fragment wywiadu z Szulcem:

„Kiedy Koch w tej swojej gadaninie poruszył już wiele tematów, zwróciłem się do niego z pytaniem o Bursztynową Komnatę, której sprawa była wówczas głośna. Poprosiłem Kocha, aby mi opowiedział — ale serio i uczciwie — co on na ten temat wie. I proszę sobie wyobrazić, że Koch powiedział, iż on faktycznie o losie Bursztynowej Komnaty nie wie nic! Zaklinał się, dawał mi na to słowo honoru!

Ponieważ znałem artykuły redaktora Sławomira Orłowskiego, napisane na podstawie rozmowy z Kochem, powiedziałem, iż przecież udzielił wypowiedzi, z której wynikało, iż coś wie o akcji ukrywania komnaty, a być może zna miejsce, w którym się ten zabytek sztuki znajduje.

I wtedy Koch wybuchnął. Po raz pierwszy bardzo zdenerwował się i podniósł głos. Powiedział, że ma duże pretensje do Orłowskiego, ponieważ ten przeinaczył jego słowa. Koch zwierzył się, iż gdy Orłowski przyjechał do niego do zakładu karnego na drugą rozmowę i przywiózł swoje artykuły napisane na podstawie rozmowy z nim, to on, Koch, znał już ich treść, gdyż stale czytuje polską prasę. Wówczas — jak twierdził Koch — wystąpił on wobec dziennikarza z wielkimi pretensjami, pytając dlaczego włożył mu w usta zdania, których nigdy nie wypowiedział. Wtedy relato refero — dziennikarz Orłowski, tak twierdził Koch, miał powiedzieć: — Panie Koch, a co to panu szkodzi?...”

Zapamiętajmy te słowa. Zdaniem Kocha, Sławomir Orłowski włożył mu w usta słowa, których on nigdy na temat Bursztynowej Komnaty nie wypowiedział. Orłowski pomieszał

prawdę z fikcją tak finezyjnie, że nie da się już teraz oddzielić słów byłego dygnitarza hitlerowskiego od zmyśleń dziennikarza. Szkoda.

Rzecz jasna, podczas rozmowy z Waławem Szulcem, Koch mógł beczelnie kłamać. Mógł co innego opowiedzieć wysłannikowi Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, a co innego wcześniej, żadnemu sensacji, dziennikarzowi. Teoretycznie jest to możliwe, ale bardzo mało prawdopodobne. Sławomir Orłowski, wbrew ujawnionym później faktom, w wydanej w 1990 roku książce „Tajemnica gauleitera” podtrzymał bowiem w zasadzie to, co kiedyś włożył w usta byłego gauleitera Prus Wschodnich.

Ale Waław Szulc nie byłby wytrawnym prawnikiem, gdyby nie zaczął drażyć Kocha na temat losów Bursztynowej Komnaty. Próbował wydobyć jakieś konkretne szczegóły.

„W końcu przyparłem go wręcz do muru mówiąc, że przecież on, Koch, z racji swojej funkcji musiał wiedzieć, w jaki sposób i gdzie ukryto tak cenny łup wojenny. W jego urzędzie skupiały się przecież wszystkie decyzje, poza tym Koch urzędował w zamku królewieckim, a tam właśnie znajdowała się komnata po przywiezieniu z Leningradu. Koch, przyciskany pytaniami zaczął — moim zdaniem dosyć logicznie — wyjaśniać dlaczego nic nie wiedział o losach komnaty. Powiedział, iż był przecież gauleiterem, a więc do zakresu jego obowiązków należały sprawy administracji cywilnej. Natomiast Bursztynowa Komnata była zdobyczą wojenną. Zdobyczami wojennymi zaś zajmowały się dwie instytucje: specjalne oddziały do spraw zdobyczy wojennych przy Wehrmachcie i takie same oddziały przy wojskach SS. Zdaniem Kocha, tylko któraś z tych specjalnych jednostek mogła zajmować się ewakuacją komnaty i tylko ludzie wchodzący w ich skład mogliby coś wiedzieć o losie Bursztynowej Komnaty”.

Być może nieświadomie Kochowi wymsknęło się słowo, na które czekano. Powiedział przecież „któraś z tych specjalnych

*jednostek mogła zajmować się ewakuacją komnaty".
Bursztynową Komnatę wywieziono więc z Królewca!*

Erich Koch już nic więcej nie powie. Zmarł bowiem w Barczewie 12 listopada 1986 roku w wieku 90 lat, z czego 37 lat spędził przede wszystkim w polskich więzieniach.

NA PASTWIE LOSU

Ci, którzy przeżyli tę upiorną noc, zapamiętali ją do końca życia. Często śniły im się sceny, po których w środku nocy zrywali się z łóżka. Ci zaś, którzy wtedy zginęli w lodowatych wodach Bałtyku, spoczywają nie opodal wraku statku. Lub w jego rozerwanym eksplozjami torped wnętrzu. Wydawałoby się, że spoczywają w spokoju, ale to nieprawda. Ich spokój wieczny zakłócano wiele razy...

Na mapach Bałtyku ten swoisty cmentarz oznaczony jest czymś w rodzaju krzyżyka. Nie, to nie jest znak martyrologiczny. To tylko ostrzeżenie, że tuż pod wodą jest przeszkoda. A raczej była, ponieważ przed laty ładunkami wybuchowymi zniszczono maszty tego statku, które mogły być przeszkodą dla żeglugi, a zwłaszcza dla rybaków, gdy zrywały im zarzucone w morze sieci. Od końca stycznia 1945 roku na miejscu jednej z większych, a na pewno jednej z bardziej spektakularnych tragedii morskich czasów drugiej wojny światowej przelewają się fale Bałtyku.



Wilhelm Gustloff nie był ani pisarzem, aktorem czy uczonym, ani nawet arystokratą lub sławnym dowódcą wojskowym. Był po prostu nikim. A jednak jego imię nosił najnowocześniejszy statek pasażerski, na który zdobyła się III Rzesza. Ten liniowiec został wybudowany w roku 1937, miał pojemność brutto 25 484 RT (o rok starszy polski „Batory” pod względem wyporności był o ponad 10 tysięcy RT brutto mniejszy), napędzany silnikiem spalinowym. Ta chluba floty niemieckiej miała dziewięć pokładów, basen pływacki,

liczne restauracje i bary, ogród zimowy, dwie sale teatralno-kinowe, komfortowo urządzone kajuty pasażerskie. I nadana jej z woli Hitlera nazwę — „Wilhelm Gustloff”, czyli imię i nazwisko poległego w jakiejś ulicznej burdzie zabijaki z SA, który stał się bohaterem ruchu hitlerowskiego.

W tym czasie, gdy dużo mniejszy „Batory” odbywał regularne rejsy z Gdyni do Stanów Zjednoczonych, „Wilhelm Gustloff” kursował między różnymi portami z wycieczkami organizowanymi przez Niemiecki Front Pracy, czyli hitlerowskie pseudozwiązki zawodowe. Kursował aż do lata 1939 roku, gdy nad Europą zaczęły się zbierać ciemne chmury zwiastujące nadciągającą nieuchronnie zawieruchę wojenną. Ten nowoczesny liniowiec trafił do stoczni, gdzie zaadaptowano go na okręt szpitalny, po czym podniesiono na nim banderę wojenną III Rzeszy.

We wrześniu 1939 roku „Wilhelm Gustloff” z dużymi znakami Czerwonego Krzyża na burtach przyplynał do właśnie zajętej przez Wehrmacht Gdyni, by zabrać żołnierzy niemieckich, którzy odnieśli rany w walkach o gdańskie Westerplatte, Gdynię i Hel. W następnym roku z burt liniowca zniknęły znaki Czerwonego Krzyża, zaś na pokładach pojawiły się działa przeciwlotnicze. „Wilhelm Gustloff” został przekształcony w pływającą bazę okrętów podwodnych Kriegsmarine jako okręt towarzyszący drugiemu szkolnemu dywizjonowi okrętów podwodnych (II U-Bootlehrdivision). I tę funkcję „Gustloff” spełniał aż do swego tragicznego końca.



Był styczeń 1945 roku. Działania wojenne w Europie zbliżały się do końca. W połowie tego miesiąca Armia Czerwona i towarzyszące jej dywizje 1 Armii Wojska Polskiego rozpoczęły gigantyczną ofensywę, wypierając Niemców nie tylko z okupowanych ziem polskich, ale również z ówczesnych

terytoriów III Rzeszy, zwłaszcza Prus Wschodnich. 23 stycznia czolgi radzieckie niespodziewanie pojawiły się na ulicach Elbląga, siejąc panikę wśród tysięcy zaskoczonych mieszkańców i uciekinierów, a następnie dotarły do zamarzniętych wód Zalewu Wiślanego. Tym samym bezpośrednio zagrożona została wielka bałtycka baza Kriegsmarine w Gottenhafen, czyli w Gdyni. A tam oraz w pobliskim Gdańsku znajdowały się: „Wilhelm Gustloff” oraz drugi okręt towarzyszący dywizjonowi szkolnemu, również przystosowany do celów wojskowych statek pasażerski „Hansa”, nieco starszy i mniejszy od pierwszego. Znajdowało się też kilka tysięcy osób znakomicie wyszkolonego personelu floty podwodnej, na który w portach północno-zachodnich Niemiec czekały nowe okręty podwodne.

Adolf Hitler i dowódca Kriegsmarine — wielki admirał Karl Doenitz zamierzali w tych styczniowych dniach wznowić wojnę podwodną przeciwko Wielkiej Brytanii i Stanom Zjednoczonym. Potrzebne zatem były wyszkolone załogi, a te zaś znajdowały się w Gdyni i Gdańsku. W otoczeniu Doenitza zrodził się zaiste szatański, a faktycznie zbrodniczy plan. Personel floty podwodnej zamierzano ewakuować z zagrożonych przez Armię Czerwoną portów znad Zatoki Gdańskiej do Kilonii i Flensburga na pokładach „Wilhelma Gustloffa” i „Hansy” razem z rannymi żołnierzami niemieckimi i ludnością cywilną. Ranni oraz starcy, kobiety i dzieci mieli zamaskować ewakuację personelu floty podwodnej przed ewentualnymi agentami służb wywiadowczych przeciwnika.

Tak przynajmniej sądzili autorzy tego zbrodniczego planu, który przypisuje się albo samemu Doenitzowi, albo dowódcy floty podwodnej — admirałowi Hansowi von Friedenburgowi. W każdym razie urzędujący w Gdyni komandor Victor Schuetze, dowódca flotylli szkoleniowych okrętów podwodnych, otrzymał stosowny rozkaz ewakuacji. Rozkaz był tak tajny, że

faktycznego celu tego przedsięwzięcia nie znali oficerowie sztabowi Kriegsmarine z Gdyni, odpowiedzialni za dostarczenie bojowych okrętów eskorty.

Gdy wczesnym popołudniem we wtorek, 30 stycznia 1945 roku, oba wypełnione po brzegi ludźmi transportowce opuszczały Gdynię, komandor Schuetze był dobrej myśli. Przede wszystkim sprzyjała pogoda. Wiał dość silny wiatr, morze było wzburzone. Nie była to przeszkoda dla dużych statków, zaś sztorm mógł zmusić okręty podwodne przeciwnika do skrycia się w głębinach Bałtyku. Sprzyjała też stosunkowo duża prędkość transportowców, dochodząca do 16 węzłów. Przy takiej prędkości ewentualnego celu, okrętowi podwodnemu jest dość trudno wykonać skuteczny atak torpedowy, zwłaszcza przy sztormowej pogodzie.

Ale od samego początku rejsu „Wilhelmowi Gustloffowi” towarzyszył pech. Najpierw okazało się, że oba transportowce nie otrzymają właściwej eskorty okrętów bojowych, ponieważ ze względu na tajność całej operacji nie zadbano upomnieć się o takowe. Tak więc wraz z transportowcami opuściły port gdyński tylko torpedowiec „Loewe” i nieco mniejszy od niego poławiacz torped „TF 19”, należące zresztą organizacyjnie do II U-Bootlehrdivision.

Gdy zespół okrętów zbliżał się do cypla Półwyspu Helskiego, na „Hansie” nastąpiła awaria steru i transportowiec w asyście holowników musiał zawrócić do Gdyni. Nieco później również zawrócił do Gdyni poławiacz torped „TF 19”, którego załoga nie mogła dać sobie rady z dużą falą i wiatrem. Rejs kontynuował tylko „Wilhelm Gustloff” w towarzystwie torpedowca „Loewe”.

Dochodziła godzina 19.10 czasu środkowoeuropejskiego. Płynący z wyłączonymi światłami pozycyjnymi „Wilhelm Gustloff”, który o tej porze znalazł się na wysokości Rozewia, został zauważony przez obserwatorów z radzieckiego okrętu podwodnego „S 13”, dowodzonego przez komandora pod-

porucznika Aleksandra Marinesko. Znajdujący się wtedy na stanowisku dowodzenia „S 13” Mikołaj Riedkborodow tak później wspominał:

„Dowódca postanowił zaatakować statek od strony brzegu. Wy płynęliśmy i z maksymalną prędkością nawodną zaczęliśmy doganiać liniowiec. O 23.04 wzięliśmy kurs bojowy, a o 23.08 (czasu moskiewskiego, a więc o godzinie 21.08 czasu środkowoeuropejskiego — przyp. L. A.) wystrzeliliśmy trzy torpedy. Czas docierania torped do celu wydawał nam się wiecznością, chociaż trwało to zaledwie 20 sekund. W okolicy fokmasztu zobaczyliśmy ogromny różowy słup, potem taki sam pojawił się w środku statku i trzeci — w jego części rufowej. Liniowiec stanął i doskonale widzieliśmy, jak się zaczął kłaść na lewą burzę”.

Trafiony trzema torpedami „Wilhelm Gustloff” wolno dryfował, a jego kadłub stopniowo pogrążał się w wodzie. Na transportowcu wybuchła panika. Zgasły światła, ponieważ trzecia torpeda eksplodowała w maszynowni. Przestały pracować silniki, a więc również i prądnice. Włączono wprawdzie oświetlenie awaryjne z akumulatorów, ale słaby blask tych światel nie rozpraszał ciemności. A w nich działy się zaiste dantejskie sceny. Okrzyki przerażenia mieszały się ze słowami modlitwy, płaczem i przekleństwami. Zapanowało prawo silniejszego. W wąskich przejściach w drodze na górny pokład, gdzie znajdowały się łodzie ratunkowe, słabszych odpychano i tratowano na śmierć. Rannymi żołnierzami i starcami nikt się właściwie nie przejmował, matki próbowały ratować dzieci.

Momentu storpedowania transportowca nie zauważyli obserwatorzy pełniący służbę na pokładzie torpedowca „Loewe”. Z niemałym zdziwieniem odebrano tam radiowe wołanie o pomoc:

— SOS... SOS... SOS... *Tonie storpedowany „Wilhelm Gustloff” z ludźmi na pokładzie. Pozycja...*

Torpedowiec zawrócił i po kilku minutach przyplłynął na miejsce tragedii. Miał jednak ratować rozbitków, „Loewe” rozpoczął polowanie na nieprzyjacielski okręt podwodny. Zaczęto go szukać po prawej stronie burty tonącego liniowca, a więc od strony pełnego morza, a nie od strony brzegu, gdzie w głębinach Bałtyku skrył się „S 13”. „Wilhelma Gustloff” i tysiące znajdujących się nań ludzi pozostawiono na pastwie losu.

Tymczasem na transportowcu dostępu do łodzi ratunkowych bronili marynarze uzbrojeni w pistolety maszynowe. Ale i oni nie mogli zaprowadzić jako takiego porządku. Szalup było za mało, a niewielu decydowało się skakać do lodowatej wody, by następnie dopłynąć do którejs z licznych tratw ratunkowych zrzuconych z „Wilhelma Gustloff”.

Nieco ponad godzinę trwała agonía liniowca. Po jego zatonięciu na powierzchni wody znalazło się kilka tysięcy rozbitków. Nikt ich jednak nie ratował. Załogi przybyłych na pomoc okrętów wojennych uległy chyba jakiejś psychozie, co chwilę zmieniając kurs jakoby przed rzekomymi atakami torpedowymi radzieckich okrętów podwodnych. Dopiero po jakimś czasie torpedowce „Loewe” i „T 36”, trałowiec „M 341” oraz statek „Goettingen” rozpoczęły wylawiać rozbitków. Uratowano w sumie tylko 904 osoby, a według innych źródeł nieco więcej, bo 1026. Nie zmienia to jednak w niczym rozmiaru tragedii. Ponad pięć tysięcy, a może nawet siedem tysięcy ludzi znalazło śmierć we wraku „Wilhelma Gustloff” lub w lodowatych wodach Bałtyku. Nigdy bowiem nie ustalono w miarę dokładnej liczby ewakuowanych na pokładzie „Gustloff” cywilów, a tym samym i ogólnej liczby pasażerów. W historiografii przyjęto, iż było ich minimum 6100, a faktycznie chyba dużo więcej. Może 8000, może nawet 8500 osób...



Michał Rybicki z klubu badań podwodnych „Rekin” przy Politechnice Gdańskiej wspominał:

— „Wilhelm Gustloff” przytłacza swoim ogromem. Już na głębokości około 15 metrów majaczy jego ciemna sylwetka. Trudno objąć ją wzrokiem. Wrak nie jest zarośnięty. Dno morza twarde, piaszczyste.

— Byłem już na kilku wrakach — mówił reporterom Stanisław Kaczorowski — nigdy jednak na tak wielkim. „Gustloff” jest bardzo zniszczony. Pozrywane pokłady, rozharatane burty, zwalone nadbudówki. Na pokładzie pelengowym widać ślady pożaru...

Koleżanka Kaczorowskiego z klubu „Rekin”, Aleksandra Christa, dodała:

— Dziób statku jest rozbity prawie doszczętnie. „Gustloff”, jak wiadomo, tonął dziobem.

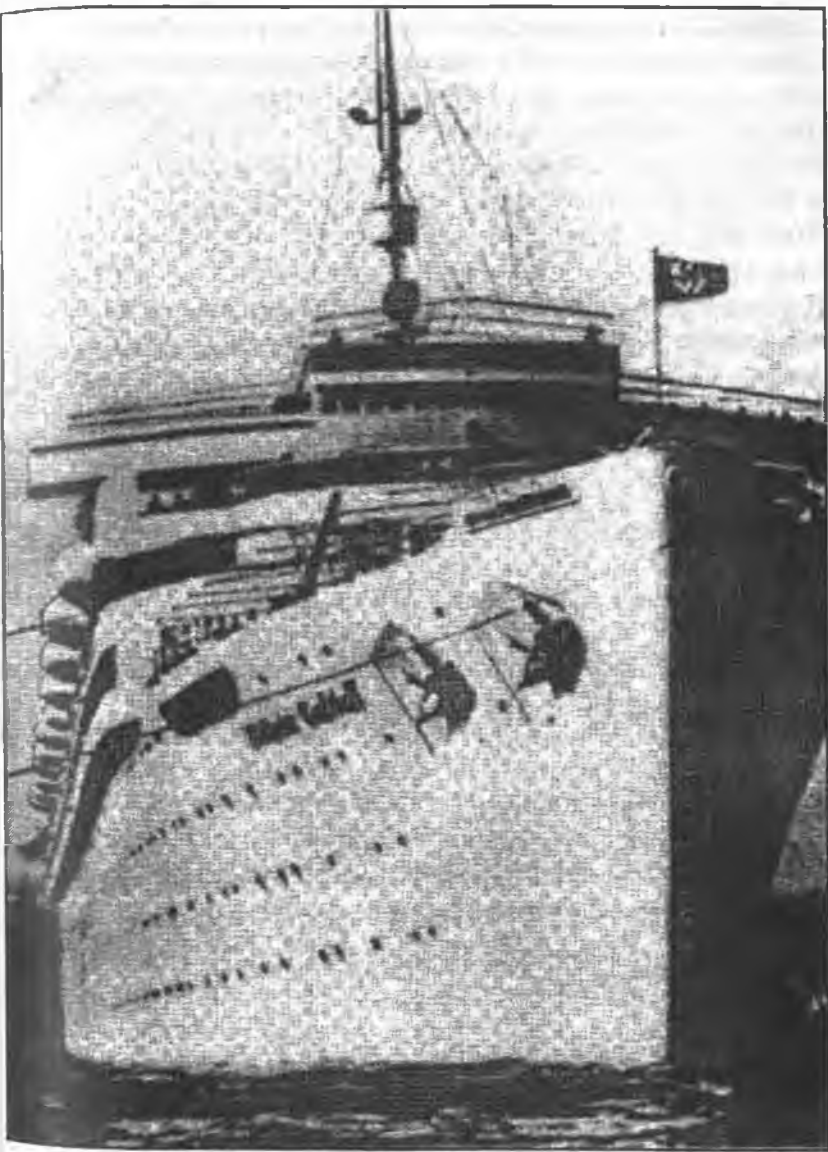
— Badatem dokładnie rufę statku — uzupełnił informacje kolegów Jerzy Kułakowski. — Leży ona kilkadziesiąt metrów od śródokręcia. Jest chyba najlepiej zachowaną częścią wraku. Jej wnętrze, łatwo dostępne, jest jednak puste. Ktoś był przed nami. Pod śrubą jest płytki, ciągnący się siedem-osiem metrów, rów wypełniony szkieletami...

Tyle uczestnicy akcji z klubu „Rekin”, o której głośno było nie tylko w polskiej prasie w 1973 roku. Wówczas to studenci z Gdańska spenetrowali leżący na dnie Ławicy Słupskiej, na głębokości 60 metrów, około 20 mil na północ od latarni Stilo, wrak „Wilhelma Gustloffa”. Akcji tej towarzyszyły sensacyjne informacje prasy, że we wnętrzu wraku mogą znajdować się skrzynie choćby z Bursztynową Komnatą lub inne skarby, zwłaszcza dzieła sztuki lub kosztowności dygnitarzy hitlerowskich. Nikt natomiast nie wspomniał, że na „Wilhelmie Gustloffie” znajdował się rzeczywiście cenny skarb. Bardzo cenny dla konającej III Rzeszy Adolfa Hitlera.

Wiadomość o storpedowaniu i zatonięciu statku Hitler przyjął spokojnie. W furję wpadł dopiero wtedy, gdy dowiedział się, że na „Wilhelmie Gustloffie” znajdował się niemal cały, dopiero wyszkolony personel floty podwodnej: grubo ponad 3000 osób, w tym około 400 kobiet służby pomocniczej. Gdy nieco ochłonał, polecił ogłosić w Niemczech trzydniową żałobę narodową, zaś do akcji przystąpił Joseph Goebbels i podporządkowany mu aparat propagandowy. „*Po tworna zbrodnia wojenna Sowieców*” — krzyczały nagłówki niemieckich gazet, które rozpisywały się o tragedii tysięcy kobiet, starców i dzieci. Rzecz jasna, nie wspomniano ani słowem o personelu floty podwodnej i braku dostatecznej liczby środków ratunkowych, przede wszystkim szalup.

Admirałowie hitlerowscy dobrze wiedzieli, że rannych i obłożnie chorych żołnierzy, i to bez broni, a także matki z małymi dziećmi i starców można ewakuować ze strefy bezpośrednich działań wojennych tylko specjalnymi statkami szpitalnymi, które winny być pomalowane na biało z daleka widocznymi czerwonymi krzyżami, a o trasie ich rejsu musiała być poinformowana zawczasu siedziba Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Nie zadbano o to, ponieważ „Wilhelm Gustloff” nie spełniał wymogów artykułu 4 konwencji z 1907 roku o przystosowaniu do wojny morskiej, który to artykuł stanowił, iż „*rzędy zobowiązują się do nieużywania tych statków do celów wojskowych*”. A „Wilhelma Gustoffa” wyekspediowano w jego ostatni rejs w tym właśnie celu.

Czy jednak na „Gustloffie” mogły znajdować się skrzynie z Bursztynową Komnatą? Teoretycznie tak, ale pod warunkiem, że je wywieziono z Królewca najpóźniej 23 stycznia. Praktycznie zaś żaden z ustalonych śladów nie wiedzie z Królewca do Gdyni. Znalazł się też wiarygodny — jak się wydaje — świadek, który ostatecznie obalił tę od początku wielce wątpliwą hipotezę.



11. „Wilhelm Gustloff” jako statek wycieczkowy.

Fotografia archiwalna.

Otóż — jak wspomniałem — akcji pletwonurków z klubu „Rekin” nadano w 1973 roku spory rozgłos prasowy. Pisała o niej również prasa obu państw niemieckich. I właśnie informacja o penetracji wraku „Wilhelma Gustloff’a” skłoniła Heinza Schoena z Herfordu do napisania listu do agencji DPA, w którym stwierdził, że na statku nie było ani Bursztynowej Komnaty, ani innych ciężkich skrzyń. Był jedynie osobisty bagaż pasażerów. Schoen jest o tyle wiarygodnym świadkiem, iż pracował na „Gustloffie” w biurze intendenta i jego uwadze nie mógłby ujść załadunek, jakichś tajemniczą otoczonych, skrzyń.



Bursztynowej Komnaty nie ma na pewno we wraku „Wilhelma Gustloff’a”, chociaż śladu morskiego nie można zlekceważyć. Wszak po okrążeniu Królewca od strony ładu, droga morska była przez prawie trzy miesiące wykorzystywana przez Niemców do ewakuacji z Prus Wschodnich przede wszystkim ludzi, ale także zabytków historycznych i dzieł sztuki. Z portu w podkrólewieckiej Piławie (dzisiaj Bałtyjsk), które to miasto Rosjanie zdobyli 25 kwietnia, w lutym i marcu, a nawet jeszcze w kwietniu 1945 roku, wypływały statki i okręty wojenne wypełnione cywilnymi uciekinierami i ich podręcznym bagażem osobistym, rannymi żołnierzami, dygnitarzami NSDAP i funkcjonariuszami SS.

Nieco wcześniej, bo jeszcze w styczniu, w nocy z 23 na 24, doszło do tajemniczego zgoła wydarzenia w królewieckiej stoczni Schichau. Przy jednym ze stoczniowych nabrzeży remontowano akurat lekki krążownik Kriegsmarine „Emden”. Miał on rozmontowany silnik i niesprawną maszynę sterową. Działa radzieckie dalekiego zasięgu ostrzeliwały już przedmieścia Królewca. Wokół stolicy Prus Wschodnich zaciśkał się powoli pierścień okrążenia. Akurat przerwana została

linia kolejowa łącząca Królewiec z Elblągiem i dalej przez Malbork, Tczew, Chojnice, Piłę, Krzyż i Gorzów z Berlinem.

W tej sytuacji wielki admirał Karl Doenitz, mimo opłakanego stanu krążownika „Emden”, wydał rozkaz opuszczenia stoczni. Chociaż okręt miał 700-osobową załogę, wciśnięto nań jeszcze ponad tysiąc uchodźców, których ulokowano we wnętrzu, wykorzystując na to każdy wolny kąt.

Dochodziła godzina trzecia, gdy na nabrzeżu stoczniowym pojawiły się wojskowe ciężarówki, eskortowane przez esesmanów uzbrojonych w pistolety maszynowe. Dowódca „Emden” i kierownictwo stoczni byli już powiadomieni o konieczności przyjęcia na pokład dodatkowego ładunku. Rozsunięto plandeki i stoczniowy dźwig przeniósł na okręt skrzynie zawierające między innymi 250 sztandarów i znaków bojowych spod Tannenbergu i inne militarne pamiątki z królewieckiego panteonu Prus Wschodnich. Wreszcie, wśród odgłosów eksplozji radzieckich pocisków artyleryjskich, nad pokładem krążownika pojawiły się dwa wykonane w brązie sarkofagi małżonków Hindenburg. Stary feldmarszałek, który podczas pierwszej wojny światowej, po zwycięstwach pod Tannenbergiem i jeziorami mazurskimi, „uratował” dla Niemiec Prusy Wschodnie, a w roku 1933 jako prezydent Rzeszy umożliwił Adolfowi Hitlerowi dojście do władzy, opuszczał tę prowincję, towarzysząc w panicznej ucieczce swoim ziomkom.

Ta wielce symboliczna scena utkwiała w pamięci wszystkim, którzy ją w tamtą mroźną noc styczniową obserwowali, nadzorując załadunek. Przede wszystkim zaś marynarzom z „Emden”, którzy indagowani po latach mówili o sarkofagach i skrzyniach wypełnionych narodowymi pamiątkami. Nic jednak nie słyszeli o skrzyniach z bursztynem...

Niezdolny do manewrowania krążownik został przeholowany do Piławy, gdzie po kilku dniach załodze udało się uruchomić silnik. Na ręcznym sterze, napędzany tylko jedną śrubą, z

szybkością zaledwie sześciu węzłów „Emden” dowlóki się do Kilonii, szczęśliwie unikając spotkania z radzieckimi okrętami podwodnymi, patrolującymi południowe akweny Bałtyku. I z samolotami sprzymierzonych, które bezpardonowo zatapiały wszystkie niemieckie okręty i statki płynące na zachód.

Sarkofagów Hindenburgów i sztandarów spod Tannenbergu nie było jednak na pokładzie krążownika, gdy wpływał on do portu w Kilonii. Jeszcze w Piławie zostały przeładowane na statek pasażerski „Pretoria”, który podczas wojny wraz z innymi jednostkami pasażerskimi pełnił służbę w Kriegsmarine jako pływające koszary pierwszego szkolnego dywizjonu floty podwodnej (I U-Bootlehrdivision). Z jednostek tych uformowano konwój, który 25 stycznia wyruszył z Piławy do Świnoujścia. O tym, co dalej działo się z sarkofagami i sztandarami, będzie jeszcze mowa.

Nie tylko lekki krążownik „Emden” miał szczęście. Statek „Pretoria” również. Udało im się bowiem dopłynąć do portów w zachodniej części Bałtyku. Szczęścia tego zabrakło wielu innym jednostkom niemieckim, których wraki spoczywają na dnie morza. Storpedowane lub zbombardowane tonęły szybko, a wraz z nimi w lodowatych wtedy wodach Bałtyku tonęli ludzie. Dziesiątki, zapewne setki tysięcy, przede wszystkim kobiety, starcy, dzieci.

Poszukiwacze Bursztynowej Komnaty zwracali uwagę na wraki niektórych statków i okrętów niemieckich, które zatoneły w Bałtyku zimą i wczesną wiosną 1945 roku, płynąc z Prus Wschodnich do Świnoujścia, Kilonii lub innych portów w zachodniej części tego akwenu. Padały nazwy: „General von Stauben”, „Robert Ley”, a nawet „Posen”. Ten ostatni, niewielki zresztą statek, którego bombowce radzieckie posłały na dno 11 kwietnia 1945 roku, wypłynął z Piławy na krótko przed kapitulacją „Festung Koenigsberg”.

Czy w którymś z tych lub innych zatopionych statków ewakuacyjnych i okrętów wojennych Kriegsmarine znajdowały się skrzynie z bursztynowymi okładzinami skarbu z Pałacu Jekatierinskiego? Lub przynajmniej z częścią komnaty? Tej hipotezy nie da się już sprawdzić, chociaż w przypadku odnalezienia tego dzieła sztuki będzie można ją wykluczyć.

PODWODNY CMENTARZ

Do końca 1944 roku Świnoujście (wówczas Swinemuende) nie było nękanie przez lotnictwo bombowe sił sprzymierzonych. Trudno dzisiaj ustalić, dlaczego. Wszak alianci dobrze wiedzieli, że ten nadbałtycki port i modną w okresie międzywojennym miejscowość letniskową Niemcy przekształcili w dużą bazę hitlerowskiej Kriegsmarine. Oprócz portu wojennego znajdowały się tu też zakłady wyposażeniowo-remontowe marynarki (Marine-Ausruestungs und Reparatur-Betrieb), a także w ostatnich miesiącach wojny dokonywano tu załadunku wojska, broni i sprzętu dla armii walczących w Kurlandii, Prusach Wschodnich i na Pomorzu Gdańskim.

O Świnoujściu alianci przypomnieli sobie dopiero w pierwszych tygodniach 1945 roku, dokonując zrazu kilku niezbyt silnych nalotów bombowych na miasto i port. Były to typowe naloty nękające, mające na celu przede wszystkim zmuszenie niemieckiej obrony przeciwlotniczej do odsłonięcia swych stanowisk i ujawnienia skuteczności. Gdy oceniono, że obrona przeciwlotnicza jest słaba, wyrok na Świnoujście został przypieczętowany.

Był poniedziałek, 12 marca 1945 roku. Wojna zbliżała się już do końca, a mimo to świnoujska baza Kriegsmarine pracowała pełną parą. Miasto przepełnione było Niemcami ze wschodnich powiatów prowincji pomorskiej, a także z okolic Gdańska oraz z Prus Wschodnich, którzy od kilku tygodni w panice uciekali przed Armią Czerwoną. Ponadto szosą z Wolina do Świnoujścia posuwały się, przemieszane ze sobą,

taborzy wojskowe i kolumny wozów ewakuacyjnych ludności cywilnej, przeważnie starców, kobiet i dzieci.

Gdy w mieście zawyły syreny, niewielu zwróciło na to uwagę. Wszak w minionych dniach alarmy lotnicze ogłaszano tu dość często, a naloty kończyły się na ogół zrzucając kilku czy kilkunastu bomb na urządzenia portowe. Ponadto w przepelnionym mieście nie za bardzo było się gdzie ukryć. Schronów urządzono tutaj niewiele; pozostawały tylko piwnice, które w najlepszym razie chroniły przed odłamkami. Zresztą śmiertelnie zmęczonym uciekinierom było już wszystko jedno gdzie zginą: pod ruinami zniszczonego bombą budynku, czy od odłamków w swoim wozie gdzieś na ulicy...

Krzyki kobiet, płacz dzieci i świst spadających bomb zlały się w jedno. Kilkaset samolotów alianckich rozpoczęło bombardowanie Świnoujścia. Przez godzinę, fala za falą, nadlatywały nad miasto bombowce, zrzucając swój śmiercionośny ładunek przede wszystkim na bazę Kriegsmarine i zakłady wyposażeniowo-remontowe marynarki. Do góry dnem przewrócił się zaatakowany bombami okręt szkolny „Cordillera”, zatoneło kilka mniejszych jednostek, w huku eksplozji zwały się portowe dźwigi, poważnie uszkodzono również most pontonowy. Bomby spadały także na dzielnice mieszkaniowe Świnoujścia, niszcząc domy i kościoły oraz urządzenia komunalne, przede wszystkim wodociąg i sieć energetyczna. Gruzy zablokowały wiele ulic miasta.

To poniedziałkowe bombardowanie objęło także bardzo szeroki rejon Świnoujścia aż po Wolin i Dziwnów. Bomby raziły przede wszystkim szosę z Wolina do Świnoujścia, po której — jak się rzekło — z taborami wojskowymi wycofywały się na zachód wozy uciekinierów cywilnych.

Dokładnej liczby ofiar tego bombardowania nie udało się ustalić. Przyjęto, iż 12 marca w Świnoujściu i w okolicach tego miasta zginęło od 4000 do 5000 ludzi, w większości kobiet i

dzieci. Pochowano ich w zbiorowych mogiłach na zachód od Świnoujścia.

Kilka lat później w pobliżu tych mogił wykopano kolejne, by pochować w nich zmieszane z wapnem szczątki kilkuset, a być może nawet więcej ludzi, którzy życie stracili również w tamten marcowy poniedziałek i przez ponad trzy lata spoczywali w stalowej trumnie na podwodnym cmentarzu koło budynku Kapitanatu Portu.



Gdy 12 marca zawyły w Świnoujściu syreny alarmowe, w kanale portowym na wysokości mniej więcej latarni morskiej znajdował się drobnicowiec „Andros” o nośności 6000 ton, pełną parą płynąc w głąb portu. Przyplłynął on z Królewca, mając w ładowniach, przerobionych na prowizoryczne pomieszczenia mieszkalne, ewakuowanych z Prus Wschodnich cywilów, głównie kobiety i dzieci. Po wojnie nie udało się ustalić, ile dokładnie osób na pokładzie „Androsa” przyplłynęło z Królewca. Szacuje się, że od pięciuset do tysiąca, a być może nawet więcej. Część z nich, a być może nawet większość, stanowili Niemcy kilka tygodni wcześniej ewakuowani z Olsztyna i okolic.

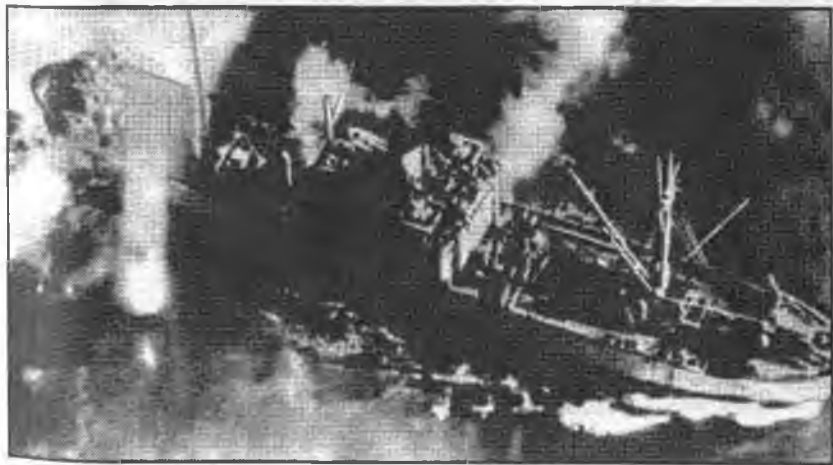
Świnoujście nie było portem docelowym tego ewakuacyjnego statku. Miał tylko stąd zabrać kolejną grupę uciekinierów i po krótkim postoju udać się do któregoś z portów w północno-zachodnich Niemczech.

Gdy po kilku minutach od ogłoszenia alarmu lotniczego „Andros” zaczął dobijać do nabrzeża przy budynku Kapitanatu Portu, nad Świnoujście nadleciała pierwsza fala bombowców. Po kilku lub może kilkunastu sekundach nad statkiem przeleciała stalowa maszyna ze znakami Królewskich Sił Powietrznych Wielkiej Brytanii, od której oderwało się kilka bomb. Trzy z nich były celne! Dwie pierwsze przebiły pokład

„Androsa” i eksplodowały w ładowni czwartej, w ułamku sekundy zabijając znajdujących się tam ludzi oraz robiąc olbrzymią wyrwę w dnie drobnicowca. Trzecia bomba trafiła w dziób, niszcząc całkowicie tę część statku, łącznie z przednią grodzia zderzeniową.

„Andros” zatonął błyskawicznie zaledwie dziesięć metrów od nabrzeża. Setki osób znajdujących się wewnątrz statku nie miały żadnych szans ratunku. Zresztą w ogarniętym bombardowaniem i paniką mieście nikt specjalnie nie kwapił się do spieszenia z pomocą tonącym. Według różnych informacji, uratowano zaledwie kilkanaście lub kilkadziesiąt osób, a raczej w większości uratowały się one same, podplływając do pobliskiego nabrzeża.

Gdy zakończyło się bombardowanie, tuż obok budynku świnoujskiego Kapitanatu Portu wystawały z wody resztki urwanego dziobu „Androsa”, jego maszt przedni, komin i nadbudówka rufowa. Pod wodą zaś, wewnątrz stalowej trumny pływały setki trupów...



12. Niemiecki statek ewakuacyjny pod gradem bomb.

Fotografia archiwalna.

Na dobrą sprawę nie wiadomo, co w ostatnich tygodniach wojny i pierwszych miesiącach pokoju działo się z wrakiem „Androsa”. Ponoć wkrótce po zatonięciu nurkowie niemieccy spenetrowali wrak, wydobywając zeń cześć lub nawet cały ładunek i pozostawiając pływające wewnątrz zwłoki. Na początku maja 1945 roku ówczesne Swinemünde zajęła Armia Czerwona, urządzając tu dużą bazę wojenną floty bałtyckiej. Na tyle dla ZSRR ważną, że jeszcze przez kilka miesięcy po poczdamskiej konferencji Wielkiej Trójki, gdzie przyznano Świnoujście Polsce, nie wpuszczano tu przedstawicieli ówczesnych władz RP i w ogóle Polaków. Czy Rosjanie zainteresowali się wtedy leżącymi w Świnie i kanałach portowych wrakami? Na pewno tak. A jeśli tak, to nie tylko wrakami okrętów wojennych, ale również i innych jednostek, w tym „Androsem”, w którego ładowniach mogły znajdować się drogie przedmioty.

Pogłoski o tym wraku pełnym ponoć kosztowności krążyły zresztą w pierwszych latach powojennych nie tylko na Pomorzu. Czy zatem wiosną 1948 roku ekipa szczecińskiego Oddziału Ratownictwa GAL (Gdynia — Ameryka Linie Żeglugowe S.A.) zajęła się wrakiem „Androsa”, towarzyszyła temu atmosfera sensacji. Już przy pierwszych oględzinach zatopionego statku pracę nurków obserwowali inspektorzy Izby Skarbowej, a w następnych tygodniach często na nabrzeżu kręcili się mężczyźni udający wędkarzy lub gapiów. Uważny obserwator mógł jednak bez trudu zgadnąć, iż byli to funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Gdy pierwszy nurek wynurzył się po penetracji wraku inspektorzy z Izby Skarbowej zapytali:

— *Coś ciekawego znajduje się w ładowniach?*

Odpowiedziała im cisza. Nurek łapczywie łapał powietrze. Widać było, że jest w silnym szoku. Wreszcie wydusił z siebie

— *Ciekawego? Setki, a może nawet tysiąc rozłożonych ludzkich ciał...*

„Makabryczne widoki — wspominał po latach Stanisław Sala, który jako jeden z pierwszych w skafandrze nurka wszedł do tego zbiorowego grobu. — Białe widma jakby ożyły, w wodzie unosiły się ludzkie szczątki, po kawałkach tkanin można było poznać, czy należą do mężczyzny, czy też kobiety. Dno statku było mocno zamulone, a w tym mule leżały sterty ludzkich kości, czaszek. W pewnym momencie coś mi usiadło na plecach, do helmu zajrzało białe widmo, wydawało mi się, że czuję zimny, trupi dotyk, że martwe ręce starają się mnie chwycić w pól lub po prostu zatrzymać”.

Sala zapamiętał też, że metalowe łózka piętrowe, które znajdowały się w ładowniach „Androsa”, były połamane lub pogruchotane. Między tym żelastwem walały się walizy, kufry, jakieś deski.

Bardziej makabryczną przygodę przeżył wewnątrz wraku inny nurek, który miał tam dokonać jakiegoś uszczelnienia. Gdy wykonał tę pracę i chciał się wycofać, ze zgrozą zauważył, że droga jego powrotu była zatarasowana trupami. Poruszone wodą stłoczyły się bowiem w wąskim przejściu. By wydostać się z wraku musiał on rozgarniać pływające ciała. Gdy nurka wyciągnięto na powierzchnię, był bliski pomieszczenia zmysłów...

Niektórzy nurkowie zrezygnowali z tej pracy. Nie mogli nerwowo wytrzymać tego niezwykłego towarzystwa. Inni zaś szybko się przyzwyczaili i potem nie zwracali już uwagi ani na pływające ciała, ani na kłębiące się w tłustej wodzie węgorze.

Zanim przystąpiono do podnoszenia wraku, z jego ładowni trzeba było usunąć rozkładające się zwłoki. Dopóki przebywały w wodzie, nie groziło to wybuchem epidemii. Gdyby zaś wrak podniesiono wraz ze szczątkami jego pasażerów, niebezpieczeństwo to byłoby bardzo realne. Doszło zatem do porozumienia między Polskim a Niemieckim Czerwonym Krzyżem, w wyniku, którego sprowadzono do Świnoujścia specjalne

skrzynie — trumny, gdzie złożono ofiary alianckiego nalotu i po zalaniu wapnem pochowano we wspólnej mogile.

Rzecz jasna, nie udało się usunąć wszystkich ludzkich szczątków, zwłaszcza tych drobnych. Przez następne tygodnie zatykały one kosze pomp, utrudniając prace przy usuwaniu z wraku wody.

Któregoś dnia jeden z nurków nie stawiał się do pracy. Co działo się dalej, wiemy tylko ze wspomnień uczestniczących w podnoszeniu wraku „Androsa” ludzi, zwłaszcza kapitana Stefanowskiego, który dowodził biorącą udział w tej akcji bazą ratowniczą „Smok”. Otóż dowiedział się on od zapłakanej żony nurka, że jej męża aresztowali funkcjonariusze UB.

Można się tylko domyślać, że rozmowa Stefanowskiego z oficerem UB nie przebiegała tak gładko, jak przedstawił ją Edward Obertyński w wydanej w 1977 roku książce „Łowcy wraków”:

— *Kapitanie, mamy informacje, że wasze załogi rabują mienie pontemieckie i sprzedają.*



13. W tym miejscu, przed budynkiem Kapitanatu Portu w Świnoujściu, zatona płynący z Królewca statek ewakuacyjny „Andros”.

Fot. L. Adamczewski

- *Niemżliwe. Za moich ludzi daję głowę.*
- *To pan już nie ma głowy.*
- *Żądam natychmiastowych dowodów i nazwisk.*
- *No, nie tak ostro. Wie pan, dobro śledztwa...*

W każdym razie nurka wypuszczono na wolność, a prace — przy jeszcze ściślejszym nadzorze funkcjonariuszy UB — kontynuowano. Jesienią 1948 roku wrak statku, obciążony dodatkowo 160 tonami cementu, który zużyto na załatanie wszystkich dziur w kadłubie, lekko drgnął i bardzo powoli zaczął się podnosić. Pompy pracowały na najwyższych obrotach, usuwając z pomieszczeń „Androsa” setki ton wody. Wreszcie 17 listopada kadłub wraka oderwał się w części rufowej ponad cztery metry od dna, a w części dziobowej dwa i pół metra. Na to tylko czekano, odholowując „Androsa” na Starą Świnę, gdzie osadzono go na mieliźnie.

Wrakiem zajęli się znowu inspektorzy Izby Skarbowej i funkcjonariusze UB, przesiewając wszystko, co pozostało w cuchnących i zamulonych pomieszczeniach wydobytego z dna statku. Niczego ponoć nie znaleziono, jeśli nie liczyć jakichś srebrnych łyżeczek, bodaj dwóch łańcuszków ze sztuczną biżuterią i kilku hitlerowskich odznaczeń bojowych — Żelaznych Krzyży. Czy znaleziono coś więcej? Wprawdzie takiej ewentualności całkowicie wykluczyć nie można, ponieważ akcja na Starej Świnie objęta była ścisłą tajemnicą, ale jest to bardzo mało prawdopodobne.

Wrak „Androsa” wkrótce potem pocięto „na żyletki”.



Minęły lata. Po „Androsie” i innych wrakach nie ma nawet śladu, a wczasowicze, kuracjusze i turyści odwiedzający Świnoujście nie potrafią sobie nawet wyobrazić, jak wyglądało to miasto i port w drugiej połowie lat czterdziestych. I nikt też,

przeplływając promem łączącym oba brzegi Świny, nie domyśla się, iż przez grubo ponad trzy lata znajdował się w tym mniej więcej miejscu podwodny cmentarz.

Przypomniałem tę historię z kilku powodów. Po to choćby, by wykazać, że droga morska z Prus Wschodnich była w 1945 roku wyjątkowo ryzykowna. Niebezpieczeństwo czyhało nie tylko w ostrzeliwanych przez Rosjan portach wchodniopruskich i na Bałtyku, gdzie szczególną aktywność wykazywały załogi radzieckich okrętów podwodnych i samolotów bombowo-szturmowych, ale także w portach w zachodniej części Bałtyku, często bombardowanych przez lotnictwo strategiczne aliantów zachodnich. Wszak w świnoujskim porcie „Andros” trafiony brytyjskimi bombami zatonął zaledwie dziesięć metrów od nabrzeża.

Ten jednak fakt spowodował, że wrak trzeba było podnieść z dna i usunąć. Przeszukano więc jego pomieszczenia i nie znaleziono żadnych skarbów, zaś pogłoskę o spenetrowaniu wraku przez nurków niemieckich tuż po zatonięciu „Androsa” trzeba traktować tylko jako hipotezę. Nie ma na to bowiem żadnych dowodów.

Oprócz bagażu osobistego pasażerów nie było tajemniczych ładunków na „Wilhelmie Gustloffie”, „Andros” przewoził też tylko uciekających przed Armią Czerwoną cywilów. Jeśli zaś tak wyglądały ładownie wszystkich statków i okrętów płynących w ostatnich miesiącach wojny z Prus Wschodnich na zachód, to ślad morski w poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty trzeba chyba wykluczyć.

Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństw czyhających na Bałtyku, Niemcy mogli wysłać drogą morską na przykład te czy inne pamiątki historyczne o minimalnej lub wręcz żadnej wartości materialnej, lecz już nie skarb o równie ogromnej wartości historycznej, co materialnej. Jak choćby Bursztynową Komnatę...

ZATOPIONE W MULE

Trudno ustalić po latach, którego konkretnie dnia żołnierze Wehrmachtu i Armii Czerwonej byli świadkami opisanego niżej wydarzenia.

Było to na pewno na początku wiosny 1945 roku, najprawdopodobniej w ostatnich dniach marca. W tym właśnie czasie, leżące kilkanaście kilometrów na zachód od Kołobrzegu, jezioro Resko Przymorskie Niemcy wykorzystywali na lądowisko wodnopłatowców Luftwaffe.

Gdy wojska radzieckie dotarły do brzegów Reska, na horyzoncie od strony wschodniej pojawił się duży samolot transportowy Ju-52 z czarnymi krzyżami na skrzydłach. W ostatniej chwili przed lądowaniem pilot zorientował się, że znalazł się na samej linii frontu i próbował poderwać maszynę w górę. Jednak któryś z pocisków artylerii radzieckiej trafił w Junkersa, który uderzył w taflę jeziora w odległości kilkudziesięciu metrów od brzegu opanowanego przez Niemców. I w tym momencie stało się coś, czego Rosjanie nie potrafili sobie racjonalnie wytłumaczyć. Otóż praktycznie w samym centrum bitwy, nie bacząc na gęsto padających zabitych i rannych, żołnierze niemieccy usiłowali wyciągnąć tonący samolot na brzeg. Do czołgów zamocowano stalowe liny, którymi próbowano opasać wystającą jeszcze nad wodę kabinę pilota. Próba się nie powiodła i Junkers zatonął. Jeden z oficerów radzieckich zapamiętał, że — jak potem zeznawali jeńcy niemieccy — Ju-52 wystartował z obłożonego przez Armię Czerwoną Królewca i przewoził niezwykle cenny ładunek.

Kilkanaście miesięcy później, w sierpniu 1946 roku, stacjonujący w pobliżu Kołobrzegu żołnierze radzieccy próbowali wydobyć zatopionego Junkersa. Nie udało się im tego dokonać, ponieważ samolot przełamał się na pół. Z kabiny pilota

wypłynął tylko trup w mundurze z generalskimi dystynkcjami...

Minęły lata. Któregoś dnia szef kaliningradzkiej grupy zajmującej się poszukiwaniami zagrabionych dzieł sztuki otrzymał list od byłego dowódcy jednostki Armii Czerwonej, w pierwszych latach powojennych stacjonującej koło Kołobrzegu. Autor listu — pułkownik I. G. Nowikow — opisał przedstawione wyżej wydarzenia, sugerując, iż w zatopionym Junkersie mogą znajdować się skrzynie z Bursztynową Komnatą. Rozumował on na swój sposób logicznie. W końcu marca 1945 roku to dzieło sztuki można było wywieźć z oblężonego Królewca albo drogą morską, albo właśnie lotniczą. Do listu Nowikow dołączył mapę wojskową okolicy Kołobrzegu z zaznaczonym miejscem zatonięcia samolotu.

Wszystko wskazuje na to, że list oficera radzieckiego czekał na zainteresowanie się poruszoną w nim sprawą ponad dziesięć lat, aż do drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Niestety, w tym czasie Nowikow zmarł...

Przytoczone tu fakty cytuję za radzieckim miesięcznikiem „Technika Mołodioży”, który w trzech numerach (2, 3 i 4) z 1989 roku opisał prowadzone na terenie Polski w latach 1987 i 1988 poszukiwania Bursztynowej Komnaty przez grupę pletwonurków z woroneskiego klubu „Rif”, żołnierzy Wojska Polskiego i harcerzy. Szefem grupy polskiej był Borys Waszkiewicz z Kwatery Głównej Związku Harcerstwa Polskiego, który mówił reporterom:

— Hipotezy przedstawione nam przez stronę radziecką są dość prawdopodobne, niemniej w sprawie Bursztynowej Komnaty było już tyle nowych śladów, iż podchodzimy do nich bardzo ostrożnie. Otóż Rosjanie dysponują relacjami dwóch oficerów Armii Czerwonej, którzy w 1945 roku walczyli na terenach wybrzeża bałtyckiego. Już wiele lat po wojnie przed

stawili oni dokumenty świadczące, że trop wiodący na nasze Wybrzeże może mieć związek z Bursztynową Komnatą.

Jednym z nich był właśnie pułkownik Nowikow, który wskazał na jezioro Resko Przymorskie. Jego dno polsko-radziecka ekspedycja przebadala w roku 1987.

— *W trakcie nurkowania* — opowiadał Borys Waszkiewicz — *natrafiliśmy na wiele trudności, mimo korzystania ze specjalistycznego sprzętu wojskowego. Mieliśmy do dyspozycji traty, ezektory i magnetometri. Określenie rejonu poszukiwań na dnie jeziora nie było trudne, mieliśmy przecież dokładną mapę Nowikowa. Kłopoty były przede wszystkim z widocznością pod wodą. Warstwa mułu na dnie jeziora sięgała ponad trzy metry. Wielodniowe poszukiwania pozwoliły wreszcie na dokładne oznaczenie pozycji zatopionego Junkersa.*

Pracując praktycznie po omacku, członkom ekspedycji udało się wyciągnąć na powierzchnię kilka drobnych fragmentów przedniej części samolotu, a także część srebrnej zastawy stołowej, jakiś wisiołek i obrączkę. Znalezione też dokumenty, które po dokładnym zbadaniu utwierdziły ekspedycję w przekonaniu, że Ju-52 wystartował do swego ostatniego lotu właśnie z Królewca. Wydobyte z kabiny pilota kartki żywnościowe i listy pochodziły z byłego Koenigsbergu. Członkom ekspedycji nie udało się jednak dotrzeć do drugiej części przełamanego samolotu — luku ładunkowego.

Latem 1989 roku Polska Agencja Prasowa poinformowała, że polsko-radziecka ekspedycja płetwonurków rozpoczęła 18 sierpnia ponowne poszukiwania szczątków niemieckiego samolotu w wodach jeziora Resko Przymorskie. W odróżnieniu od radzieckiego miesięcznika „Technika Mołodoży”, PAP podała, że zatopionym samolotem ma być Dornier-24.

O rezultatach tej ekspedycji prasa już nie poinformowała, bo pewnie nie było o czym. A ponadto kraj żył innymi, znacznie ważniejszymi wydarzeniami politycznymi. W tym właśnie

czasie ówczesny prezydent Wojciech Jaruzelski desygnował Tadeusza Mazowieckiego na urząd prezesa Rady Ministrów...

Oprócz podkołobrzeskiego jeziora, polsko-radziecka ekspedycja zajmowała się w latach 1987-88 również wodami Zalewu Wiślanego. Relacja Nowikowa nie była bowiem jedyną, którą w drugiej połowie lat osiemdziesiątych zainteresowali się Rosjanie. Postanowiono zbadać także inny ślad, na który od lat wskazywał major Dimitrij Gruba. W styczniu 1945 roku jako porucznik Armii Czerwonej dowodził on batalionem czołgów T-34, wchodzącym w skład 5 Armii Czołgów.

Jego batalion — jak czytamy w miesięczniku „Technika Młodzieży” — brał udział w operacji oskrzydlenia Królewca od południa, przebijając się w kierunku zamarznionych wód Zalewu Wiślanego. W okolicy Tolkmicka zimą 1945 roku Niemcy z Prus Wschodnich przeprawiali się przez zalew na Mierzeje Wiślaną w pobliże dzisiejszej Krynicy Morskiej, skąd



14. Wspólne zdjęcie polsko-radzieckiej ekspedycji poszukującej Bursztynowej Komnaty w wodach Zalewu Wiślanego.

Reprodukcja fotografii z miesięcznika „Technika Młodzieży”

okręty i statki ewakuacyjne wywoziły ich albo na Półwysep Helski, albo do portów zachodniego Bałtyku. Łącznie z żołnierzami z najczęściej rozbitych przez czerwonoarmistów oddziałów Wehrmachtu przez zamarznięte wody zalewu toczyły się wozy i sanie ludności cywilnej: starców, kobiet i dzieci. Atakowani przez Rosjan z ładu i powietrza, tysiącami ginęli na lodowej pustyni lub wpadając do przerębli wyrąbanych siłą eksplozji bomb i pocisków artyleryjskich błyskawicznie umierali w lodowatej wodzie. Dla tych ludzi nie było bowiem ratunku, a i tak zresztą nikt im nie spieszył z pomocą. Ci, co przeżyli kolejne ataki czerwonoarmistów lub szczęśliwie udało im się ominąć zdradliwe zasadzki w postaci przerębli pokrytych tylko cienką i w dodatku przysypaną śniegiem warstwą lodu, ratowali własne głowy i najcenniejszy dobytek, taszczyli ze sobą...

Rzecz jasna, radziecki miesięcznik nie rozwodził się o tragedii ludności Prus Wschodnich na zamarznętej tafli Zalewu Wiślanego. Gruba poinformował tylko, że jego batalion ogniem z armat czołgowych ostrzelał i zatopił konwój niemiecki, zmierzający po lodzie zalewu w kierunku Krynicy. W konwoju tym, znajdującym się w momencie ataku około dwóch kilometrów od brzegu, widać było kolumnę ciężarówek i sanń wiozących jakiś ładunek. Wśród wziętych do niewoli jeńców znalazł się także jakiś funkcjonariusz NSDAP, którego nazwiska Gruba nie zapamiętał. Właśnie ten człowiek, w zamian za obietnicę darowania życia, ujawnił, że kolumna pojazdów zatopionych przez czołgi ewakuowała Bursztynową Komnatę.

— *Zupełnie nie wiedziałem co to jest* — mówił Gruba dziennikarzowi miesięcznika „Technika Młodzież”. — *Cywil jednak upierał się, że ta komnata to bezcenny skarb, a on jest w stanie udowodnić, iż mówi prawdę.*

Niemiec zaprowadził grupę oficerów radzieckich do zamku w pobliskich Kadynach, będącego własnością księcia Ludwika Ferdynanda, męża Kiry Kiryłowny, pochodzącej w prostej linii z rodu Romanowów. W podziemiach zamku Niemiec wskazał jedną ze ścian.

— *Tu kujcie!* — polecił.

Już po pierwszych uderzeniach ściana poddała się łomom. Zaprawa murarska była krucha, a więc ścianę tę musiano postawić niedawno — rozumowano. Spoglądając przez wykuty otwór żołnierze ujrzeli dość duże pomieszczenie, w którym znajdowało się kilka skrzyń o rozmiarach mniej więcej półtora na dwa metry. Po ich otwarciu okazało się, iż schowano w nich prawdopodobnie wyposażenie dawnych pałaców carskich: olbrzymie lustra w złożonych oprawach, kryształowe żyrandole i świeczniki ozdobione dwugłowymi orłami carskimi.

— *Tylko to pozostało z Bursztynowej Komnaty* — z przekonaniem tłumaczył Niemiec.

Dalsze wspomnienia Gruby są co najmniej mętne. Jeńca przekazano przełożonym, a do zamku w Kadynach przyjechał dowódca 5 Armii Czołgów — generał Połbojarow. Sam zaś Gruba poszedł wojować dalej, by 17 kwietnia odnieść ciężkie obrażenia. W różnych szpitalach wojskowych leczył się do końca 1945 roku.

Co jednak stało się z jeńcem? Jak się nazywał i kim faktycznie był? Czy ktoś z wyższych władz wojskowych Armii Czerwonej lub NKWD zainteresował się wówczas zarówno zawartością skrzyń, jak i opowieścią faktycznego lub rzekomego funkcjonariusza NSDAP? I czy w ogóle ów funkcjonariusz wymienił Bursztynową Komnatę?

Można w to wątpić, ponieważ Gruba przypomniał sobie o tym wydarzeniu dopiero w 1973 roku, gdy sprawę poszukiwań Bursztynowej Komnaty wyciągnął ponownie na światło dzienne wspomniany już tu film Telewizji Polskiej, wyświetlony również przez telewizję radziecką. I właśnie wtedy Gruba

zaczął molestować różne organa władz ZSRR swoimi wspomnieniami znad Zalewu Wiślanego. Pisał do Moskwy — do Ministerstwa Kultury ZSRR i do KGB Ukraińskiej SRR. Wprawdzie bezpośredniego odzewu nie było, ale jego listy nie zaginęły. W latach osiemdziesiątych trop ten podjęła bowiem redakcja „Techniki Młodzież”. Informacje Gruby potraktowano serio, a jego samego zaproszono na poszukiwania w wodach zalewu, przeprowadzone latem 1988 roku.

Przez czternaście dni prawie stuosobowa ekipa (63 Polaków i 30 Rosjan) penetrowało dno płytkiego w tym miejscu Zalewu Wiślanego. Gruba wskazał pozycję czołgów w momencie ostrzelania konwoju. Strona radziecka zapewniła też udział w penetracji dna kilku jednostek floty bałtyckiej Marynarki Wojennej. Przebadano przybrzeżne wody w promieniu czterech kilometrów, korzystając z pomocy czułych urządzeń dwóch okrętów hydrograficznych. Rosjanie sprowadzili nawet specjalne kutry do sondowania w mule, a strona polska podstawiła śmigłowiec. Nadaremno. Dwa tygodnie poszukiwań nie przyniosły bowiem żadnego rezultatu. Nie znaleziono dosłownie niczego.

— *Myślę, że te poszukiwania nie poszły na marne* — mówił reporterom Borys Waszkiewicz. — *Po prostu wykluczyliśmy jeszcze jedną hipotezę związaną z zaginięciem komnaty. Jeszcze w trakcie trwania tej wyprawy przeprowadziliśmy wiele rozmów z mieszkańcami okolicznych miejscowości. Wszyscy oni twierdzą, że u schyłku lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych u wybrzeży Zalewu Wiślanego działały duże specjalistyczne grupy wojskowe wydobywające z dna sprzęt wojskowy. Prawdopodobnie wtedy oczyszczono dokładnie dno. Nie sądzę natomiast, by fakt wydobycia skrzyń z bursztynowym skarbem mógł wtedy zostać nieuwjawniony. Myślę po prostu, że rewelacje Gruby były trochę przesadzone...*

ZAGINIONA KOMNATA

Chyba nie trochę, ale za to liczna ekipa polsko-radziecka miała przez kilka lat zapewnione darmowe i to w dodatku atrakcyjne wakacje.

TAJEMNICA ZAMKOWEGO WZGÓRZA

Ślad wiodący w głąbiny podkołobrzeskiego jeziora Resko Przymorskie nie był jedyny, który w poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty prowadził na Pomorze Środkowe. Gdzieś w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych, znowu po telewizyjnej emisji filmu „Tajemnica Bursztynowej Komnaty”, pojawił się ślad człuchowski, nazwany tak od kilkunastotysięcznego miasta w województwie śluskim, malowniczo położonego nad jeziorami.

Człuchów leży na dawnym szlaku Królewiec — Berlin. W okresie międzywojennym był (nie licząc Prus Wschodnich) najdalej wysuniętym na wschód miastem III Rzeszy, leżąc tuż nad granicą z Polską. Stąd prowadziły drogi i linie kolejowe do Miastka, Szczecinka i Złotowa, dlatego też Niemcy pod koniec wojny przekształcili Człuchów w silny węzeł oporu, broniony przez jednostki piechoty, czołgi i działa pancerne. Zarówno lokalizacja miasta, jak i zaciętość walk o nie lepiej pozwoli zrozumieć to, co wydarzyło się w Schlochau czyli w Człuchowie gdzieś w połowie lutego 1945 roku.

Była noc, której ciemności rozjaśniała tylko luna pożarów, świecąca nad horyzontem. Z daleka dochodziły odgłosy toczących się walk. W pewnej chwili tuż obok zamku człuchowskiego zatrzymały się niemieckie ciężarówki, eskortowane przez transportery opancerzone. Wskoczyli z nich żołnierze z gotowymi do strzału pistoletami maszynowymi.



15. Resztki pokrzyżackiego zamku w Człuchowie.

Fot. L. Adamczewski.

TAJEMNICA ZAMKOWEGO WZGÓRZA

Rozsznurowano plandeki i z samochodów wyniesiono wiele sporych rozmiarów skrzyń i ukryto gdzieś wewnątrz zamku. Po kilku godzinach samochody odjechały.

Akcję tę obserwowało z ukrycia dwóch świadków. Obaj od dawna nie żyją, ale historię tę zapamiętał krewny jednego z nich. I on przekazał ją prasie, dodając, iż od swojego krewniaka dowiedział się jeszcze, że od tamtej nocy aż do dnia zajęcia Człuchowa przez wojska radzieckie (27 lutego 1945) niczego z zamku nie wywożono, zaś czerwonoarmiści nic tam ciekawego nie znaleźli...

W Człuchowie po raz pierwszy byłem na początku 1975 roku, niemal równo po trzydziestu latach od tamtej nocnej akcji. Zamek, na którego wieży znajdowała się stacja przekątnikowa drugiego programu telewizyjnego, sprawiał wrażenie częściowo opuszczonego i zaniedbanego. Hipoteza o ukryciu tu jakichś wartościowych przedmiotów — skonstatawałem — jest prawdopodobna. Od końca wojny nie zbadano bowiem lochów, rozciągających się na kilku kondygnacjach wewnątrz zamkowego wzgórza. Natrafiłem tylko na zawałone gruzem lub zamurowane wejścia, być może do podziemi.

Następne wyjazdy do Człuchowa pozwoliły uzupełnić mi posiadane informacje o ciekawe i dające wiele do myślenia zarówno fakty, jak i nowe domysły.

Budowę zamku rozpoczęli Krzyżacy w 1325 roku. Komtur człuchowski zamieszkał w nim siedem lat później, a kaplicę zamkową poświęcono w roku 1365. Z racji ważnej roli strategicznej, kontrolowania uczęszczanych szlaków handlowych oraz naturalnych walorów obronnych, zamek człuchowski stał się jedną z najważniejszych twierdz krzyżackich. Jan Długosz pisze o tym zamku, że Krzyżacy go „na równi kładli z Malborkiem”.

Twierdza odebrana została zakonowi w roku 1454 i odtąd, przez ponad trzy stulecia, zamek był rezydencją starostów człuchowskich. W roku 1772, a więc podczas pierwszego

rozbioru Polski, zamek zajęli Prusacy. Nie na długo zresztą, ponieważ w 1793 roku, po potężnym pożarze miasta, zamek prawie w całości rozebrano, a uzyskane w ten sposób cegły użyto do odbudowy spalonych domów. Pozostała tylko wysoka wieża, która — jak twierdzą historycy — była najwyższą wieżą obronną w średniowiecznej Europie, a także kościół wykorzystywany na salę widowiskową i świątynię ewangelicką. Kościół ów na fundamentach dawnej kaplicy zamkowej wzniesli Prusacy w 1825 roku. Ostały się też resztki murów, które archeologom dają obecnie jako takie pojęcie o rozmiarach tego zamczyska krzyżackiego.

Specjaliści z Polskiej Akademii Nauk, którzy w latach siedemdziesiątych na prośbę władz radzieckich sprawdzali „sygnał człuchowski”, zdecydowanie odrzucili hipotezę o ukryciu tutaj Bursztynowej Komnaty. Tymczasem sprawdzony do zamku radiesteta poznański — Bonin twierdził, że jego wahadełko wskazuje, iż w pobliżu resztek tej krzyżackiej budowli znajduje się duża żyła wodna i sporo... bursztynu.

I wtedy do akcji weszła wojskowa „Husaria”. Taką bowiem nazwę nosiło na początku lat osiemdziesiątych koło Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w jednej z jednostek Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Żołnierze postanowili spenetrować podziemia zamku człuchowskiego nie tyle nawet w poszukiwaniu Bursztynowej Komnaty, co dla uzupełnienia wiedzy historycznej o tej niezwykle ciekawej budowli pokrzyżackiej. Zakres prac uzgodniono zarówno z władzami miejskimi, jak i z wojewódzkim konserwatorem zabytków w Słupsku.

W obecności żołnierzy, którymi dowodził porucznik Tadeusz Aleksandrak, radiesteta Bonin potwierdził hipotezę o znajdujących się tu lochach podziemnych, sugerując ponadto, że w nich to mają znajdować się wyroby z bursztynu, leżące w odległości 15 — 20 metrów od wieży, głęboko pod posadzką dawnej kaplicy zamkowej.

TAJEMNICA ZAMKOWEGO WZGÓRZA

Osobiście nie wierzę w skuteczność zdolności radiestetycznych pewnych ludzi przy poszukiwaniach bursztynu. Dziwnym trafem radiesteta poznański zlokalizował w zamku człuchowskim zbiory bursztynu mniej więcej w miejscu, które wskazane było krzyżykiem na moim zdjęciu wnętrza opuszczonej jeszcze wtedy byłej świątyni protestanckiej, opublikowanym wraz z artykułem Zbigniewa Szymańskiego w „Expressie Poznańskim” 28 lutego 1975 roku. Czyżby pan Bonin tym się właśnie zasugerował, ponieważ jako mieszkaniec Poznania mógł przecież oglądać to zdjęcie?... A może dziennikarze, bez różdżki i wahadełka, sugerując się tylko logiką, wskazali miejsce ewentualnego ukrycia skarbów?

Rozumowanie żołnierzy z koła „Husaria” było też logiczne. Do zamkowych lochów można się dostać tylko od strony wieży. I tam więc zaczęli kopać, usuwając kamienie, gruz,



16. Widok na wieżę zamku w Człuchowie od strony centrum miasteczka.

Fot. L. Adamczewski.

piasek i żwir, nawet walcząc z wodą, która płynąc z pękniętej rury zaczęła zalewać szyb w ścianie wieży. Z pomocą przyszli strażacy, którzy w niezwykle trudnych warunkach wodę w końcu wypompowali. Usunięto też awarię rury.

Z lektury dawnych dokumentów żołnierze wiedzieli, iż Prusacy przebadali szyb wieży w 1850 roku do głębokości czterech metrów. Kopano więc dalej. Mozolna, trudna i poniekąd niebezpieczna była to praca. Na głębokości 4 metrów i 64 centymetrów natrafiono na maski przeciwgazowe z czasów pierwszej wojny światowej oraz stare, żelazne zasuwki dawnych bram i drzwi. Jednocześnie spenetrowano biegnący obok szybu kanał zsypany, który w górnym wylocie ma 75 centymetrów szerokości, a czterdzieści metrów niżej kończy się komorą półtora na półtora metra. Gdy sięgnięto do bogatej dokumentacji warowni człuchowskiej, okazało się, iż kanał ów nie był znany historykom.

Historykom nie, ale już w latach sześćdziesiątych kanałem tym zainteresowali się pracownicy telewizyjnej stacji przekaznikowej, którzy uznali go za zsypanie do śmieci. Nic zatem dziwnego, że żołnierze znaleźli setki kości... po kurczakach i około sto butelek po wódce. W jednej z nich tkwiła kartka zapisana niezbyt prostymi literami, które ułożyły się w następujący tekst: „Dnia 13 stycznia 1971 roku z tej butelki pił: Teresa Chojnacka, Lech Gwizdała, Włodzimierz Malka i Ireneusz Lipiński w czasie dyżuru na SLR Człuchów”. SLR — rozszyfrujmy ten skrót — to symbol telewizyjnej stacji przekaznikowej, której pracownicy w niezbyt oryginalny sposób chcieli przejść do historii. Nie przewidzieli tylko, że butelkę z kartką tak szybko znajdą żołnierze...

Obok szybu wieży i kanału zsypanego członkowie „Husarii” zainteresowali się także lochami wieży. Spenetrowano dwa

ośmiokątne pomieszczenia, szukając wyjścia, które prowadziłyby do lochów niemal na pewno rozciągających się wewnątrz wzgórza zamkowego. Wszak trudno sobie wyobrazić, by to potężne kiedyś zamczysko nie miało podziemnych lochów. W odkrytych przez żołnierzy pomieszczeniach natrafiono tylko na kości ludzkie, odłamy lichtarzy kościelnych z XVIII wieku i potężny kamień tkwiący w posadzce lochu. Czy pod nim znajduje się ukryte wejście do podziemi zamku człuchowskiego?

Z poszukiwań żołnierzy, którzy natrafili także na wiele uszkodzonych, glinianych skorup naczyń pochodzących najprawdopodobniej z XV i XVI wieku, na kuty zamek do drzwi, kolatkę i ucho do tego zamka, zadowolony był przede wszystkim dyrektor miejscowego muzeum, Edmund Kloskowski. Gdy rozmawiałem z nim w lipcu 1983 roku, stwierdził, że rezultaty prac żołnierzy z „Husarii” pozwoliły mu uzupełnić wiedzę o tej budowli krzyżackiej. Natomiast Stefan Maszewski, który był wówczas konserwatorem zamku, powiedział mi, że wierzy, iż naprawdę coś tu ukryto w tamtą lutową noc 1945 roku. Może Bursztynową Komnatę? Może jakiś inny skarb? Wiernie więc towarzyszył żołnierzom podczas ich penetracji w podziemiach wieży zamkowej, oprowadzając mnie później po fragmencie odkrytych przez nich pomieszczeń. Ale tajemnicze lochy nie dawały mu spokojnie spać.

Penetracje żołnierzy w zamku człuchowskim wykazują ponadto, jak trudne, niebezpieczne i czasochłonne są wszelkie badania i poszukiwania prowadzone w lochach, starych, zasypanych piwnicach i bunkrach oraz tym podobnych schowkach. Sprawa tylko pozornie wydaje się prosta. A tymczasem do przeszukania lochów jakiegoś zamczyska czy podziemnych obiektów wykutych na przykład w skałach tej czy innej góry potrzeba specjalistycznego sprzętu i wyszkolonych ludzi, nierzadko na czele z saperami wyposażonymi w wykrywacze min i innych śmiertcionośnych pułapek. Wielu

indywidualnych poszukiwaczy skarbów zapłaciło życiem za próbę wydarcia tajemnic takich czy innych lochów, bunkrów i innych obiektów podziemnych. A poza tym tego typu akcje poszukiwawcze kosztują, i to sporo, nie dając żadnej pewności, że przyniosą oczekiwane rezultaty.

Bo przede wszystkim trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Nie po omacku, jak w Człuchowie i setkach innych miejsc, opierając się na enigmatycznych relacjach ludzi, którzy coś widzieli lub tylko słyszeli. Ślad człuchowski był i chyba jest nadal wart sprawdzenia, ale nie przez poszukiwaczy Bursztynowej Komnaty. Wszystko bowiem wskazuje, że jej w podziemiach zamku nie ma. Bo fakt, że Człuchów leży akurat na dawnym szlaku Królewiec — Berlin to bardzo wątpliwa przesłanka. I nie



17. Reprodukacja zdjęcia zamieszczonego w „Expressie Poznańskim” w dziennikarskich penetracjach sprawdzających realność „ślada człuchowskiego” w poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty. Zdjęcie to wykonano i opublikowano w lutym 1975 roku.

TAJEMNICA ZAMKOWEGO WZGÓRZA

wzmacnia jej nawet wygrzebana przez kogoś informacja, że w hitlerowskich władzach Człuchowa zasiadał człowiek o nazwisku Koch, pewnie krewniak gauleitera Prus Wschodnich. On to — twierdzili zwolennicy śladu człuchowskiego — za-wczasu przygotował kryjówkę dla skarbu z Pałacu Jekatierin-skiego.

Przeglądając kiedyś jakieś materiały o pogromie ludności żydowskiej w prowincji pomorskiej III Rzeszy, natknąłem się na zdjęcie płonącej synagogi w Człuchowie. Wykonał je kierownik propagandy w Kreisleitungu NSDAP (czyli w powiatowej siedzibie partii hitlerowskiej), niejaki Werner Koch. Czy był on rzeczywiście krewnym potężnego gauleitera Ericha Kocha, nie udało mi się ustalić.

Wracając zaś do owej lutowej nocy 1945 roku, to nie można wykluczyć, że faktycznie ukryto w podziemiach zamku leżącego w pierwszej miejscowości tuż za przedwojenną granicą polsko-niemiecką jakiś ładunek. Dzieła sztuki? Złoto i precjoza? Tajne dokumenty? Sprzęt biurowy lub inne bezwartościowe dzisiaj starocie? Jeśli rzeczywiście tak było, to najprawdopodobniej odbyło się to wszystko nagle, na rozkaz dowódcy konwoju, który — zorientowawszy się w aktualnej sytuacji militarnej — nie chciał ryzykować dalszej jazdy na zachód przez tereny częściowo już opanowane przez oddziały Armii Czerwonej i 1 Armii Wojska Polskiego. Po przełamaniu w pierwszych dniach lutego mocno ufortyfikowanych pozycji tak zwanego Wału Pomorskiego, posuwały się one w kierunku północno-zachodnim, a więc w tym samym kierunku, w którym musiał zmierzać konwój ciężarówek niemieckich eskortowanych przez transportery opancerzone. Pod warunkiem wszelako, że dwaj Polacy, ukryci w budynku stojącym nie opodal zamku człuchowskiego, niczego nie zmyślili i rzeczywiście widzieli akcję ukrywania jakichś skrzyń.

Człowiek, który przekazał tę informację prasie, był święcie przekonany, że jego krewniak nie kłamał. Wielokrotnie bo-

wiem opowiadał o tym w rodzinnym gronie, i to na długo przedtem, zanim sprawa poszukiwań Bursztynowej Komnaty stała się głośna.

STARE I NOWE ŚLADY

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy dwóch świadków obserwowało nocną akcję ukrywania przez Niemców jakiegoś tajemniczego ładunku w podziemiach tego, co pozostało z zamku w Człuchowie, dobiegała końca bitwa o Lidzbark Warmiński. I chociaż w Lidzbarku nikt nie zauważył, by w podziemiach zamku, który przez długie stulecia był rezydencją biskupów warmińskich, Niemcy ukryli jakieś skrzynie, to jednak właśnie wspomniana bitwa o miasto nasunęła hipotezę o schowaniu tu Bursztynowej Komnaty.

Oddziały Armii Czerwonej zajęły Heilsberg czyli Lidzbark Warmiński, niemal w marszu w ostatnim dniu stycznia 1945 roku, chociaż w mieście znajdował się dość duży garnizon hitlerowski. Ocalały unikatowe zabytki świadczące o dawnej świetności tego grodu, w którym mieszkali między innymi Mikołaj Kopernik i jego wuj Łukasz Watzenrode, Maurycy Ferber (jego postać upamiętnił Jan Matejko na płótnie „Hołdu Pruskiego”), Jan Dantyszek, Stanisław Hozjusz, Marcin Kromer i Ignacy Krasicki.

Ocalały, ale nie na długo. Kilka dni później silne kontruderzenie wojsk niemieckich od strony Górowa Iławieckiego spowodowało Rosjan do obrony, a centrum tej bitwy stało się miasto Kopernika, Dantyszka i Krasickiego. W ruiny waliły się zabytkowe budowle i zakłady przemysłowe, urządzenia komunalne i kolejowe. Śródmieście płonęło...

W 1970 roku Ewa Nowakowska i Marian Butrym na łamach tygodnika „Kierunki” zadali naiwne w swej istocie pytanie — po co Niemcy kontratakowali? I udzielili na nie odpowiedzi. Po to, by w chaosie towarzyszącej bitwie o miasto przewieźć do

Lidzbarka Warmińskiego i ukryć w podziemiach zamku skrzynie z Busztynową Komnatą!

By pojąć logikę tego rozumowania, kilkanaście zdań trzeba poświęcić miejscu, o którym swego czasu głośno było nie tylko w Polsce. Analizując działalność doktora Alfreda Rohdego w ostatnich miesiącach 1944 roku, poszukiwacze Bursztynowej Komnaty zwrócili uwagę na porośnięte chwastami ruiny pałacu hrabiostwa von Schwerinów w dawnym Wildenhofie czyli w obecnym Dzikowie, małej wiosce koło Górowa Iławieckiego w pobliżu dzisiejszej granicy polsko-rosyjskiej.

Udało się ustalić, że w połowie 1944 roku do Dzikowa przewieziono część obrazów z muzeów królewieckich, a jesienią tegoż roku zaplombowane skrzynie z nieznaną zawar-



18. Zamek w Lidzbarku Warmińskim w latach drugiej wojny światowej.

Fotografia archiwalna

tością. Te ostatnie skrzynie osobiście przywiózł do Wildenhofu królewiecki opiekun Bursztynowej Komnaty. Doktor Rohde prowadził też dość ożywioną korespondencję z właścicielami majątku. Część tej korespondencji udało się odnaleźć po wojnie, ale do sprawy poszukiwań komnaty nie wniosła nic nowego.

Niemniej ślad dzikowski uznano za ważny, ponieważ w Wildenhofie pojawił się sam doktor Rohde, szukając tam schronienia dla dzieł sztuki i eksponatów muzealnych z zagrożonego kolejnymi bombardowaniami i walkami ulicznymi Królewca. Zadawano więc pytanie, czy właśnie w Dzikowie schowano Bursztynową Komnatę?

Pałac von Schwerinów w Dzikowie spłonął doszczętnie podczas zajmowania tych terenów przez Armię Czerwoną na początku 1945 roku. Dziennikarze radzieccy odszukali swego czasu kilku żołnierzy z jednostki, która zdobywała Wildenhof. Opowiedzieli oni, że tuż po walce ujęto oficera SS przebranego w kobiecy strój. Podczas pobieżnej rewizji znaleziono przy nim plany jakiegoś pałacu i jego okolicy z tajemniczymi znakami. Zabrano więc go do sztabu, gdzie w czasie przesłuchania oficer ów zaczął podejrzliwie manipulować rękami w kieszeniach. Do esesmana doskoczyło kilku czerwonoarmistów, ale w tym momencie nastąpiła eksplozja granatu, którego nie zauważono podczas rewizji. Wybuch rozerwał Niemca i kilku Rosjan. Zniszczeniu uległy też plany.

Trudno dzisiaj ustalić, czy tak rzeczywiście było, czy opowieść ta jest fragmentem legendy związanej z historią ukrycia i poszukiwań Bursztynowej Komnaty. W każdym razie na początku lat sześćdziesiątych podczas zakrojonej na dużą skalę akcji poszukiwawczej przeryto ruiny pałacu w Dzikowie i jego najbliższe otoczenie. Nie udało się jednak odkryć wejść do pałacowych piwnic, gdzie właśnie złożone były skrzynie z

Królewca. Czy były wśród nich te ze skarbem z Pałacu Jekatierńskiego? Wszystko chyba wskazuje na to, że nie.

Wróćmy jednak do Lidzbarka Warmińskiego. Nowakowska i Butrym piszą: „Spalenie pałacu w Dzikowie oraz atak na Lidzbark, po wcześniejszym oddaniu miasta bez walki, wyglądają na manewry wręcz bezsensowne, tym bardziej że drugą operację przeprowadzono kosztem poważnych strat w ludziach i sprzęcie. Naszym zdaniem istnieje jedyne logiczne wytłumaczenie obu posunięć, jako zgranych ze sobą działań maskujących. A więc w pierwszym wypadku oddziałowi SS chodziło o zatarcie śladów, dowodzących przechowywania w Dzikowie jakichkolwiek dzieł sztuki. Natomiast w drugim wypadku o zamaskowanie i zabezpieczenie transportu, przywiezionego z Dzikowa do lidzbarskiego zamku...”

Zdaniem dziennikarzy „Kierunków”, Niemcy zainscenizowali wywiezienie Bursztynowej Komnaty z Królewca do Dzikowa i jej tam spalenie wraz z pałacem von Schwerinów, gdy tymczasem pod osłoną silnego zgrupowania wojsk hitlerowskich skryły ze skarbem z Pałacu Jekatierńskiego przewieźli do odbitego z rąk Rosjan Lidzbarka i tam je ukryli w podziemiach zamku za cenę zniszczenia tego zabytkowego miasta. Tę hipotezę wspierać ma fakt, iż po ponownym opuszczeniu Lidzbarka hitlerowcy nie wysadzili w powietrze zamek chociaż indagowany przez Nowakowską i Butryma autochton powiedział im, że słyszał od Niemców, iż mają rozkaz zniszczyć zamek w przypadku, gdy trzeba będzie opuścić miasto.

Zamek ocalał, a więc po to zdobywano Lidzbark Warmiński, by w jego podziemiach coś ukryć. Na pewno Bursztynową Komnatę — twierdzili Nowakowska i Butrym, którzy długo upierali się przy swoim przypuszczeniu, nie mającym zresztą żadnego — że tak określe — umocowania w dowodach. Niemcy wszak wiedzieli od dawna, że w przypadku przegranej wojny, a na początku lutego 1945 roku na zwycięstwo się nie

zanosilo, utracą Prusy Wschodnie. Po co mieli więc ukrywać skrzynie z komnatą w miejscu, które i tak do nich należeć nie będzie?...

Nie ma jednak złego, co by na dobre nie wyszło. Cykl artykułów w „Kierunkach” zwrócił uwagę opinii publicznej na Lidzbark Warmiński, a zwłaszcza na tamtejszy zamek, nieco wyprzedzając w czasie zakrojone na szeroką skalę prace remontowe i konserwatorskie, które ogromnym nakładem sił i środków prowadzono głównie w pierwszej połowie dekady lat siedemdziesiątych, przywracając dawny blask zabytkom, przede wszystkim zaś gotyckiemu zamkowi.

Sporą część jego rozległych podziemi oczyszczono z gruzów społecznym wysiłkiem grupy entuzjastów. W ten sposób



19. Wejście do jednej ze sztolni w Górach Sowich koło Walimia.

Fot. L. Adamczewski.

uporządkowano dwie kondygnacje piwnic, na położoną najniższą trzecią kondygnację podziemną nie starczyło już siły i... entuzjazmu. Czy coś tam ukryto? Jeśli nawet, to na pewno nie Bursztynową Komnatę.

O Lidzbarku Warmińskim głośno było tylko przez kilka miesięcy, i to za sprawą dziennikarzy „Kierunków”. Dzikowo natomiast przez co najmniej kilka lat nie schodziło z łamów prasy. Interesujący się ruinami pałacu von Schwerinów, dziennikarze odnaleźli nielicznych autochtonów, którzy pozostali w okolicach Górowa Iławieckiego po przejściu frontu.

Późną zimą i wiosną 1945 roku była to niemal bezludna okolica. Ludność niemiecka albo została przez władze hitlerowskie ewakuowana, albo uciekła w panice przed Armią Czerwoną. Ci co pozostali, nie za bardzo interesowali się przyszłością. Chcieli tylko ochłonać po przeżyciach wojennych. Im było już wszystko jedno, czy mieszkać będą w Polsce, czy wysiedlą ich do którejś ze stref okupacyjnych Niemiec...

Mówiło się wówczas, że całe Prusy Wschodnie będą należeć do Polski i takie też były wstępne ustalenia polityków z koalicji antyhitlerowskiej. Rząd Rzeczypospolitej Polskiej na wychodźstwie w Londynie długo łudzono tą obietnicą, chociaż w zaciszu gabinetów polityków zwycięskich mocarstw z życzliwością rozpatrywano już propozycję Stalina, który zażądał podziału tej jeszcze niedawno niemieckiej prowincji.

Zanim latem 1945 roku, jednym prostym pociągnięciem ołówka, Stalin podzielił Prusy Wschodnie na część radziecką i polską, w okolicach Wildenhofu pojawiła się misja Czerwonego Krzyża. Przyjechała na to odludzie w celu ekshumacji zwłok lotników alianckich, zmarłych podczas wojny w obozie jenieckim znajdującym się kilka kilometrów od pałacu von Schwerinów. Na krótko przed ofensywą styczniową Armii Czerwonej, Niemcy ewakuowali jeńców do zachodnich rejonów Rzeszy. Pozostały tylko groby.

Członkowie misji Czerwonego Krzyża — wspominali potem autochtoni i nieliczni osadnicy polscy, którzy zdążyli trafić w okolice Górowa Iławieckiego — dysponowali jakimiś upoważnieniami i mieli sporą swobodę działania. Czy w misji znajdował się ktoś, kogo bardziej interesowały ruiny pałacu von Schwerinów niż groby jeńców? I czy kolumna samochodów ze znakami Czerwonego Krzyża wywiozła stąd tylko trumny z prochami lotników alianckich?...



W minionych latach Bursztynowej Komnaty szukano także w innych miejscach na terytorium Polski. między innymi w tak zwanych „bunkrach Georinga”, tajemniczych budowlach żelbetowych, postawionych na początku drugiej wojny światowej w lasach spalskich na Ziemi Łódzkiej, w pobliżu miejscowości Konewka i Jeleń. Chociaż nie było i nie ma żadnych dowodów ani nawet poszlak wskazujących, że skarb z Pałacu Jekatierńskiego trafił do centralnej Polski, to sporym nakładem sił i środków próbowano swego czasu zgłębić tajemnice tych współczesnych piramid. Nie udało się ani znaleźć skarbu, ani wyjaśnić przeznaczenia żelbetowych budowli. Przyjmuje się, iż była to jedna z kwater polowych dowódcy Luftwaffe, ministra żeglugi powietrznej, marszałka Rzeszy Hermanna Goeringa, ale nie można też wykluczyć, że te budowle z betonu i stali wzniesiono w innym celu.

Niektórzy zwracali również uwagę, że skrzynie z Bursztynową Komnatą mogły trafić na Dolny Śląsk, gdzie już od początku 1942 roku profesor Guenther Grundmann, konserwator zabytków prowincji dolnośląskiej, wyszukiwał miejsca nadające się na składnice dzieł sztuki, eksponatów muzealnych i cennych księgozbiorów, które zamierzano wywieźć z bombardowanych przez nieprzyjaciela dużych miast niemieckich. Pierwsze składnice powstały w Kamieńcu Ząbkowickim

(Kamenz) i w Henrykowie nad Oławą (Heinrichshau), dokąd pierwsze transporty trafiły już w maju i czerwcu 1942 roku, a więc w szczytowym okresie zwycięstw wojsk niemieckich. Przez następne dwa lata Grundmannowi udało się zorganizować tego typu składnice w 79 miejscowościach, z których 74 znajdują się obecnie w Polsce, przede wszystkim w Sudetach.

Sporządzony 21 czerwca 1944 roku zaszyfrowany spis miejscowości dolnośląskich, gdzie profesor zorganizował składnice, które w znacznej części były maskowanymi schowkami, odnaleziono zaraz po wojnie we Wrocławiu pod gruzami budynku urzędu konserwatorskiego. Polskiemu historykowi sztuki Józefowi Gębczakowi udało się ów spis rozszyfrować. Przekazano go działającej wtedy na Dolnym Śląsku specjalnej komisji rewindykacyjnej Ministerstwa Kultury i Sztuki RP, która na niemal każdym kroku napotykała na ogromne trudności, czynione jej przez radziecką administrację wojskową, spenetrowała większość składnic zlokalizowanych w ogólnie dostępnych budynkach: kościołach, klasztorach, plebaniach, leśniczówkach, prywatnych willach i pałacach. Odnaleziono wiele cennych dzieł sztuki, zbiorów muzealnych i archiwalnych wywiezionych z Wrocławia i innych większych miast prowincji dolnośląskiej, a także z innych miast niemieckich, na przykład z Berlina. Odszukano także liczne dzieła sztuki wywiezione na Dolny Śląsk z polskich muzeów, przede wszystkim z Warszawy i Krakowa.

Komisja rewindykacyjna nie szukała wówczas dzieł sztuki ukrytych gdzieś w trudno dostępnych lub wręcz zamaskowanych lochach, na przykład zamków, chociaż w spisie profesora Grundmanna ponad połowa z 74 pozycji dotyczyła właśnie różnych zamków pruskiej arystokracji lub będących podczas wojny w dyspozycji organizacji hitlerowskich, jak choćby NSDAP lub SA. Nie interesowano się w ogóle licznymi na Dolnym Śląsku obiektami podziemnymi, na przykład — wykutymi w skałach gór — fabrykami lub schronami.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na fakt, że rozszyfrowane przez Józefa Gębczaka dokumenty niemieckiego konserwatora zabytków prowincji dolnośląskiej noszą datę 21 czerwca 1944 roku. Do końca wojny pozostało jeszcze ponad dziesięć długich miesięcy, podczas których na Dolnym Śląsku, a zwłaszcza w Sudetach, miała dopiero nastąpić kulminacja tajnych akcji ukrywania różnych dóbr.

Są tacy, którzy sugerują, że skrzynie z Bursztynową Komnatą mogły zostać ukryte w podziemnych sztolniach wykutych w latach 1943-45 wewnątrz Gór Sowich w okolicach Walimia, Jugowic i Głuszycy, głównie przez więźniów obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Podziemia te wraz z zamkiem Książ w Wałbrzychu miały być jedną z kolejnych kwater głównych Adolfa Hitlera i jego sztabu. Jej budowę przerwano w końcu stycznia 1945 roku, zaś Armia Czerwona wkroczyła na te tereny dopiero pod koniec pierwszej dekady maja. Niemcy mieli zatem sporo czasu, by nie tylko zatrzeć ślady popełnionych tu zbrodni, ale także by w podziemnych labiryntach hal i korytarzy ukryć za sztucznie wywołanymi zawałami dzieła sztuki, złoto z banków dolnośląskich i inne cenne przedmioty. Czy również Bursztynową Komnatę?

Jeszcze inni wskazują na Srebrną Górę, okolice Złotoryi, Bolesławca, Karpacza i Szklarskiej Poręby, a także na kilka innych miejscowości dolnośląskich, gdzie w ostatnich miesiącach wojny ukrywano różne przedmioty, w tym również dzieła sztuki, wykorzystując do tego celu stare wyrobiska górnicze, fabryki podziemne oraz lochy zamków i twierdz.

— *W ostatnich tygodniach wojny do kłodzkiej fortecy przyjechało kilka ciężarówek załadowanych cennymi przedmiotami, zrabowanymi przez Niemców. Istnieje prawdopodobieństwo, że przywieziono tu słynną Bursztynową Komnatę — twierdzi przewodnik z Kłodzka, Leszek Hawryszczak.*

Jego zdaniem, pracownicy miejscowej filii koncernu AEG zatrudnieni przy wyładunku i przenoszeniu skrzyń, które pod

ZAGINIONA KOMNATA

osłoną nocy umieszczono w podziemnym labiryncie twierdzy kłodzkiej, zostali zgładzeni.

Tyle Hawryszczak. Jakże zaś są fakty? Górująca nad Kłodzkiem i okolica, twierdzę wybudowali w drugiej połowie osiemnastego stulecia Pusacy w miejscu starych umocnień obronnych Austriaków. W latach drugiej wojny światowej kłodzka forteca zamieniono na więzienie, gdzie między innymi odbywali kary żołnierze Wehrmachtu i armii państw satelickich III Rzeszy. Późnym latem 1944 roku do twierdzy przeniesiono z Łodzi zakłady zbrojeniowe koncernu AEG, produkujące między innymi części elektryczne dla broni V i aparaturę radiową dla okrętów podwodnych. Zakłady te ewakuowano wraz z około półtoratysięczną, przeważnie bardzo młodą załogą polską.



20. Twierdza kłodzka kryje jeszcze wiele tajemnic.

Fot. L. Adamczewski

Młodzi Polacy szybko nawiązali kontakty z odbywającymi tu długoletnie wyroki żołnierzami Wehrmachtu, od których dowiedzieli się, że przed kilkoma miesiącami przywieziono do twierdzy i ukryto w podziemiach wiele ciężkich skrzyń. Informatorzy sugerowali, że znajdowały się w nich jakieś cenne przedmioty.

Jak wynika z relacji Adama Bieńkowskiego, w połowie października 1944 roku on oraz dwóch jego kolegów podjęło bardzo ryzykowną wyprawę do podziemi twierdzy. Po długiej i niebezpiecznej wędrówce natrafili na obszerną salę o wymiarach 10 na 10 metrów i około pięciu metrów wysokości.

„Pod ścianami — wspominał Bieńkowski w „Roczniku Ziemi Kłodzkiej” w 1960 roku — stoją regały zastawione cudownymi przedmiotami. Zastawy z saskiej porcelany stoją obok pięknie rzeźbionych pucharów. Nie opodal przetykane złotem szaty, suknie o fantastycznych wzorach, setki bezładnie rozrzuconych obrazów olejnych, różnego rodzaju manuskrypty i książki, a na środku sali spoczywa kilkadziesiąt rozmaitych starych pistoletów i strzelb skałkowych z pięknie inkrustowanymi rękojeściami. Długo oglądamy te skarby. Jesteśmy widocznie w miejscu, gdzie hitlerowcy zwieźli przed bombardowaniem najbardziej cenne eksponaty z muzeów Kłodzka i Wrocławia”.

A więc nie z Królewca. A ponadto w połowie października 1944 roku skrzynie z Bursztynową Komnatą znajdowały się jeszcze w zamku królewieckim.

Z tych samych przyczyn czasowych inny łodzianin, przebywający wówczas w Kłodzku, a mianowicie Jerzy R., nie mógł uczestniczyć w rozładunku skrzyń z Bursztynową Komnatą. Skrzynie te bowiem zdjęto z platform samochodu ciężarowego „Krupp” i przyczepy oraz wniesiono do jakiejś sali w podziemiach twierdzy „któregoś dnia pod koniec października lub na początku listopada 1944 roku”.

Leszek Hawryszczak opowiada jednak turystom o kilku ciężarówkach, które przyjechały do twierdzy w ostatnich tygodniach, a nie miesiącach wojny. Czy przywiezły tu one skarb z Pałacu Jekatierńskiego? I czy w ogóle w ostatnich tygodniach wojny zwożono jeszcze do twierdzy jakieś tajemnicze skrzynie? To akurat jest wielce prawdopodobne, ponieważ ówczesny Glatz Rosjanie zajęli dopiero po zakończeniu działań wojennych w Europie.



Na Śląsk jeszcze wróć, a teraz nieco miejsca warto poświęcić fortyfikacjom, których obecna nazwa wielokrotnie pojawiała się wśród poszukiwaczy Bursztynowej Komnaty. Mowa tu o Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym — pasie potężnych fortyfikacji terenowych wybudowanych przez Niemców w latach międzywojennych. Na kilkudziesięciokilometrowym przesmyku między bagnistymi pradolinami, organiczonym od północy Międzyrzeczem (Meseritz), a od południa Świebodzinem (Schwiebus) powstało coś na kształt „wschodniej linii Maginota”, co otrzymało nazwę Ufortyfikowanego Łuku Odry-Warty. Składał się on z trzech linii obronnych, ale nas interesować tu będzie tylko jego pozycja główna z kilkukondygnacyjnymi schronami bojowymi. Na powierzchni schrony były przykryte stalowymi kopułami zwanymi pancerwerkami, zaś pod ziemią połączone systemem wybudowanych na głębokości od 16 do 50 metrów tuneli.

Poszukiwaczy skarbów i przygód przyciągały właśnie pod ziemią międzyrzeckiego labiryntu: komory, szyby i około 30 kilometrów tuneli, ongiś wentylowanych i oświetlonych, w tym główna podziemna droga ruchu około 8-kilometrowej długości, po której kursowały elektryczne kolejki wąskotorowe.

Czy Niemcy coś tu cennego ukryli? Odpowiedź na to pytanie znana jest od lat. Otóż Siergiej Sidorow, który wkrótce po

wojnie był przedstawicielem ZSRR w Sojuszniczej Radzie Kontroli w Niemczech, w czasopiśmie „Kultura Radziecka” opisał swego czasu, jak i co znaleziono w podziemnych fortyfikacjach w okolicach Międzyrzecza. Po otrzymaniu informacji od mieszkańców, że na krótko przed zajęciem tych terenów przez Armię Czerwoną specjalna jednostka SS zajęta była zwożeniem i lokowaniem czegoś w tutejszych podziemiach, na miejsce udała się ekipa wojskowych radzieckich. Sidorow napisał: „*Rozpoczęliśmy penetrację tych bunkrów i w rezultacie szczegółowych poszukiwań znaleźliśmy głęboko pod ziemią doskonale zamaskowaną komorę, obudowaną ze wszystkich stron litym betonem*”.

Po przebicciu wejścia, w świetle latarek elektrycznych ekipa zobaczyła „rozbitą starą porcelanę i kryształy. Poniewierały się różnego rodzaju monety. Pod ścianami stosy skrzyń, w których znajdowały się obrazy, grafiki, akwaforty, rzeźby, dzieła sztuki zdobniczej, które — jak się później okazało — zostały zrabowane przez hitlerowców z muzeów Warszawy, Krakowa, Poznania, Gdańska...”

Sidorow nie zdradził szczegółów, dodając tylko, że wszystkie znalezione dobra przewieziono do Moskwy, gdzie dzieła sztuki poddano restauracji. Ekspozyty z muzeów polskich w 1956 roku uroczyście — jak zaznaczył — przekazano Polsce.

W tym miejscu warto zadać retoryczne chyba pytania. Co naprawdę znaleźli Rosjanie w podziemnym labiryncie Ufortyfikowanego Łuku Odry-Warty? I czy odszukano wszystkie ewentualne schowki i skrytki w rodzaju zamaskowanej komory obudowanej ze wszystkich stron litym betonem?

A także, czy skrzynie z Bursztynową Komnatą mogły znaleźć się w okolicach Międzyrzecza?

Na fortyfikacje Międzyrzecckiego Rejonu Umocnionego poszukiwacze komnaty zwracają uwagę od lat. W każdym razie zwracali uwagę zanim jeszcze pojawił się dość dobrze udokumentowany ślad, o którym będzie mowa w dalszej części

książki. W tym miejscu zasygnalizuję tylko, że wiele wskazuje, iż w styczniu 1945 roku skrzynie z Bursztynową Komnatą znalazły się w bezpośrednim sąsiedztwie fortyfikacji między-rzeckich...

*

A teraz wróćmy raz jeszcze na Śląsk, tym razem Opolski.

Wojna zbliżała się do końca. Chociaż niemieckie gazety nie informowały o tym wprost, to jednak mieszkańcy małej, zagubionej gdzieś we wschodnich Sudetach, wioski przewidywali, że wkrótce i tu dotrą oddziały Armii Czerwonej. Kilka tygodni temu zatrzymały się one nad Wisłą, szykując do nowej i — na co wszystko wskazywało — ostatniej ofensywy. Wprawdzie i tu docierały pogłoski, że Hitler szykuje jakąś nową, cudowną broń, która na korzyść III Rzeszy zmieni rezultat wojny, ale chyba nikt z mieszkańców wioski w to nie wierzył. Wszak na Londyn spadały już od jakiegoś czasu rakiety V-2, szczytowe osiągnięcie niemieckiej myśli technicznej, co jednak nie miało żadnego wpływu na działania bojowe wojsk sprzymierzonych...

Waltrauda Scholz miała wówczas dwanaście lat, ale od małości przyzwyczajona była do konspiracji. Wbrew kategorii, czynnym zakazom władz hitlerowskich, uczyła się religii, często w tajemnicy przed sąsiadami i równieśnikami przebywając na plebanii miejscowej parafii. Tego dnia pod koniec 1944 roku też tam była. Z okien plebanii obserwowała już zresztą wcześniej, jak niemieccy żołnierze ogrodzili kościelny dziedzińiec, a następnie przystąpili do kopania głębokiego dołu. Strzegli go w dzień i w nocy uzbrojeni w karabiny i pistolety maszynowe żołnierze.

Waltrauda nie widziała jeszcze w tym nic dziwnego. Ot, dół i tyle. A i uzbrojonych żołnierzy spotykało się podczas wojny, nawet w tej małej wiosce sudeckiej.

Gdy dziewczynka znowu znalazła się na plebanii, przez okno zauważyła leżące na ziemi przedmioty w kształcie świec, z których wydobywał się gęsty dym. To ją zainteresowało. Zza firanki obserwowała więc to, co działo się na przykościelnym placu, na który w pewnej chwili wjechały wojskowe ciężarówki. Mimo zasłony dymnej, Waltraudzie udało się je policzyć. Przez dziedziniec przewinęły się w sumie 24 pojazdy. Rozsznurowywano plandeki i kilkunastu mężczyzn z największą ostrożnością zdejmowało z platform duże i zapewne ciężkie skrzynie. Dziewczynka i je policzyła. Było ich ponoć czterdzieści.

Skrzynie starannie ułożono w wykopanym uprzednio dole i przysypano ziemią, dokładnie ją ubijając.

Gdy po kilku dniach Waltrauda przechodziła koło plebanii, kościelny dziedziniec wyglądał tak jak kiedyś. Ani śladu po tajemniczej akcji żołnierzy. Zniknęły ciężarówki, zdjęto wartowników.

Czyżby to, co niedawno widziała, była snem?...

Wojna się wkrótce skończyła, a sudecka wioska znalazła się w granicach Polski. W 1946 roku wraz z matką i rodzeństwem Waltrauda Scholz musiała opuścić swe rodzinne strony.

Minęły lata. Któregoś dnia pani Waltrauda, obywatelka Republiki Federalnej Niemiec, zobaczyła w telewizji film o Bursztynowej Komnacie. Wtedy to dowiedziała się o tym unikatowym dziele sztuki wykonanym na początku osiemnastego stulecia dla króla Prus. Usłyszała o podarowaniu komnaty carowi Rosji, o jej wywiezieniu przez hitlerowców jesienią 1941 roku z Carskiego Sioła do Królewca. I o tym, że pod koniec wojny Bursztynowa Komnata w tajemniczych okolicznościach zaginęła. Lektor, przedstawiając jedną z hipotez mówił, że skrzynie z tym dziełem sztuki załadowano na ciężarówki, które wyjechały z Królewca...

Dalszego ciągu komentarza pani Waltrauda już nie słyszała. Jakimś szóstym zmysłem czuła, że były to te same

ciężarówki, które widziała z okien plebanii. Czyżby bezskutecznie poszukiwane przez lata arcydzieło sztuki, uważane przez wielu za ósmy cud świata, ukryto pod kościelnym dziedzińcem w jej rodzinnej wiosce? Była tego niemal pewna.

Podnieciona tym odkryciem opowiedziała młodszemu bratu Leonhardowi o tajemniczej akcji obserwowanej pod koniec wojny z okna plebanii i o swoich przypuszczeniach. Po wielu rozmowach na ten temat rodzeństwo postanowiło odwiedzić Polskę, gdzie w najlepsze rządili jeszcze nielubiani przez Scholzów komuniści. Pojechali, oczywiście, do rodzinnej wioski. Nie kryli tego, że tu kiedyś mieszkali. Zachowywali się jak turyści, by nie wzbudzić jakichś podejrzeń wśród ludzi, którzy osiedlili się tu po wojnie. Mówili o sentymencie do stron rodzinnych, rozpytywali się o losy poszczególnych domostw, a przede wszystkim kościoła. I tak od słowa do słowa dowiedzieli się, że na przykościelnym dziedzińcu nikt dotychczas niczego nie szukał. Uspokojeni wrócili do RFN.

Na dobrą sprawę wspomnienia Waltraudy Scholz można byłoby potraktować jako jeszcze jedną fantazję na temat Bursztynowej Komnaty. Lub jako przewidzenie dziecka. Ale tego przypadku nie da się akurat rozpatrywać w kategoriach zdroworozsądkowej logiki. Przecież Waltrauda nie powiadomiła o zapamiętanej z ostatnich tygodni wojny sekretnej akcji tych czy innych władz, na których rachunek przeprowadzono by bardzo kosztowne poszukiwania. To można byłoby jeszcze zrozumieć. Ale rodzeństwo Scholzów poszło inną drogą. Postanowili odkopać Bursztynową Komnatę na własny koszt, a ściślej na koszt Leonharda Scholza, właściciela niewielkiego sklepu.

Gdy w Polsce upadły rządy komunistów, Scholzowie odwiedzili Ambasadę RP w Kolonii, gdzie uzyskali zgodę na przeprowadzenie prac poszukiwawczych na terytorium Polski. Miejscowe władze samorządowe wyraziły również przychylną opinię. Bodaj najtrudniej było przekonać proboszcza,

w którego gestii znajduje się interesujący Scholzów skrawek ziemi. Ale i on wraz z lokalnym biskupem wyrazili w końcu zgodę. Nic zatem nie stało już na przeszkodzie, by na początku czerwca 1992 roku 55-letnia Waltrauda Scholz mogła wskazać:

— *To było tutaj!*

Sprowadzony na miejsce akcji słynny różdżkarz potwierdził wskazania pani Waltraudy, dodając, że na głębokości mniej więcej trzech metrów coś jest. Teraz do pracy przystąpili żołnierze z grupy rozminowywania 1 Brygady Saperów w Brzegu. Major Henryk Siodłak wyraził zgodę i operator koparki uruchomił maszynę. Łyżka koparki rozpoczęła rozgrzebywać kamienisty grunt. W ruch poszły też łopaty...



21. Jeden ze schronów bojowych Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego koło wsi Kaława w pobliżu szosy Międzyrzecz — Świebodzin.

Fot. L. Adamczewski.

Gdy dół stawał się coraz głębszy, zbadał go geolog. Powiedział, że teren ten był już przekopywany, ponieważ naruszone są warstwy gleby.

Akcja poszukiwawcza trwała trzy dni. Znalaziono jakieś stare kafelki, kałamarz i granat z czasów drugiej wojny światowej. Dół wykopano do głębokości dwóch metrów, chociaż różdżkarz mówił o trzech. Ale na kontynuowanie prac zabrakło Leonhardowi pieniędzy. „*Nie jestem Rockefellerem*” — stwierdził krótko, dodając że zamierza tu wrócić, by po znalezieniu w Niemczech sponsorów szukać dalej:

— *Jestem przekonany, że siostra była świadkiem czegoś niezwykłego i że ziemia kryje tu wielką zagadkę...*

I wielkie pieniądze — dodam od razu, ponieważ zgodnie z umową zawartą ze stroną polską Leonhard Scholz ma otrzymać 10 procent znaleźnego. Jeśli ziemia kryje tu Bursztynową Komnatę, to Leonhard stanie się człowiekiem bardzo bogatym i będzie mogło spełnić się jego najskrytsze marzenie. Chce bowiem utworzyć największą w RFN sieć handlową.

A jeśli ziemia nie kryje tu nic? Albo kryje skrzynie z jakimiś bezwartościowymi dzisiaj przedmiotami? Wszak żaden z ustalonych dotychczas śladów w poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty nie wiedzie na Opolszczyznę. Ale kto wie...

Wnikliwy czytelnik zapewne zauważył, że dotychczas nie padła tu ani dawna niemiecka, ani obecna polska nazwa wioski leżącej na południu województwa opolskiego, gdzie rzekomo ukryto jakiś skarb. I nazwa ta nie padnie. Pod groźbą ekskomuniki za zagładę wsi wszystkich piszących o tej sprawie zobowiązał do tego miejscowy proboszcz. Także lokalne władze nie życzyły sobie rozgłosu i tysięcy „poszukiwaczy skarbów”, którzy mogliby rzeczywiście przekopać całą wioskę. Przykład ze Środy Śląskiej, gdzie w latach osiemdziesiątych setki ludzi szukały złotych monet, jest nadal przestroga i ostrzeżeniem.

ZABÓJSTWO OGRODNIKA SPOD HAMBURGA

Nagie zwłoki Georga Steina, z wieloma ranami zadany mi nożem, znaleziono w sierpniu 1987 roku w ruinach starego zamczyska w odległości około 140 kilometrów od Hamburga...

Stein urodził się w Królewcu i do końca życia był zakochany w mieście swego dzieciństwa. W czasie drugiej wojny światowej służył jako podoficer w Wehrmachcie, walcząc między innymi pod Kurskiem latem 1943 roku oraz w obronie Królewca wczesną wiosną 1945 roku. W ostatnich latach swego życia parał się ogrodnictwem, będąc właścicielem niedużej farmy koło miasteczka Stelle niedaleko Hamburga.

Jednak prawdziwą pasją i sensem życia Steina było nie ogrodnictwo, lecz odnalezienie i zwrócenie Rosjanom Bursztynowej Komnaty oraz innych dzieł sztuki, zrabowanych przez hitlerowców w byłym Związku Radzieckim podczas wojny. Stein zrozumiał — pisano o nim — jak obrzydliwa jest kradzież skarbów kultury należących do innych narodów. Wiedząc, czym są okrucieństwa wojny, dążył do pokoju i przyjaźni między narodami: niemieckim i rosyjskim.

Władze RFN uważały go za maniaka, niezbyt wprawdzie niebezpiecznego, a w pewnych okolicznościach nawet pożytecznego, ale zawsze maniaka. Innego zdania były siły skrajnej prawicy niemieckiej, a zwłaszcza szefowie ziomek w wschodniopruskich, którzy uważali go za zdrajcę i renegata.

Przebywając w Grecji, w prawosławnym klasztorze na górze Athos, Stein dowiedział się od mnichów o skarbach z klasztoru Pieczorskiego pod Pskowem, które — podobnie jak Bursztynowa Komnata — zostały zrabowane przez Niemców podczas wojny i ślad po nich zaginął. Ogrodnik spod Hamburga szukając skarbu z Pałacu Jekatierńskiego jednocześnie szukał skarbów pskowskich. W tym celu podróżował po RFN, próbując odnaleźć osoby, które mogłyby o nich coś wiedzieć. Kilkakrotnie przebywał w ZSRR, rozmawiając tam z nielicznymi żyjącymi jeszcze świadkami rabunku skarbów z klasztoru Pieczorskiego. Molestował również urzędników w Bonn, by wydano mu specjalne zezwolenie na spenetrowanie tajnych archiwów. I w końcu dotarł do nich dzięki pomocy udzielonej mu przez dwóch wybitnych polityków niemieckiej socjaldemokracji: prezydenta RFN Gustawa Heinemanna i kanclerza Willy Brandta. I cóż się okazało? Losy skarbu z klasztoru Pieczorskiego były pedantycznie udokumentowane w archiwalnych zbiorach, chociaż minęło sporo czasu, zanim Steinowi udało się odszukać odpowiednie dokumenty.

Wynikało z nich, że skarbami pskowskimi „zainteresował” się w 1944 roku specjalny oddział SS. Skrzynie przewieziono do Kilonii, gdzie po kapitulacji III Rzeszy zaopiekowali się nimi Amerykanie. Zawieźli je do Wiesbaden i złożyli w piwnicach miejscowego muzeum wraz z innymi, nie zidentyfikowanymi wtedy dziełami sztuki. Dziewięć lat później władze amerykańskie wszystkie te skarby przekazały oficjalnie Niemcom, którzy znakomicie wiedząc, skąd pochodzą te z podpskowskiego klasztoru, nie zwrócili ich prawowitym właścicielom, lecz zmagazynowali w szczelnie zamkniętym i opieczętowanym pokoju Muzeum Ikon w Recklinghausen.

Gdy sprawa skarbów pskowskich została przez Steina nagłośniona, władze zachodnioniemieckie nie miały już innego wyjścia, jak delegować konsula generalnego RFN w ówczesnym Leningradzie, by uroczyście przekazał on mni-

chom dwanaście skrzyń, w których znajdowało się 620 cennych, nierzadko unikatowych dzieł sztuki z lat 1500 — 1912, od złotych i srebrnych naczyń sakralnych przez wysadzone szlachetnymi kamieniami i perłami ornaty biskupie po stare ikony i biblie. Było to w roku 1973, 29 lat po zrabowaniu przez esesmanów skarbów, które rosyjscy mnisi uznali już za bezpowrotnie stracone...

W papierach pozostawionych przez Steina odnaleziono fragmenty korespondencji z okresu, gdy zajmował się on poszukiwaniami skarbów pskowskich. Od Synodu Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej otrzymał między innymi i taki list:

„Wielce Szanowny Panie Stein, naprawdę Chrystus zmartwychwstał! Serdecznie dziękujemy Panu za nadesłaną przez Pana regularną informację dotyczącą zwrotu dla Pskowsko-Pieczorskiego Monastynu szat liturgicznych”.

Ale znaleziono również i taki anonim:

„Stein, nie jesteś prawdziwym Niemcem. Nie jesteś patriotą naszych przepięknych Niemiec! Służysz Rosjanom. Jak mogłeś to uczynić, ty Prusaku, którego ojczyzna, nasza ukochana prowincja wschodnia (chodzi o Prusy Wschodnie — przyp. L. A.) jest rozdeptywana buciorami nieokrzesanych Słowian. Nie darujemy tobie, Stein. Wiesz przecie, jak prawdziwi Niemcy traktują zdrajców i renegatów”.

Adresat tego listu został zamordowany. Czy była to zemsta „prawdziwych Niemców”, czy może usunięcie człowieka, który w swych poszukiwaniach Bursztynowej Komnaty niebezpiecznie zbliżył się do miejsca jej ukrycia? Był o krok od odkrycia tajemnicy tego skarbu lub może już ją odkrył?

George Stein wybrał bowiem jedyną, gwarantującą sukces drogę poszukiwań Bursztynowej Komnaty. Nie interesował się pojawiającymi co pewien czas „rewelacjami” w rodzaju „*wiem, gdzie szukać!*” lub „*widziałem, jak ukrywano Bursztynową Komnatę!*”. Nie interesowały go penetracje starych

lochów, zasypanych sztolni i podziemnych wyrobisk kopalń. Była i jest to droga donikąd. Stein interesował się przede wszystkim dokumentami. Wiedział, że droga Bursztynowej Komnaty z zamku królewieckiego do miejsca ukrycia została przez hitlerowców perfekcyjnie udokumentowana. I że dokumenty te wraz ze szkicami i planami wskazującymi drogę do tajnego schowka lub schowków najprawdopodobniej nie zostały zniszczone. Czy Stein natrafił na ich ślad?

Wiele wskazuje na to, że tak. I prawdopodobnie za to zapłacił życiem...

Bogate archiwum Steina jego syn sprzedał przyjacielowi zamordowanego poszukiwacza komnaty — baronowi Eduardowi Alexandrowi Falz-Feinowi, obywatelowi Lichtensteinu, który w formie daru przekazał je Radzieckiemu Funduszowi Kultury. Dwóch doświadczonych archiwistów rosyjskich, z



22. Sztolnia w jednej z niemieckich kopalń, gdzie przechowywano zabrane przez hitlerowców dzieła sztuki.

Fotografia archiwalna.

których jeden pracował uprzednio w specjalnej komisji poszukującej Bursztynowej Komnaty na terenie obwodu kaliningradzkiego, a drugi także przez lata zajmował się poszukiwaniami dzieł sztuki zagrabionych podczas drugiej wojny światowej przez Niemców w ZSRR, przez kilka miesięcy przeglądało dokumenty z archiwum Steina. Mniej więcej dwie trzecie z nich upstrzone były stemplami „Geheim!” (Tajne). Dziennikarz rosyjski Jurij Iwanow pisał w 1988 roku:

..... W jednych skrzyniach grube, starannie przez Georga Steina ponumerowane teczki, w innych teczki na wpół puste, rozgrzebane, paczki luźnych pism i dokumentów. Odnosi się wrażenie, że archiwum zostało solidnie splądrowane. (...) Co zniknęło z archiwum?...”

Prawie trzy lata przed tragiczną śmiercią Steina, na lamach hamburskiego tygodnika „Die Zeit” (numer 47 z 16 listopada 1984 roku) ukazał się bardzo obszerny artykuł na temat poszukiwań Bursztynowej Komnaty, prowadzonych po wojnie zwłaszcza w byłym Związku Radzieckim (głównie w obwodzie kaliningradzkim), w Polsce i obu ówczesnych państwach niemieckich. Artykuł ten napisał Karl-Heinz Janssen przy współpracy właśnie Georga Steina.

Do tej publikacji często jeszcze będę wracał na następnych stronach, ponieważ Janssen ze Steinem, opierając się także na bogatym archiwum tego ostatniego, prześledzili drogę Bursztynowej Komnaty z Królewca do... Ale o tym będzie jeszcze mowa. W każdym razie w końcowej części artykułu w hamburskim tygodniku czytamy między innymi:

..... Doświadczenia innego rodzaju nagromadził współpracownik tygodnika „Die Zeit”, Georg Stein. Wciąż na nowo kierowano go na fałszywy trop, jak gdyby komuś wyraźnie zależało na utrzymaniu za wszelką cenę w tajemnicy miejsca ukrycia Bursztynowej Komnaty. Jeśli zważyć, że „Deutsche Nationalzeitung” jeszcze w tym roku (czyli w 1984 — przyp. L.

A.) pisała, iż Bursztynowa Komnata nie jest własnością Rosjan i byłaby „w rękach niemieckich — choćby niewielkim — odszkodowaniem za straty, o których będzie jeszcze mowa przy negocjowaniu traktatu pokojowego”, to nie powinno to nikogo dziwić...”

Od napisania tych słów w 1984 roku zmienił się świat. Przestał istnieć Związek Radziecki w dawnym kształcie ustrojowo-terytorialnym, doszło do zjednoczenia Niemiec, w Europie powstało kilka nowych państw. A jednak słowa te pozostają aktualne. Coraz więcej zwolenników zyskuje bowiem teza, że w najtajniejszych archiwach RFN przechowywane są dokumenty, które ze względu na fakt, iż lokalizują schowki różnego rodzaju skarbów ukrytych przez hitlerowców pod koniec drugiej wojny światowej, są niedostępne dla historyków. Czy również dokumenty dotyczące Bursztynowej Komnaty?

Georga Steina dopuszczono do drobnego zaledwie fragmentu tego tajnego archiwum. Czy natrafił tam na coś, co nie tylko pomogło mu przy poszukiwaniach skarbów pskowskich, ale i skarbu z Pałacu Jekatierinskiego?

Szukając Bursztynowej Komnaty, Stein wytyczył cztery podstawowe wersje, a następnie sprawdzał poszczególne tropy i hipotezy, eliminując te, które znalazły się w sprzeczności z ustalonymi już i zweryfikowanymi faktami. I tak przez lata Stein analizował następujące wersje:

K r ó l e w i e c k a, a więc że Bursztynowa Komnata została schowana w dawnym Królewcu lub w najbliższych okolicach stolicy byłych Prus Wschodnich:

M o r s k a, a więc że skarb z Pałacu Jekatierinskiego wywieziono z Prus Wschodnich drogą morską, i to nie na pokładzie „Wilhelma Gustloff’a”, który w swój ostatni rejs wypłynął z Gdyni, ale tymi statkami lub okrętami wojennymi, które wypłynęły z podkrólewieckiej Piławy i nie dotarły do portów w środkowych i zachodnich Niemczech, tonąc w

wodach Bałtyku po storpedowaniu przez radzieckie okręty podwodne lub zbombardowaniu przez samoloty alianckie, zarówno aliantów zachodnich, jak i radzieckich;

Saksońsko-turyngijską, której poświęcam następane rozdziały;

Za oceaniczną, którą w pewnym okresie Stein traktował dość poważnie, a sprowadzającą się do tego, że Bursztynowa Komnata została w 1945 roku odnaleziona przez wojska amerykańskie i wywieziona do Stanów Zjednoczonych.

Jak zatem widać, żadna wersja Steina nie dotyczyła obecnego terytorium Polski.

Wróćmy jednak do ostatniej wersji Steina. Wkrótce po jego śmierci prasa brytyjska poinformowała, że Bursztynowa Komnata znajduje się na pewno w... Stanach Zjednoczonych Ameryki. Kilka tygodni później z podobną hipotezą wystąpił niemiecki tygodnik „Stern”, który — powołując się na ustalenia Steina — nieco ostrożniej stwierdził, że jeśli nie cała, to przynajmniej część komnaty wywieziono potajemnie za ocean.

Po przywiezieniu na początku 1945 roku skrzyń z Bursztynową Komnatą z Królewca do Berlina, ze względu na systematyczne naloty bombowe lotnictwa alianckiego na stolicę III Rzeszy, skrzynie te szybko wywieziono do jednej z kopalń, najprawdopodobniej do Grasleben koło Hanoweru. Badając wszystkie dokumenty, które mogłyby rozjaśnić mrok panujący wokół sprawy przechowywanych w tej kopalni dzieł sztuki i innych przedmiotów zabytkowych, Stein stwierdził pewne niezgodności w oficjalnych dokumentach sporządzonych przez wojska amerykańskie i w dokumentach kierownictwa kopalni oraz w pamiętniku ówczesnego burmistrza Grasleben. Dokumenty amerykańskie informują o niepodejmowaniu żadnych specjalnych środków na terenie Grasleben, czemu zaprzeczają dokumenty niemieckie, z których jednoznacznie wynika, że natychmiast po wkroczeniu do miasta

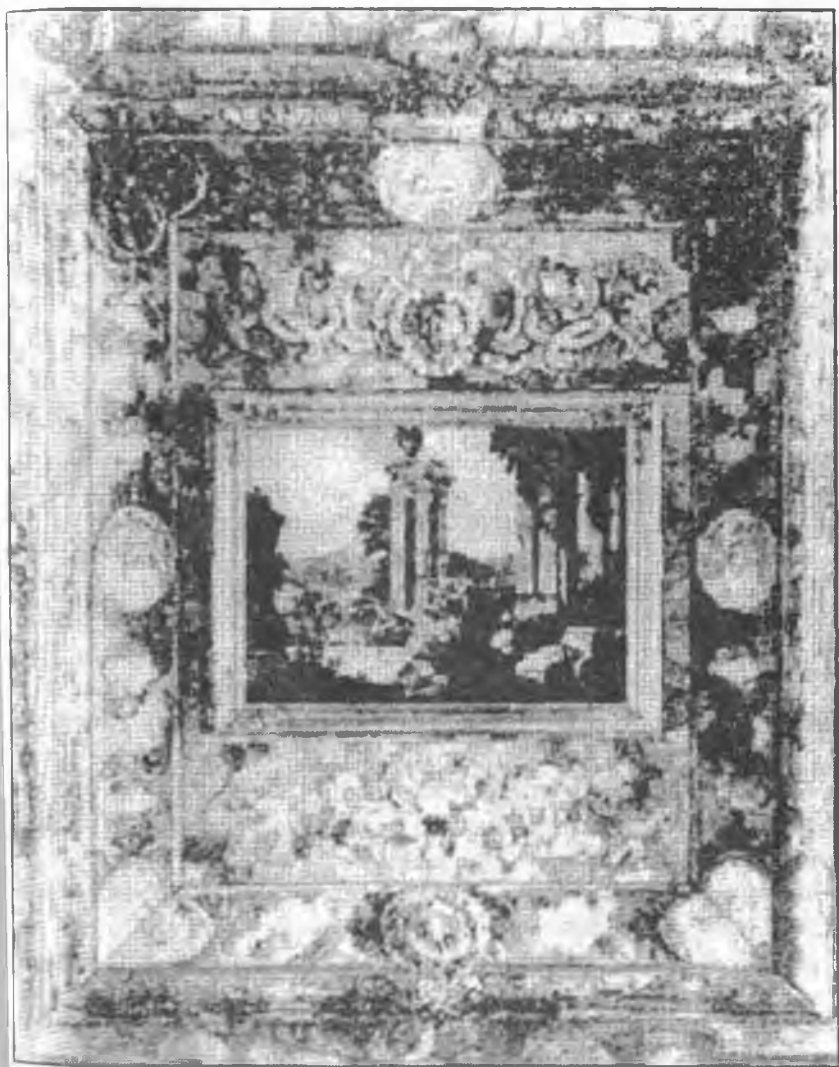
Amerykane zajęli kopalnię i otoczyli ją „nadzwyczajną opieką”. Strzeżona ona była jak prawdziwa forteca. Dzień i noc strażnicy z bronią automatyczną czuwali, aby nikt niepowołany nie przedostał się do podziemi kopalni...

Nie widzę w tym niczego nadzwyczajnego, jeśli zważy się fakt, że w kopalni przechowywano rzeczywiście dzieła sztuki o ogromnej, wręcz bająńskiej wartości. Obowiązkiem amerykańskich władz okupacyjnych było je zabezpieczyć. I uczyniono to, traktując wprowadzone środki ostrożności i bezpieczeństwa jako coś w tych okolicznościach normalnego.

Steina, a może tylko piszących po jego śmierci dziennikarzy, zastanowiło coś innego. Otóż, gdy w czerwcu 1945 roku do kopalni wkroczyli oficerowie brytyjscy ze służby ochrony zabytków (latem tegoż roku Amerykanów zastąpili w Grasleben Anglicy), stwierdzili oni, że w 6800 skrzyniach brakuje połowy przechowywanych skarbów oraz że nie ma też kilku dziesięciu całych skrzyń.

Czy brakujące w kopalni skarby Amerykanie zdążyli wywieźć do USA? Bardzo trudno udzielić obiektywnej i wiarygodnej odpowiedzi na to pytanie, ponieważ zarządzone przez Scotland Yard śledztwo w tej sprawie utknęło w martwym punkcie. Nie można było bowiem określić szczegółowych strat, gdyż nie udało się ustalić, jakie skarby dotarły z Berlina do Grasleben w transportach, które nadeszły 6 i 7 kwietnia 1945 roku. Spisy dzieł, jakie wtedy przesłano do Grasleben, zaginęły. Brytyjczycy sugerowali, że spisy te zostały przejęte przez amerykańskie służby specjalne, ale nie było na to dowodów. Równie dobrze mogły zostać ukryte przez Niemców, ulec zniszczeniu lub po prostu zaginąć w chaosie towarzyszącym ostatnim dniom wojny w Europie.

„Stern” sugerował, że te dwa dokumenty mogłyby odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących dzieł sztuki, które nadal uważane są za zaginione. Czy jednak również Burstynowej Komnaty?



23. W skrzyniach, do których złożono Bursztynową Komnatę, zapakowano również i ten pejzaż oprawiony w mozaikę bursztynową.

Fotografia archiwalna.

Aczkolwiek niczego w tej sprawie z góry wykluczyć nie można, to jednak wydaje się, że chyba nie, ponieważ żaden z ustalonych i zweryfikowanych śladów nie wiedzie do Berlina, skąd wyruszały transporty z dziełami sztuki do kopalni w Grasleben i drugiej w Merkers, którą również przez jakiś czas interesował się Georg Stein. I ciekawe, że ów amerykański ślad został wyciągnięty na światło dzienne tuż po tragicznej śmierci ogrodnika spod Hamburga. Czyżby po to, by osłonić faktyczną kryjówkę Bursztynowej Komnaty, wokół której zaczęły zaciskać się wówczas pętle coraz to nowych i wielce prawdopodobnych hipotez?...

W tym miejscu warto też zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt całej sprawy. Dzieła sztuki i eksponaty muzealne złożone w podziemnych wyrobiskach obu wspomnianych kopalń nie były na dobrą sprawę ukryte, lecz tylko tam przechowywane, by nie uległy zniszczeniu podczas działań wojennych. Bursztynową Komnatę natomiast z całą premedytacją ukryto!

Wracając zaś do Amerykanów, to nie można, oczywiście, wykluczyć, że do rąk niektórych żołnierzy US-Army mogły się „przykleić” jakieś drobne, aczkolwiek bardzo cenne przedmioty zabytkowe, jak na przykład złote monety z jakiejś starej kolekcji czy unikatowe znaczki pocztowe, nawet jakiś obraz. Nie można także wykluczyć, że działając za cichą zgodą władz amerykańskich lub tylko szefów amerykańskich służb specjalnych, przewieziono do USA pewne zbiory z niemieckich muzeów lub z odkrytych mniej lub bardziej tajnych magazynów. Wszak w połowie 1945 roku Sumner McCrosby, kierownik jednej ze specjalnych grup armii amerykańskiej zajmującej się zabezpieczeniem dzieł sztuki, sugerował, by dzieła te przejmować jako... reperatury wojenne. Pisał bowiem, że *..... tego typu odszkodowanie jest o wiele łatwiej uzyskać. Niemcy mają bardzo mało do zaoferowania Ameryce oprócz dzieł sztuki. Mogą one zapętnić luki amerykańskiego muzeal-*

nictwa, które dzięki temu może stać się największym w świecie". Sugestię McCrosby'ego uznano za prywatne zdanie oficera armii amerykańskiej i oficjalnie nie zajmowano się grabieżą dzieł sztuki w pokonanych Niemczech.

Ponadto trudno sobie wyobrazić, by do USA przewieziono kilkadziesiąt sporych rozmiarów skrzyń z Bursztynową Komnatą. Jeśli nawet Amerykanie zrazu nie wiedzieliby, co to jest za dzieło sztuki, to fachowcy mogli łatwo ustalić nie tylko jego wartość, ale także pochodzenie, a więc i właściciela. I jest bardzo wątpliwe, by z tego powodu zamierzali zadzierać z ówczesnym Związkiem Radzieckim.

W latach powojennych pojawiały się jednak sugestie, że rabunek Bursztynowej Komnaty z pokonanych i okupowanych Niemiec mógł być „prywatną inicjatywą” któregoś z wyższych rangą dowódców amerykańskich. I że komnata od lat ozdobi prywatną rezydencję któregoś z multimiliarderów w USA lub innym państwie obu kontynentów amerykańskich.

W każdym razie nikt po wojnie nie przyznał się, że gdzieś widział ów legendarny już dzisiaj ósmy cud świata, zrabowany przez Niemców z Pałacu Jekatierńskiego.

PLAN SCHICKEDANZA

Gdy koniec III Rzeszy był już bliski, niejaki Arno Schickedanz, jeden z najbliższych współpracowników reichsleitiera Alfreda Rosenberga, opracował plan wyjątkowo starannego ukrycia najwartościowszych dzieł sztuki zagrabionych z terenów okupowanych, przeważnie wschodnich, aby mogły one być „argumentem przetargowym” powojennego rządu Niemiec w rokowaniach pokojowych lub nawet czymś w rodzaju zastawu. Bowiem z marzeń Hitlera o utworzeniu po zwycięskiej wojnie w swym rodzinnym Linzu największego w Europie, a być może nawet w świecie, muzeum sztuki pozostały tylko... zrabowane dzieła sztuki. Wszak nic już nie wskazywało, że wojna zakończy się dla Niemców zwycięstwem. I że kiedykolwiek dojdzie do utworzenia tego gigantycznego muzeum w Linzu.

W nowożytnych dziejach świata Adolf Hitler był bezspornie największym grabieżcą dóbr kultury, o czym zbyt rzadko pisze się i mówi publicznie. Jest to zapewne pokutujący do dzisiaj mit stworzony przez propagandę nazistowską, która przedstawiała fuhrera jako osobę nadzwyczaj skromną dbającą przede wszystkim o dobro własnego narodu. Wszelkie ziemskie uciechy miały być obce Hitlerowi, który — zdaniem własnej propagandy — nie był łasy na dobra doczesne, a więc także na cenne dzieła sztuki. I dlatego też pisząc o hitlerowskich grabieżcach wymienia się najczęściej: Hermanna Goeringa, Joachima von Ribbentropa, Josepha Goebbelsa, Heinricha Himmlera, Hansa Franka i Alfreda Rosenberga, Ericha Kocha i kilku innych gauleiterów NSDAP, a pomija Hitlera. A to przecież on zastrzegł sobie prawo decydowania nie tylko o rekwirowanych obrazach, lecz także o rzeźbach, starych

książkach, zabytkowej broni, cennych meblach i dywanach oraz tym podobnych przedmiotach o ogromnej wartości materialnej i jeszcze większej wartości kulturalnej. To osobiście Hitler powołał tak zwany Einsatzstab, czyli sztab operacyjny do zadań specjalnych, którego szefem został Rosenberg. Zadaniem tegoż sztabu było „zabezpieczanie” dóbr kultury, przede wszystkim na okupowanych terenach ZSRR, chociaż ludzie Rosenberga działali również w Europie zachodniej. I to Hitler mianował na swego osobistego pełnomocnika do spraw organizacji muzeum w Linzu doktora Hansa Possego, znane-



24. Adolf Hitler i Heinrich Himmler — jedni z największych grabieżców dzieł sztuki w XX wieku.

Fotografia archiwalna.



25. Alfred Rosenberg, jeden z reichsleiterów NSDAP i szef specjalnego sztabu do spraw zabezpieczania dzieł sztuki rabowanych przez Niemców podczas drugiej wojny światowej.

Fotografia archiwalna.

go w sferach międzynarodowych dyrektora Galerii Drezdeńskiej oraz najlepszego znawcę skarbów starej sztuki włoskiej i niderlandzkiej.

Cele obu panów były identyczne, chociaż ludzie Rosenberga zajmowali się zwyczajną grabieżą, zaś Posse pracował często „w rękawiczkach”. Jeździł po całej Europie wybierając i kupując, nierzadko za bezcen, interesujące go obrazy i inne dzieła sztuki. Wymyślał też różne kruczki prawne, które — wsparte siłą władz okupacyjnych — pozwalały mu wejść w posiadanie najwartościowszych skarbów kultury.

Hans Posse nie doczekał końca wojny. Zmarł bowiem pod koniec 1942 roku i zo-

stał pochowany z wielkimi honorami. Z Bursztynową Komnatą nie miał on jednak nic do czynienia, chociaż nie można wykluczyć, że i ją planował eksponować w muzeum w Linzu. Natomiast ludzie Rosenberga działali do końca wojny. I gdy przysły marzenia o zwycięstwie, pomyśleli o ukryciu przynajmniej najcenniejszych dzieł sztuki zrabowanych w kilku minionych latach. W tym także Bursztynowej Komnaty.

Gdy zatem w pierwszych tygodniach 1945 roku Schickedanz zameldował swemu szefowi, że niektóre „magazyny” ukrytych dzieł sztuki zostały przez aliantów odnalezione,

Rosenberg napisał na tym meldunku odręczną notatkę datowaną 22 lutego 1945 roku: „*Plan Schickedanza był jednak słuszny i sprawdził się. Miejmy nadzieję, że nie znajdzie się żadna świnią, która później zdradzi go aliantom*”. I niżej dopisał: „*Bursztynowa Komnata jest dla nas najważniejszym obiektem późniejszych rokowań*”.

W dniu, w którym Rosenberg dopisał to zdanie, a zapewne było to właśnie 22 lutego lub dnia następnego, ponieważ trudno sobie wyobrazić, by ów wysokiej rangi dygnitarz hitlerowski wracał później do jakiejś notatki służbowej swego podwładnego, Bursztynowa Komnata musiała być już dobrze ukryta. I rzeczywiście, wiele wskazuje na to, iż skrzynie ze skarbem z Pałacu Jekatierńskiego ukryto właśnie między 12 a 20 lutego 1945 roku!



Gdy w środę, 30 sierpnia 1944 roku, pierwsze eskadry bombowców alianckich zbliżały się do Królewca, losy wielu cennych dzieł sztuki zrabowanych w ZSRR i znajdujących się nadal na okupowanych przez Niemców ziemiach tego państwa (w jego kształcie terytorialnym z 21 czerwca 1941 roku) oraz w Prusach Wschodnich były już przesądzone. W otoczeniu Rosenberga myślano o nich już od co najmniej kilku miesięcy, planując zrazu ukrycie rozproszonych dotychczas zbiorów i eksponatów w lochach zamku Colmberg koło Ansbachu. Jednocześnie dowództwo Grupy Armii Północ planowało zatrzymać do własnej dyspozycji liczne ikony i zabytkowe meble, zamierzając je w przyszłości eksponować w muzeum wojskowym we... Wrocławiu.

Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. To stare przysłowie idealnie pasuje do inicjatywy, z którą w lipcu 1944 roku wystąpiło kierownictwo Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Podwładni Himmlera rozumowali pragmatycznie.

Wojny i tak wygrać się nie da, zatem z myślą o przyszłości trzeba ratować to, co jeszcze da się uratować. Obergruppenfuehrer SS Hans Adolf Pruetzmann, który w swej karierze był wyższym dowódcą SS i policji w Królewcu, potem krótko w Rydze, wreszcie na Ukrainie, a pod koniec wojny został wyznaczony na dowódcę wspomnianej już tu sabotażowo-dywersyjnej organizacji Werwolf, zaproponował natychmiastową ewakuację wszystkich archiwów, najcenniejszych księgozbiorów i eksponatów muzealnych z Królewca do zachodniej części Niemiec. Na najwyższych szczeblach władz III Rzeszy propozycję tę zaakceptowano i do połowy października 1944 roku ludzie Rosenberga wywieźli sporą część łupów wojennych z Prus Wschodnich oraz z tak zwanej strefy nadbałtyckiej, czyli z niepodległych do 1940 roku państw: Litwy, Łotwy i Estonii, które zrazu wchłonął Związek Radziecki, a potem były one okupowane przez Niemcy hitlerowskie. Tylko na zasoby królewieckie nałożył weto gauleiter Erich Koch. Poleciał nawet rozładować niektóre przygotowane już do wywozu transporty, ponieważ — jak twierdził — „nie będzie tolerował defetyzmu”...

I nie tolerował, ale w przypadku Bursztynowej Komnaty dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że prawa administracji wschodniopruskiej do niej są niejasne. Wszak to unikatowe dzieło sztuki przekazano miastu Królewiec w zarząd komisaryczny, a pretensje do niego rościły sobie również: wojsko, Einsatzstab Rosenberga oraz pruska Administracja Pałaców i Ogrodów. O komnacie nie zapomniał też Himmler i jego SS.

W końcu grudnia 1944 roku kwestia ponownego zaatakowania Prus Wschodnich przez Rosjan była tylko kwestią czasu, najbliższych dni lub w najlepszym razie tygodni. Ponownego, ponieważ w połowie października tegoż roku oddziały Armii Czerwonej przekroczyły już granicę Prus Wschodnich, tocząc zacięte walki we wschodnich powiatach tej prowincji Rzeszy, głównie w okolicach Gumbinnen (obecnie

Gusiew) oraz Goldapi, które to miasto dwukrotnie przechodziło wtedy z rąk do rąk. W końcu Niemcom za cenę dużych strat udało się usunąć wyczerpanych letnią ofensywą Rosjan z terytorium III Rzeszy, czego nie omieszkała wykorzystać propaganda hitlerowska, przedstawiając walki w okolicach Gumbinnen i Goldapi jako wielkie zwycięstwo.

Z tym wielkim zwycięstwem to była, oczywiście, przesada. Ale sami Rosjanie dali wówczas do ręki propagandyście hitlerowskiemu oręż, który Niemcy wykorzystywali do końca wojny, a nazwa małej wioski Nemmersdorf koło Gumbinnen znalazła się późną jesienią 1944 roku na czołówkach wielu



26. Odcinek autostrady królewieckiej koło Elbląga. Na początku 1945 roku tą trasą jechał z ówczesnego Koenigsberga tajemniczy konwój ciężarówek.

Fot. L. Adamczewski.

gazet, nie tylko zresztą niemieckich, ale i państw neutralnych. Po odbiciu tego rejonu przez Niemców znaleziono tam liczne ciała kobiet, starców i dzieci zamordowanych z zimną krwią. Wiele kobiet zostało przed śmiercią zgwałconych...

Jesienne działania Armii Czerwonej na pograniczu Prus Wschodnich to zaledwie preludium tego, co rychło nastąpi — rozumowano w Berlinie. Chaos na drogach, bezpardonowe atakowanie kolumn cywilnych uciekinierów, plądrowanie domostw, mordy, gwałty i grabieże. Jeśli z Prus Wschodnich należy jeszcze ewakuować jakieś cenne przedmioty, to trzeba to zrobić jak najprędzej, a sprzeciwiającego się temu Kocha poleceniem jego przełożonych przyprowadzić do porządku.

Gdy zatem kolejny i, na co wszystko wskazywało, decydujący atak Armii Czerwonej był tylko kwestią czasu, królewiecki opiekun Bursztynowej Komnaty — doktor Alfred Rohde wyruszył w podróż do Saksonii i Turyngii, by na miejscu zorientować się, gdzie można byłoby w miarę bezpiecznie umieścić skarby sztuki z kierowanego przez siebie muzeum. Wprawdzie Rohde nie mógł na razie niczego ruszać bez zgody Kocha, ale wiedział, że wcześniej czy później trzeba będzie ewakuować zbiory królewieckie, w tym również, a może przede wszystkim Bursztynową Komnatę.

Po wojnie nie udało się ustalić dokładnej trasy podróży Rohdego po Saksonii i Turyngii. Wiadomo tylko, że towarzyszył mu jego berliński przełożony — dyrektor Gall z Administracji Pałaców i Ogrodów i że Rohde rychło wrócił do Królewca. Nie wiadomo natomiast, czy Rohde wybrał jakąś konkretną kryjówkę lub kryjówki...

Jednak Koch nadal sprzeciwiał się wywiezieniu Bursztynowej Komnaty z Królewca, oficjalnie swe stanowisko motywując tym, iż nie chce budzić niepokoju mieszkańców Prus Wschodnich, chociaż najwyżej kilkadziesiąt osób wiedziało, że komnata jest jeszcze w Królewcu. W końcu to, czego nie

zdołali osiągnąć ani Rosenberg, ani dyrekcja Administracji Pałaców i Ogrodów, rozstrzygnął rozkaz Adolfa Hitlera. Otóż w ostatnim dniu 1944 roku szef Kancelarii NSDAP — reichsleiter Martin Bormann wysłał do wszystkich gauleiterów partyjnych utrzymane w kategoriycznym tonie pismo okólne, w którym przypominał rozkaz fuehrera zastrzegający do jego wyłącznej dyspozycji wszystkie cenniejsze dzieła sztuki. Jednocześnie Bormann w oddzielnym piśmie do Himmlera również przypominał ów rozkaz Hitlera, ponieważ wypatrył, że w atmosferze paniki i bałaganu, towarzyszącej pospiesznej ewakuacji przed Armią Czerwoną, niektórzy dowódcy SS zagarnęli sporo cennych kolekcji na własny użytek.

Kopia pisma okólnego Bormanna zachowała się w archiwach. Nie znaleziono natomiast dokumentu świadczącego o osobistej interwencji Hitlera czy Bormanna w sprawie Bursztynowej Komnaty. Dla Ericha Kocha polecenie szefa Kancelarii NSDAP było jednak wyraźne. Nie mógł on nie wykonać rozkazu fuehrera. Tak więc na początku 1945 roku gauleiter Prus Wschodnich utracił wszelką władzę nad Bursztynową Komnatą. I nie mógł on znać jej dalszych losów. Wiedział tylko, że została wywieziona z Królewca.

W tej sprawie Karl Heinz Janssen i Georg Stein ustalili dwie daty, których nie wolno pominąć przy rozpatrywaniu losów Bursztynowej Komnaty w ostatnich miesiącach wojny. Na łamach tygodnika „Die Zeit” we wspomnianym już tu artykule z 1984 roku stwierdzili, że 3 stycznia 1945 roku berliński historyk sztuki — profesor Gerhardt Strauss odwiedził swego przyjaciela Rohdego w jego tymczasowym biurze w na pół wypalonym zamku królewieckim.

— *Bursztynowa Komnata jest już zapakowana* — zapamiętał Strauss słowa Rohdego. I utrwalił mu się w pamięci widok skrzyń leżących na zamkowym dziedzińcu.

Jedenaście dni później, 14 stycznia, gdy radzieckie działa dalekiego zasięgu ostrzeliwały już pozycje niemieckie na

przedpolach Królewca. młody marynarz Wolfgang Rohde po raz ostatni widział ojca. Po latach przypominał sobie, że w rozmowie o sprawach rodzinnych mimochodem poruszono też kwestię Bursztynowej Komnaty, z której jego ojciec był tak dumny. W pewnej chwili doktor Alfred Rohde, nawiązując do skarbu z Pałacu Jekatierńskiego, powiedział synowi:

— *Komnata została wywieziona w bezpieczne miejsce.*

Musiało to zatem nastąpić między 3 a 14 stycznia 1945 roku, prawdopodobnie przed 12 stycznia, gdy na froncie wschodnim ruszyła gigantyczna ofensywa Armii Czerwonej i



27. Zabudowania stacji Gościkowo przy nieczynnej od końca lat osiemdziesiątych linii kolejowej. Tu zimą 1945 roku przeladowano z samochodów na wagony skrzynie z Królewca.

Fot. L. Adamczewski.

operacyjnie podporządkowanej jej dowództwu I Armii Wojska Polskiego.

A więc w pierwszej połowie stycznia 1945 roku eskortowany przez esesmanów konwój ciężarówek z różnymi dziełami sztuki, w tym z Bursztynową Komnatą oraz zbiorami z królewieckich muzeów i placówek naukowych, opuścił stolicę Prus Wschodnich i pojechał autostradą na południowy zachód, przez Elbląg i Malbork docierając do mostów tczewskich. Po minięciu Wisły, konwój skręcił na południe i przez Bydgoszcz dojechał do Poznania. Tutaj do transportu dołączono przechowywaną w jednym z poznańskich fortów niezwykle cenną kolekcję starych monet, którą w maju 1944 roku przywiózł z Królewca dyrektor urządzonego w okupowanym Poznaniu Muzeum imienia Cesarza Fryderyka — doktor Siegfried Ruehle. Następnie ciężarówki ruszyły na zachód, docierając — jak podał tygodnik „Die Zeit” — do miejscowości Paradies, zaznaczając, iż leży ona na wschód od Frankfurtu nad Odrą.

W drodze z Poznania do Paradies kierowca doktora Ruehlego, niejaki Kajrys, z pochodzenia ponoć Polak, podsłuchiwał rozmowę swego szefa z pewnym majorem (Wehrmacht?, SS?) z Rygi, doktorem Rotem. Obaj doktorzy rozmawiali na temat, czy możliwe byłoby ukrycie skrzyń z Bursztynową Komnatą w kopalni soli. Z rozmowy wynikało, że ów major miał wyrażać obawy, czy przypadkiem umieszczenie skrzyń z tak cenną zawartością w chłodnych i wilgotnych wyrobiskach podziemnych kopalni soli nie zniszczy dzieła. W odpowiedzi doktor Ruehle stwierdził, że w kopalni jest wystarczająco ciepło i sucho. Po latach treść tej rozmowy potwierdził również inny kierowca, Niemiec Ewald Menken z Dortmundu.

Wróćmy jednak do Paradies. To dzisiejsze Gościkowo, leżące przy fragmentami obecnie nieczynnej linii kolejowej Międzyrzecz — Łągów — Toporów i, co ciekawsze, dosłownie

ZAGINIONA KOMNATA

tuż obok pasa potężnych fortyfikacji Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego.

Można już tylko zgadywać, dlaczego wybrano tę małą stację przy bocznej linii kolejowej. Otóż położona była ona nieco na uboczu wsi, miała dość dużą rampę przeładunkową, która w latach międzywojennych służyła do wyładunku cementu, stali i innych materiałów niezbędnych do budowy fortyfikacji międzyrzeckich. I z tego też powodu miejscowa ludność była wielokrotnie sprawdzana przez kontrwywiad wojskowy i służby specjalne SS pod kątem zachowania tajemnicy powstających w okolicy umocnień. Jak zatem widać, osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo konwoju nie zaniechały żadnych środków ostrożności. Tajemnica transportu z Królewca miała być zachowana.

W Paradies skrzynie z ciężarówek przeładowano na towarowe wagony kolejowe, które w składzie specjalnego pociągu przez Łagów, Toporów i Frankfurt nad Odrą dotarły do Poczdamu, gdzie dołączono kolejne wagony, między innymi z sarkofagami Hindenburgów i sztandarami z Tannenbergu, który to transport trafił z Prus Wschodnich drogą morską do Świnoujścia i następnie koleją do Poczdamu. Przed laty działająca w ówczesnej NRD komisja specjalna ustaliła, że na początku lutego 1945 roku w Poczdamie zestawiono konwój kolejowy. Składał się on z wagonów towarowych, w których zgromadzono: przybyłe ze Świnoujścia sarkofagi i sztandary, a także sarkofagi królów pruskich Fryderyka Wilhelma I (a więc tego, który Bursztynową Komnatę podarował carowi Rosji) i Fryderyka Wielkiego wraz z obrazami i foliarami z palacu Sans-Souci, koroną Hohenzollernów, jabłkiem cesarskim i wspaniałymi mieczami koronacyjnymi, część prywatnej kolekcji gauleitera Kocha, na którą składały się srebra i obrazy z muzeów kijowskich oraz przynajmniej część Bursztynowej Komnaty.

Transport kolejowy, ochroniany przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa SS, wyruszył z Poczdamu w kierunku Weimaru. Na rampie w Buchenwaldzie, dokąd transport dotarł 9 lutego, wagony kolejowe rozdzielono. Cztery sarkofagi przewieziono przez Heiligenstadt do Eichsfeldu, aby ukryć je w kopalni soli Bernterode koło Miluzy. I tam też zostały odnalezione przez żołnierzy amerykańskich podobno dokładnie w dniu kapitulacji III Rzeszy. W Heiligenstadt od tego transportu odczepiono jeden duży wagon, który lokomotywa pociągnęła dalej na zachód. O tym wagonie będzie jeszcze mowa.

W Buchenwaldzie pozostały natomiast wagony ze zbiorami Ericha Kocha. Czy pozostała tam również Bursztynowa Komnata, tego nie udało się ustalić w stopniu wykluczającym jakąkolwiek pomyłkę. Wiele jednak wskazuje na to, iż tak. W każdym razie skrzynie z wagonów pozostałych w Buchenwaldzie przeładowano na ciężarówki, które już 9, a najpóźniej 10 lutego wyruszyły gdzieś w nieznaną. Do 12 lutego ciężarówki te krążyły po drogach całej Turynгии. Trasa wiodła przez Bad Sulza, Eisenberg, Zeitz do Poelzigu, gdzie właśnie 12 lutego ślad się urywa. Dwa dni wcześniej, a więc w sobotę 10 lutego, jedna z ciężarówek miała wypadek w pobliżu miejscowości Bad Sulza. Rozbiciu uległa jedna ze skrzyń. Bursztyn rozsypał się po szosie...

Trasę z dzisiejszego Kaliningradu do Buchenwaldu można obecnie pokonać szybkim samochodem przez 25, najwyżej 30 godzin, wliczając w to krótkie odpoczynki i dwie kontrole graniczne. Transport dzieł sztuki i zabytków historycznych, w którym miała znajdować się też Bursztynowa Komnata, a przynajmniej jej część, wlokł się na początku 1945 roku mniej więcej miesiąc. Nie wiemy jednak, jak długo trwał postój w Poznaniu i przeładunek w Paradies — Gościkowie, na pewno też w Poczdamie czekano kilka, a być może nawet więcej dni na tę część dopiero w nocy z 23 na 24 stycznia ewakuowanych

z Królewca skarbów historycznych, które z Piławy do Świno-ujścia płynęły statkiem, a następnie jechały koleją. Gdy doda się do tego zły stan dróg, pierwszeństwo na liniach kolejowych dla transportów wojskowych, czy choćby niebezpieczeństwo nalotów bombowych nieprzyjaciela, to miesiąc w warunkach wojennego chaosu nie jest wcale zbyt długim okresem.



Kilka zdań poświęćmy jeszcze doktorowi Alfredowi Rohde, który w różnych, zwłaszcza polskich i radzieckich, opracowaniach na temat Bursztynowej Komnaty przedstawiany był najczęściej jako starszy wiekiem, zafascynowany tym arcydziełem sztuki uczonej. Człowiek nieco roztargniony, żyjący tylko dla Bursztynowej Komnaty.

Tymczasem nie był to wcale staruszek, lecz mężczyzna w sile wieku. Rohde urodził się bowiem w 1901 roku, a więc pod koniec wojny miał dopiero 44 lata. Wiemy już, że w zajęętym przez Rosjan Królewcu został ze względu na sędziwego dziadka, którego nie chciał porzucić, a nie jako strażnik Bursztynowej Komnaty. I możemy się domyślać, że jak prawie każdy Niemiec na dość eksponowanym w III Rzeszy stanowisku był Rohde po części przynajmniej oportunistą. Wizja człowieka, który nie chciał rozstać się ze swym ukochanym dziełem sztuki, jest zatem z gruntu fałszywa.

EKSPLOZJA W KOPALNI VOLPRIEHAUSEN

Pozostawmy na razie krążące gdzieś po drogach Turynгии ciężarówki i wróćmy do wagonu kolejowego, który w Heiligenstadt odczepiono od składu pociągu jadącego do Eichsfeldu. Wiemy już, że lokomotywa pociągnęła go jeszcze dalej na zachód.

Czy był to ten sam wagon, który w lutym 1945 roku dotarł na kopalnianą rampę kolejową w Volpriehausen koło Uslar im Solling niedaleko Getynği? Chyba wszystko wskazuje na to, iż tak. „*Miejskowy gruppenleiter dobrze pamięta jeszcze tajemnicę, jaką otoczona była przesyłka — czytamy w cytowanym już tu artykule Karla Heinza Janssen, zamieszczonym jesienią 1984 roku w hamburskim tygodniku „Die Zeit”. — O przybyciu wagonu został on powiadomiony wcześniej przez władze kolejowe, ponieważ list przewozowy adresowany był na jego nazwisko. Zapowiedziano mu także, że do rozładunku ma wziąć wyłącznie pewnych (w rozumieniu — zaufanych) ludzi. W wagonie znajdowało się 12 skrzyń o rozmiarach mniej więcej 1,50 x 0,80 metra, zaplombowanych i oplecionych metalową taśmą*”.

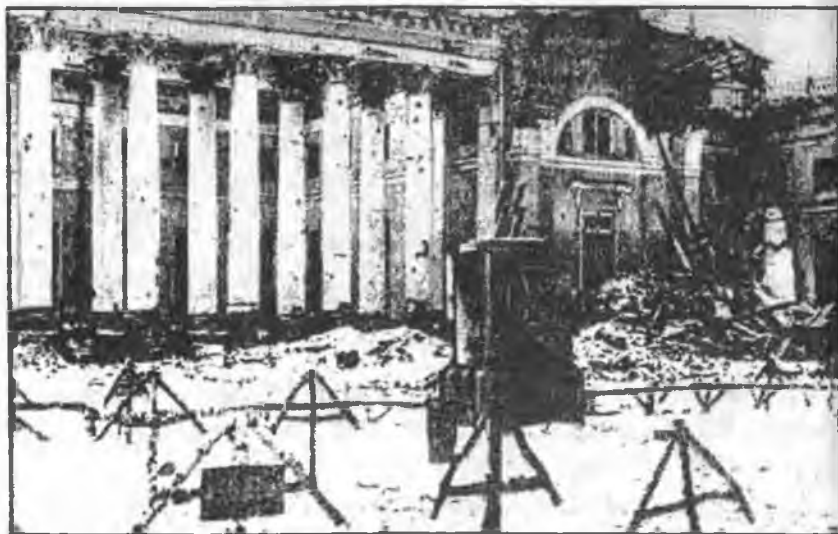
Zapamiętajmy to, co dawny wiejski działacz hitlerowski powiedział dziennikarzowi „Die Zeit”. Samotny wagon i list przewozowy. A gdzie eskorta?

Karl Heinz Janssen i Georg Stein ustalili ponad wszelką wątpliwość, że w skrzyniach tych były schowane jakieś przedmioty z Królewca. Zaś w dokumentach likwidacyjnych Uniwersytetu im. Georga-Augusta w Getyndze pozostała tylko lapidarna wzmianka: „*Zmagazynowano w Volpriehausen — je-*

den wagon z Królewca (Prusy Wschodnie) — kolekcja burztyńów”.

W podziemnych wyrobiskach dawnej kopalni soli Volpriehausen pod koniec wojny zmagazynowano księgozbiory i inne cenne materiały Uniwersytetu w Królewcu, słynnego w Europie Instytutu Albertina „na wypadek, gdyby Prusy Wschodnie miały się dostać w ręce nieprzyjaciela”. Przed wojną obie te uczelnie ściśle ze sobą współpracowały i pewnie dlatego wiele zbiorów z Królewca kierowano właśnie w okolice Getyngi. Kopalnia Volpriehausen uchodziła za absolutnie bezpieczną, chociaż na niektórych jej poziomach funkcjonowały zakłady Muna, produkujące... amunicję.

Po wojnie nie udało się już stwierdzić, czy w skrzyniach, które dotarły do Volpriehausen w lutym 1945 roku samotnym



28. Czy w kopalni Volpriehausen znajdowały się również dzieła sztuki z zespołu dawnych pałaców cesarskich w Puszkynie? A oto co zostało z Pałacu Aleksandra w Puszkynie (Carskim Siole) po wycofaniu się Niemców.

Fotografia archiwalna.

wagonem kolejowym i które złożono w podziemiach kopalni, znajdowała się Bursztynowa Komnata, a raczej — biorąc pod uwagę liczbę skrzyń — jej fragmenty. „W nocy z 28 na 29 września 1945 roku mieszkańcy Volpriehausen zostali wyrwani ze snu przez potężną eksplozję. 20 — 25 tysięcy ton znajdującej się jeszcze w kopalni amunicji wyleciało w powietrze. Przyczyny katastrofy nie ustalono. Czy spowodowało ją uderzenie pioruna, czy też buszujący po kopalni szabrownicy nieostrożnie obchodzili się z ogniem? A może byli esesmani spowodowali wybuch za pomocą zapalnika czasowego?” — czytamy w „Die Zeit”.

Co było dalej? Otóż w marcu 1946 roku do wyrobisk podziemnych zniszczonej kopalni zjechali specjaliści górniczy, którzy mogli tylko stwierdzić, że większa część zgromadzonego na poziomie 660 metrów księgozbioru Uniwersytetu w Getyndze, liczącego co najmniej 360 tysięcy tomów, była w oplakany stanie. „W ciągu kilku następných tygodni — czytamy dalej w „Die Zeit” — udało się uratować zaledwie niewielką ich część. Profesor Francke z Getyngi, który 21 października 1946 roku na krótko przed tym, gdy prace ratownicze musiały zostać przerwane wskutek zalewania kopalni przez wodę, oglądał wewnątrz kopalni w towarzystwie doświadczonych górników, mógł się na własne oczy przekonać, że za obwałem, aż do końca chodnika złożone tam książki i inne przedmioty były spalone bez reszty na szary popiół. Warstwa popiołu sięgała metra grubości. W tym właśnie rejonie były złożone skrzynie z Królewca”. Jednak inżynier Roever z firmy Kali und Salz powiedział dziennikarzowi „Die Zeit”, że z powodu obwału ostatnie 150 metrów podziemnego chodnika było nie do przebycia. Na dobrą sprawę do dziś nie wiadomo, że co pozostało za obwałem i w jakim stanie...

W tym miejscu wróćmy raz jeszcze do tajemniczego zapisu z radiogramu „Ringela” o obiekcie „B. III.” Wspomniałem już, że ów zapis w oryginale, znanym zresztą tylko z kopii, której

Rosjanie nigdy nikomu nie udostępnili do wglądu, mógł brzmieć „B. Sch”. Georg Stein w pewnym okresie swych zainteresowań skarbem z Pałacu Jekatierinskiego zapis ów tłumaczył jako skrót nazwy „B Schacht Wittekind” (Kopalnia Wittekind B). Było to górnicze określenie dawnej kopalni Volpriehausen. Ale na temat owego tajemniczego zapisu snuć można najbardziej fantastyczne domysły, tłumacząc go na różne sposoby. Gdy w Polsce szukano Bursztynowej Komnaty, zapis ów interpretowano na przykład jako inicjały... Berty von Schwerin (B. Sch.), żony właściciela pałacu w Wildenhofie, czyli w dzisiejszym Dzikowie koło Górowa Iławieckiego w Olsztyńskim, którym to pałacem jesienią 1944 roku interesował się doktor Alfred Rohde.

Spośród niemieckich kopalń, w których mogła zostać ukryta Bursztynowa Komnata, podejrzenie na Volpriehausen padło w roku 1977. Właśnie wówczas przypadkowo przedostała się do prasy zachodniemieckiej informacja, że dwiętnaście lat wcześniej Uniwersytetowi w Getyndze oficjalnie powierzono resztki słynnej ongiś kolekcji bursztynów z królewieckiego Instytutu Albertina. Sprawę tę utrzymywano jednak w tajemnicy, obawiając się roszczeń do własności tej kolekcji ze strony Uniwersytetu Kaliningradzkiego. Wprawdzie w tym przypadku sprawa własności nie byłaby tak jasna, jak z Bursztynową Komnatą, która zgodnie z prawem międzynarodowym należy do Rosjan, to jednak nie chciano wywoływać wilka z lasu... Dopiero któryś z dziennikarzy zainteresował się resztkami słynnej kolekcji bursztynów. A wielu bursztyn kojarzył się i kojarzy nadal przede wszystkim z Bursztynową Komnatą. Jeśli zatem — rozumowano — do Volpriehausen trafiła kolekcja bursztynów i inne eksponaty muzealne z Królewca, to równie dobrze mogła tam trafić i Bursztynowa Komnata.

Nie ma na to jednak bezpośredniego dowodu, zaś wznowienie akcji poszukiwawczej w częściowo zalanej i zamulonej

kopalni w Volpriehausen kosztowałyby wiele milionów marek. Swego czasu rząd RFN odmówił wyłożenia tej kwoty na przeszukanie podziemnych wyrobisk zniszczonej kopalni, motywując swą decyzję tym, iż nie ma wystarczającej pewności, że skarb z Pałacu Jekatierinskiego trafił aż tu...

Intrygują mnie nadal dwie sprawy. Jeśli wierzyć lokalnemu gruppenleiterowi, na co zwróciłem już uwagę, to interesujący nas tu wagon dotarł do Volpriehausen bez eskorty. W każdym razie nic o niej nie wspomniał, dodając natomiast, że polecono mu wyszukać zaufanych ludzi do rozładunku wagonu. To zaś może wskazywać na to, że znajdowały się w nim wprawdzie cenne przedmioty, ale nie na tyle cenne, by władze hitlerowskie angażowały specjalną eskortę do ochrony wagonu. A ponadto różne eksponaty muzealne i uczelniane księgozbiory chowano w podziemnych wyrobiskach kopalni, by uchronić je przed zniszczeniem podczas działań wojennych. Trudno w tym przypadku mówić o ukryciu, ponieważ po podziemiach kopalni wiosną i latem 1945 roku buszowali nie tylko żołnierze brytyjscy, ale także uwolnieni od swych uciążliwych obowiązków i zwlekających z powrotem do domów robotnicy przymusowi z wielu państw oraz zwyczajni szabrownicy, a starzy górnicy zapamiętali również, że dzieci w wiosce bawiły się kawałkami bursztynu, które oznaczone były numerami, a więc niewątpliwie należały do jakiejś kolekcji. Zapewne do kolekcji z królewieckiego Instytutu Alberta. Wtedy, w pierwszych miesiącach po zakończeniu wojny, nikt tym się specjalnie nie przejmował, a swoście pojmowana przezorność i pomysłowość w czasach biedy, chłodu i głodu opłacała się. Wszak w podziemiach kopalni znajdowały się też magazyny materiałowe armii niemieckiej. Leżały tam poszukiwane na czarnym rynku części zamienne do różnych maszyn, teleskopy i radioteleskopy, tokarki i Bóg wie co jeszcze. No i amunicja, której eksplozja zniszczyła kopalnię.

Swego czasu Stein wysunął hipotezę, że gdy latem 1945 roku rozpoczęto na polecenie brytyjskich władz okupacyjnych

wydobywanie zgromadzonych w kopalni Volpriehausen skrzyń. zainteresowani ukryciem Bursztynowej Komnaty musieli mieszkać blisko... Stein był wtedy przekonany, że eksplozja w nocy z 28 na 29 września 1945 roku była sabotażem, którego sprawcy musieli być bardzo zainteresowani tym, by skrzynie ze skarbem z Pałacu Jekatierńskiego pozostały w głębi kopalni, być może za sztucznie wywołanym zawałem. Czy jednak uchroniło to skrzynie z komnatą przed zniszczeniem? Jeśli nawet nie dosięgnął je pożar, który buszował po podziemiach kopalni bezpośrednio po eksplozji, to mogły zostać zalane wodą...

Do dzisiaj nie ma odpowiedzi na pytanie, czy w skrzyniach zgromadzonych w Volpriehausen była Bursztynowa Komnata. Sam zaś Stein przyznał, iż wielokrotnie kierowano go na fałszywy trop. Czy była nim też zniszczona kopalnia koło Getyngii? I w tym miejscu zacytujmy raz jeszcze fragment artykułu Janssena z tygodnika „Die Zeit”:

„Za tym, że dzieła sztuki ze Związku Radzieckiego znajdowały się w kopalni Wittekind, przemawia wypowiedź berlińczyka, Friedricha Axta, który pod koniec wojny, jako więzień młodzieżowego obozu koncentracyjnego Mohringen, pracował w zakładach Muna w Volpriehausen. F. Axt pamięta „setki obrazów”, które zmagazynowane były w chodnikach kopalni, a najlepiej owalną czarę z bursztynu, która z obu stron miała ozdoby w kształcie orłów. Były to dwa różne orły, przypuszczalnie orzeł pruski i orzeł rosyjski. Strażnicy z SS używali tej czary jako popielniczki i często miałem ją w ręku, gdy tam sprzątałem — opowiada Axt. Jak twierdzą eksperci radzieccy, tego rodzaju czary znajdowały się tylko w jednej okolicy w Rosji, a mianowicie w dawnych carskich płacach koło Leningradu.”

W jednym z pałaców tego zespołu przez prawie dwa stulecia znajdowała się Bursztynowa Komnata, a wspomniana czara

należała zapewne do serwisu carowej Katarzyny II i pochodziła ze skrzyń zmagazynowanych w podziemiach kopalni.

SEKRETY DOLINY JONASTAL

Tę część transportu z Królewca, który przez Poznań i Poczdam dotarł do Buchenwaldu 9 lutego 1945 roku i został na tamtejszej rampie kolejowej przeładowany z wagonów towarowych na ciężarówkę, pozostawiliśmy gdzieś na drogach Turyngii. Tam właśnie, w owe dni lutowe, zmieniła się eskorta. „*Odtąd — jak ustalili Janssen i Stein w cytowanym tu już kilkakrotnie artykule zamieszczonym jesienią 1984 roku w tygodniku „Die Zeit” — dowodził nią hauptsturmfuehrer SS Mertz, podobno protegowany Bormanna. Według najnowszych informacji, pochodzących z NRD, z tego oddziału eskortującego Bursztynową Komnatę żyje obecnie jeszcze pięciu ludzi. Jeden jest gdzieś za granicą, w Szwajcarii albo w Hiszpanii. Czterej mieszkają podobno w Republice Federalnej*”.

Słowa te napisano — przypomnijmy — w 1984 roku. I Janssen już nie wracał na łamach „Die Zeit” do wątku ciężarówek krążących po drogach Turyngii, a więc na ziemiach, które po utworzeniu NRD jesienią 1949 roku znalazły się na jej terytorium. Natomiast ślad turyngijski był badany nie tylko przez specjalną komisję swego czasu działającą w byłej NRD, ale także — mimo wielu ograniczeń natury cenzorskiej, chociaż oficjalnie w NRD cenzura na wzór tej znanej z czasów PRL nigdy nie istniała — przez dziennikarzy wschodniemieckich i tamtejszych poszukiwaczy skarbów. Ich ustalenia warto są przypomnienia.

Zatrzymajmy się jednak na chwilę przy informacji, że gdzieś w Turyngii zmieniła się eskorta transportu. Z radiogramów „Ringela” pamiętamy, że jeden z nich, a przynajmniej jedna z

jego wersji brzmiała: „Rozkaz wykonany. Bursztynowa Komnata przejęta przez wartowników i złożona w B. III...” I pamiętamy także, iż słowa te zinterpretowałem w ten sposób, że dotychczasowa eskorta przekazała skrzynie z komnatą innej. Jaka zaś w tym wszystkim była rola „Ringela”? Prawdziwe nazwisko tego wysokiego rangą oficera SS ujawnił wschodnioniemiecki profesor Paul Encke, autor dwukrotnie wydanej w ostatnich latach istnienia NRD książki „Raport o Bursztynowej Komnacie”. W pierwszym wydaniu „Ringel” występował jeszcze pod tym pseudonimem, w drugim pojawiło się już jego prawdziwe nazwisko. Był nim Gustaw Wyst, bliski znajomy, a nawet przyjaciel gauleitera Ericha Kocha. O działalności Wysta wiadomo stosunkowo niewiele, bo jak każdy z funkcjonariuszy służb specjalnych SS nie starał się o rozgłos.

Ale ze wspomnień jego syna dowiedzieliśmy się, że Gustaw Wyst odwiedził go w Elsterbergu w lutym 1945 roku. Biorąc pod uwagę także inne przesłanki i dowody pośrednie, to Bursztynowa Komnata musiała już być wtedy ukryta. Albo w Turyni, albo w sąsiadującej z nią Saksonii. Wszak odręczny dopisek Alfreda Rosenberga na raporcie Arno Schickedanza, datowany 22 lutego 1945 roku, wskazuje pośrednio, iż skarb z Pałacu Jekatierńskiego był już wtedy dobrze zabezpieczony.

Nie da się już chyba ustalić, czy Gustaw Wyst towarzyszył Bursztynowej Komnacie od Królewca do miejsca jej ukrycia, czy też włączył się tylko w ostatnią, decydującą fazę. Słowa z jego radiogramu wskazywałyby na tę drugą ewentualność, chociaż logicznie rzecz biorąc prawdopodobna jest ta pierwsza. Wyst jako podpułkownik SS mógł bowiem być kimś w rodzaju opiekuna skrzyń z bursztynowym skarbem i przebyć z nim całą drogę: od Królewca przez Elbląg, Tczew, Poznań, Gościkowo, Frankfurt nad Odrą, Poczdam i Buchenwald aż do nieznanego miejsca gdzieś w Turyni lub Saksonii. Na tę

ewentualność wskazują ustalenia historyków wschodnioniemieckich z czasów dawnej NRD. Otóż w tego typu tajnych transportach uczestniczyło sporo najbardziej zaufanych ludzi. Ale eskorty zmieniały się bardzo często, prawdopodobnie dlatego, by konwojenci nie mieli czasu i możliwości spenetrowania ładunku. I by po latach nie mogli odtworzyć ostatniej drogi tego czy innego transportu z ceną zawartością. W samej zaś akcji ukrywania tych czy innych przedmiotów uczestniczyli najbardziej zaufani z zaufanych, a często także więźniowie z najbliższego obozu koncentracyjnego. Tych ostatnich na ogół likwidowano, a los taki, by całkowicie zatrzeć ślady, czekał też nierzadko niektórych członków niemieckiej eskorty.

Ale musiał być ktoś, kto czuwał nad całym transportem, nadzorował ukrycie ładunku i likwidację zbytecznych świadków. Musiał być ktoś, kto sporządził odpowiedni meldunek wraz z planami i szkicami, które pozwoliłyby po latach dostać się do ukrytych skarbów w najszerszym tego słowa znaczeniu. Czy w przypadku Bursztynowej Komnaty był nim obersturmbannfuehrer SS Gustaw Wyst?

Nie bez kozery przypomniałem jego stopień oficerski. Wyst był bowiem podpułkownikiem, zaś Mertz, który dowodził eskortą transportu na drogach Turynгии, hauptsturmfuehrerem, a więc zaledwie kapitanem SS. Podlegali mu konwojenci i kierowcy ciężarówek, natomiast Wyst najprawdopodobniej czuwał nad całością. To logiczna hipoteza.



Jesienią 1991 roku moskiewski dziennik „Raboczaja Tribuna” napisał, że Bursztynowa Komnata jest nadal ukryta w częściowo wysadzonym w powietrze bunkrze podziemnym w dolinie Jonastal koło Ohrdrufu w Turynгии, a więc na terytorium byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Informacja ta stała się światową sensacją i przez kilka tygodni nie



29. Rok 1991. Turyści niemieccy próbują dostać się do podziemi niedokończonyj kwatery Hitlera w dolinie Jonastal w Turynii.

Fot. J. Mueller-Schneck („Stern“).

schodziła z łamów najpoważniejszych pism nie tylko w Europie. Sensacja była tym większa, że praktycznie od zakończenia wojny w dolinie Jonastal znajdował się duży poligon stacjonującej w NRD Zachodniej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej.

Ale informacja moskiewskiego dziennika, kilkanaście dni później potwierdzona przez prezydenta Rosji — Borysa Jelcyna podczas jego oficjalnej wizyty w RFN, nie zaskoczyła tych, którzy losami Bursztynowej Komnaty interesowali się od lat. Nie był to bowiem całkowicie nowy ślad. Na dolinę Jonastal jako miejsce ukrycia skrzyń z komnatą kilkakrotnie zwracali uwagę w czasach NRD tamtejsi historycy, publicyści oraz tak zwani poszukiwacze skarbów.

Jak do tego doszło?

Cofnijmy się przeto do Buchenwaldu, gdzie na tamtejszej rampie kolejowej rozładowano kilka lub kilkanaście wagonów z transportu przybyłego 9 lutego 1945 roku z Poczdamu. Część wagonów pojechała dalej na zachód — do Heiligenstadt, a jeden wagon dotarł aż do Volpriehausen koło Getyngi. O tym, co tam się działo, była już mowa.

Zbiory Ericha Kocha i najprawdopodobniej część lub nawet całość Bursztynowej Komnaty przeładowano w Buchenwaldzie na ciężarówkę, które przynajmniej do 12 lutego krążyły po całej Turyngii. W każdym razie 12 lutego koło miejscowości Poelzig urywa się ślad tego transportu...

Część zbiorów zagrabionych w Kijowie przez ludzi Kocha, który obok sprawowania władzy w Prusach Wschodnich był jednocześnie między innymi komisarzem okupowanej Ukrainy, odnaleziono po wojnie w okolicach Gery i zwrócono je prawowitym właścicielom. Biorąc pod uwagę fakt, że przewiezione z Królewca zbiory Kocha znaleziono właśnie tu, władze NRD zarządziły swego czasu w okolicach Gery i Zeit wielkie poszukiwania Bursztynowej Komnaty. Spenetrowano groty,

rozpadliny i ruiny starych zamków, zagładano do bunkrów i schronów. Bez rezultatu. Poza strefą poszukiwań pozostały tylko tereny zajmowane przez ówczesną Armię Radziecką.

Adiutant lotniczy Adolfa Hitlera — pułkownik Nicolaus von Below w swych wspomnieniach z lat służby z boku Fuehrera zanotował na początku 1945 roku: „*W styczniu pojechałem raz jeszcze na teren Harcu i aż do Ohrdrufu w Turyngii. Na tym poligonie wojskowym była w budowie nowa FHQ (Fuehrerhauptquartier czyli Kwatera Główna Fuehrera — przyp. L.A.). Prace posuwały się naprzód bardzo powoli. Nie widziałem żadnego powodu, żeby je przyspieszać.*”

Czy krańcy po drogach Turyngii w połowie lutego 1945 roku konwój samochodów się rozdzielił i pojazdy ze skrzyniami z Bursztynową Komnatą trafiły w końcu na teren FHQ? Na tę niedokończoną kwaterę Hitlera zwrócił uwagę na początku lat sześćdziesiątych pewien dziennikarz z Ilmenau. Gerhard Remdt, bo o nim to mowa, zbierał wówczas materiały na temat zbrodni hitlerowskich w obozie koncentracyjnym S-111, leżącym w rejonie Arnstadtu i Ohrdrufu. Więźniowie z tego obozu zatrudnieni byli przy wykuwaniu w górskim masywie doliny Jonastal podziemnych schronów dla Hitlera i jego świty. W lutym 1945 roku roboty górnicze i budowlane przerwano, nie widząc żadnego sensu ich kontynuowania. Wszak totalna klęska III Rzeszy była już tylko kwestią najbliższych tygodni.

Gerhard Remdt wysunął więc hipotezę, że w gotowych fragmentach niedokończonej kwatery Hitlera, która nosiła roboczy kryptonim „Olga”, ukryto wiele cennych przedmiotów, w tym być może również Bursztynową Komnatę lub jej fragmenty, a także — jak twierdzili świadkowie — całe wagony porcelany, starych mebli i kunsztownych parkietów. Schowki zamaskowano poprzez wysadzenie materiałami wybuchowymi wejść do nich i ewentualnie zaminowano. Według niemieckiego magazynu „Quick”, przed zajęciem doliny Jo-

nastal przez Amerykanów. Niemcy wysadzili w powietrze wejścia do aż 25 podziemnych chodników „Olgi”.

Gdy w NRD głośną stała się sprawa, że Paul Encke zbiera materiały do książki o Bursztynowej Komnacie, Remdt skontaktował się z nim telefonicznie, a następnie wysłał mu 30-stronicowy list. Hipotezę dziennikarza z Ilmenau powtórzył Encke w wydanej po raz pierwszy w 1986 roku książce „Reportaż o Bursztynowej Komnacie”, która natychmiast stała się w NRD bestsellerem. Encke był jednak ofiarą miejsca i czasów, w których przyszło mu żyć (zmarł w 1987 roku) i pracować. Otóż przedstawiając tę hipotezę wyraził jednocześnie wątpliwości, czy hitlerowcy ukryliby skrzynie z komnatą na terenie narażonym na szybki atak wojsk amerykańskich. Wątpliwości te nie mają żadnego uzasadnienia merytorycznego. Niemcy po to ukrywali różne przedmioty i dokumenty, by nie dostały się one w ręce wojsk sprzymierzonych, czy Rosjan, czy aliantów zachodnich. A z dwójga złego lepiej widziani byli Amerykanie niż mordujący w tym czasie ludność cywilną Prus Wschodnich czerwonoarmiści. Z drugiej jednak strony prawdą jest, że Amerykanie ze wszystkich sił parli w kierunku Turyngii w celu ujęcia grupy uczonych niemieckich kontynuujących pod kierownictwem Waltera Gerlacha i Kurta Diebnera prace nad skonstruowaniem bomby atomowej oraz do zajęcia leżącego na północy tego okręgu miasta Nordhausen, w którego pobliżu znajdowała się wykuta w skałach Gór Harcu wielka podziemna montownia rakiet V-2.

Amerykanom rzeczywiście udało się zająć Turyngię, z której potem się wycofali, przekazując te tereny Armii Czerwonej. Zanim to nastąpiło, wywieźli z Nordhausen wszystkie gotowe do wystrzelenia rakiety V-2 i wiele przygotowanych do montażu podzespołów i elementów tej „cudownej broni odwetowej”. Zainterесowali się również podziemną kryjówką Hitlera w dolinie Jonastal. Wielu oficerów amerykańskich było bo-

wiem wręcz owładniętych dążeniem do odnalezienia za wszelką cenę Adolfa Hitlera. Fakt, że fuhrer III Rzeszy w nocy z 30 kwietnia na 1 maja 1945 roku popełnił samobójstwo w obleżonym i objętym zaciętymi walkami Berlinie nie był wówczas znany, a Rosjanie przez długie lata ukrywali przed światową opinią publiczną, iż w ręce czerwonarmistów wpadły zwłoki Hitlera. Amerykanie szukali więc fuhrera, o którym krążyły pogłoski, że z grupą oddanych mu duszą i ciałem ludzi — zażartych nazistów — ukrywa się gdzieś w pokonanych i zajętych przez armie sprzymierzonych Niemczech. Nic zatem dziwnego, że zainteresowali się także doliną Jonastal. Gdy jednak dowiedzieli się, że turyngijską kryjówkę dopiero budowano i Hitler tu nigdy nie był oraz że dojścia do podziemnych sztolni zostały wysadzone w powietrze, przerwali poszukiwania.



Minęło prawie dwadzieścia lat od zakończenia drugiej wojny światowej. Był styczeń 1965 roku. Jeśli wierzyć NRD-owskim poszukiwaczom skarbów, w któryś zimowy dzień bawiące się dzieci znalazły kapsułkę po leku produkcji RFN. Wewnątrz był schowany cieniutki skrawek papieru, a na nim narysowano schemat jakichś podziemi. Od głównego pomieszczenia odchodziły dwa sektory: A i B. Widniał też znak Al-Gold (złoto) i niemożliwe do zidentyfikowania znaki szyfrowe. I zdanie „Pomóżcie nam!”

Tajemnicy kapsułki nigdy nie wyjaśniono. Był to dowcip? A jeśli nie, to skąd się wzięła ta kapsułka? Zgubił ją ktoś, czy może celowo pozostawił w tym miejscu? Znaleźli się też tacy, którzy sugerowali, iż na skrawku papieru mógł być narysowany schemat podziemi niedokończonej kwatery Hitlera w dolinie Jonastal, albo też schemat rozległych piwnic dawnego browaru nieistniejącego dzisiaj zamku pod Plaue nieco na

południe od Arnstadtu, a więc w okolicy, gdzie wykuwano podziemną kryjówkę Hitlera.

W końcu lat osiemdziesiątych Gerhard Remdt powiedział radzieckiemu dziennikarzowi Michałowi Kubiejewowi, że chociaż od dawna zamku już nie ma, ale piwnice przetrwały. Są niemałe, mają ponad sto metrów długości. Podobno tuż przed wkroczeniem Amerykanów Niemcy coś w nich ukryli, po czym zabetonowali ściany, upodabiając je do wyglądu sąsiednich.

MITOMANI I SZARLATANI

Gdy jesienią 1991 roku „Raboczaja Tribuna” poinformowała o rosyjskich przypuszczeniach co do miejsca ukrycia Brusztynowej Komnaty, wskazując na dolinę Jonastal, a za gazetą moskiewską prasa na całym świecie zaczęła pisać o zaginionym skarbie z Pałacu Jekatierińskiego, na scenie zjawił się niejaki Hans Stadelmann. Jego postać, z przekonaniem coś tłumaczająca reporterom, wielokrotnie pojawiała się na przełomie lat 1991 i 1992 na ekranach telewizorów nie tylko w Niemczech, a jego zdjęcia i wypowiedzi przewijały się przez łamy takich dzienników i tygodników, jak „Stern”, „Die Welt”, „Quick”, „The Times” i „Der Spiegel”. Różnie też przedstawiano Stadelmanna. Od enigmatycznego określenia „emerytowany technik budowlany” po zabarwiony emocją, pejoratywny zwrot „żyjący przeszłością zajadły nazista”. Wszystkie zaś czasopisma i interesujące się tą sprawą, stacje telewizyjne nie omieszkały poinformować, że Stadelmann był obywatelem Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Dlaczego zatem Stadelmann stał się aż tak sławny, iż redaktor Anne McElvoy z poważnego dziennika londyńskiego „The Times” pofatygowała się do Weimaru, by wysłuchać tego, co miał jej do powiedzenia stary emeryt? Otóż twierdził on, że wie, gdzie są schowane skrzynie z Bursztynową Komnatą. I nie krył tego, wskazując wprost na Weimar, a ściślej na głębokie podziemia kompleksu budynków znajdujących się przy placu, który ongiś nazywał się Adolf Hitlerplatz, a w czasach NRD-owskich Karl Marksplatz. Kompleks ów zbud-

wano w połowie lat trzydziestych i ze względu na mieszczące się tu różne instytucje hitlerowskie nazwano „Gauforum”. Słowo „Gau” to po niemiecku okręg, który w III Rzeszy był jednostką administracyjnego podziału państwa według struktury NSDAP. W kompleksie tym obok Gauleitungu NSDAP znajdowały się inne urzędy niemieckie, w tym komenda policji i muzeum.

Po obsadzeniu Weimaru przez Armię Czerwoną w 1945 roku w budynkach dawnej administracji hitlerowskiej zainstalowały się różne urzędy radzieckich wojskowych władz okupacyjnych. Rosjanie opuścili je na początku lat pięćdziesiątych, więc już w czasach NRD. Od tej pory gmachy dawnego „Gauforum” uległy pewnej dewastacji i po zjednoczeniu Niemiec przystąpiono do ich remontu. Niejako przy okazji zamierza się również odkryć (ponoć zaminowane) wejście i spenetrować podziemia, rozciągające się na głębokości około dziesięciu metrów pod kompleksem budynków „Gauforum”. To — zdaniem Stadelmanna — istny labirynt z grubymi na metr żelbetowymi ścianami i stropami. Podziemia te wybudowano z przeznaczeniem na schron przeciwlotniczy dla lokalnych dygnitarzy hitlerowskich. I tam ma być ukryta Bursztynowa Komnata.

Tygodnikowi „Quick” Stadelmann powiedział, że 9 lutego 1945 roku ciężarówka ze znakami Szwajcarskiego Czerwonego Krzyża wyruszyła z Królewca, wioząc skrzynie z tym unikatowym dziełem sztuki. Do Weimaru dotarły dwa miesiące później. Skrzynie złożono w podziemnym labiryncie „Gauforum”...

Natomiast Anne McElvoy z dziennika „The Times” usłyszała od Stadelmanna, że interesowała się nim Stasi, osławiona policja polityczna NRD, oferując mu spore fundusze na przeprowadzenie poszukiwań Bursztynowej Komnaty w Weimarze, żądając w zamian przekazania informacji przez niego uzyskanych na temat ukrycia tego dzieła sztuki,

ale on zwlekał, aż nastąpił upadek komunistycznych władz NRD, a więc i ich podpory — Stasi. Stadelmann powiedział również, że najprawdopodobniej między Bonn a Moskwa zawarto jakieś ciche porozumienie, aby tunele pod weimarskim „Gauforum” odsłonić dopiero po 1994 roku, a więc już po wycofaniu z Niemiec wschodnich ostatniej jednostki wojsk rosyjskich. A to dlatego, by uniknąć wzburzenia opinii publicznej, ponieważ — zdaniem emeryta z Weimaru — podziemia mogą kryć również szczątki „ofiar okupacji sowieckiej”.

Jeśli kryją szczątki ofiar, czego rzeczywiście wykluczyć nie można, to jakim cudem Rosjanie nie zainteresowali się leżącymi obok skrzyniami z unikatowym dziełem sztuki będącym ich niekwestionowaną własnością? Jeśli zaś chodzi o to, co napisał „Quick”, to 9 lutego 1945 roku Królewiec był już od strony ładu otoczony szczelnym pierścieniem przez Armię Czerwoną, a ponadto gdyby jakimś cudem udało się ciężarówkom przedrzeć przez linie okrażenia, to droga do Weimaru musiała prowadzić przez tereny polskie, na których operowały już wojska radzieckie.

W opowieściach Stadelmanna nie zgadzają się daty, lekceważy on istotne fakty historyczne, bez znajomości których trudno w ogóle dyskutować o okolicznościach zaginięcia lub raczej ukrycia Bursztynowej Komnaty. Znajac najnowszą i wielce prawdopodobną hipotezę na temat ukrycia gdzieś w Turyni, wskazał na Weimar. I na jedyne w mieście miejsce, które nie zostało po wojnie spenetrowane. Na podziemia pod kompleksem dawnego „Gauforum”.

Rzecz jasna, nie można całkowicie odrzucić hipotezy, że skrzynie z Bursztynową Komnatą mogły dotrzeć do Weimaru. Na to miasto wskazywał bowiem również Paul Encke w książce „Raport o Bursztynowej Komnacie”, twierdząc, iż część zbiorów Kocha przez jakiś czas składowano w Weimarze. A wraz z nimi mogły być też skrzynie z komnatą. I rzeczywiście mogły zostać tam ukryte, chociaż dokonane

przeze mnie odkrycie czyni hipotezę Stadelmanna mało prawdopodobną.

Otóż porządkując materiały do tej książki natrafiłem w moim domowym archiwum na pożółkły wycinek z „Wieczoru Wybrzeża” z końca listopada 1974 roku. Kiedyś wyciąłem zeń artykuł nawiązujący do przeprowadzonych rok wcześniej przez studentów-pletwonurków z klubu „Rekin” Politechniki Gdańskiej penetracji wraku „Wilhelma Gustloff”. O akcji tej — jak już wspomniałem — pisała nie tylko prasa polska, ale także niemiecka, w tym NRD-owski tygodnik „Wochenpost”. Artykuł na ten temat przeczytał... Hans Stadelmann i wysłał



30. Hans Stadelmann pokazuje reporterom „Stern” plan podziemnego schronu pod budynkami „Gauforum” w Weimarze.

Fot. J. Mueller-Schneck („Stern”).

list do redakcji gdańskiej popołudniówki. Przedstawił się jako były marynarz Kriegsmarine, który w styczniu 1945 roku otrzymał rozkaz przeprowadzenia tajnej misji. Jego jednostkę wysłano — jak twierdził w 1974 roku — w kierunku Bornholmu na spotkanie z „Wilhelmem Gustloffem” w celu przejęcia na pełnym morzu jakichś skrzyń. Z usłyszanych rozmów wynioskował, że mają to być skrzynie ze „złotem Bałtyku”. A więc na pewno z Bursztynową Komnatą.

Abstrahując już od tego, że po co miano przejmować na pełnym morzu jakieś skrzynie z transportowca, który płynął przecież do portu w północno-zachodniej części Niemiec, to — przypomnę — Heinz Schoen z biura intendenta „Wilhelma Gustloffa” twierdził, że na tym dawnym luksusowym statku pasażerskim nie było żadnych tajemniczych skrzyń, a tylko osobisty bagaż ewakuowanych z Pomorza Gdańskiego Niemców i personelu floty podwodnej.

Wniosek zatem nasuwa się sam. Hans Stadelmann nic nie wie o miejscu ukrycia Bursztynowej Komnaty. Jeśli nawet jego przypuszczenia nie są w swym generalnym założeniu sprzeczne z ustalonymi faktami i wielce prawdopodobnymi hipotezami co do miejsca ukrycia skrzyń z komnatą, wskazującymi właśnie na Turynię lub sąsiadującą z nią Saksonię, to zdziwienie budzić musi tylko pewność siebie weimarskiego emeryta. Oraz lekceważenie szczegółów. A w nich ponoć tkwi diabeł...

Natomiast już tylko śmiech budzić może działalność innych, pożałujcie Boże, poszukiwaczy Bursztynowej Komnaty. Zwłaszcza tych, którzy lekceważąc wszystkie fakty najpierw pytają o pieniądze. Po prostu, ile dostaną za wydobycie skrzyń ze skarbem z Pałacu Jekatierńskiego. Oto „Skandale” w numerze 27 z 1992 roku śmiertelnie poważnie potraktowały wyznanie dyplomowanego i — jak go przedstawiono — bardzo zdolnego radiestety gorzowskiego, Ryszarda Andruszczaka. Tenże Andruszczak wyznał dziennikarzowi:

— Z badań teleradiestezyjnych wynika, że Bursztynowa Komnata, a przynajmniej jej część znajduje się na obszarze województwa gorzowskiego. Prowadzę badania, szkicuję mapę...

— Co hamuje pańskie poszukiwania? — zapytał Bogdan Nowak ze „Skandali”.

— Jeśli przepisy prawne, regulujące sposób wynagradzania tych, którzy przyczyniają się do znalezienia dóbr kultury o ogromnej wartości zostaną zmienione, być może w niedalekiej przyszłości ta jedna z największych zagadek okresu powojennego zostanie wyjaśniona.

I Bogdan Nowak skomentował tę wypowiedź. Napisał, że „wojewoda gorzowski za znalezienie Bursztynowej Komnaty mógłby dziś (to jest latem 1992 roku — przyp. L.A.) wypłacić nagrodę... 100 000 zł (sto tysięcy złotych). Trudno się dziwić, że pan Ryszard nie spieszy, nawet jeśli wie...”

Nie wie! O znajdujących się w południowej części województwa gorzowskiego fortyfikacjach tak zwanego Międzyrzecckiego Rejonu Umocnionego była już mowa. Radiestete gorzowskiego mogła natomiast „natchnąć” enigmatyczna informacja w kilkakrotnie już tu cytowanej książce Ryszarda Badowskiego „Tajemnica Bursztynowej Komnaty”. Przyczącąc fragmenty listów, które wpłynęły do Telewizji Polskiej po emisji filmu o poszukiwaniach skarbu z Pałacu Jekatierińskiego, Badowski zacytował także korespondencję, którą zamieścili w swej książce z 1961 roku Dmitriew i Jeraszow, a będącą plonem działalności pierwszej kaliningradzkiej komisji do spraw poszukiwań Bursztynowej Komnaty, kierowanej przez Weniamina Krolewskiego. Niejaka Emma Lupp, którą w książce przedstawiono jako burmistrza miasta Koppenbrueck, napisała przed laty:

„Polski jeniec wojenny powiedział mi, że na początku 1945 roku z Królewca wysłano wagon z skarbami sztuki, które potem zamurowano w piwnicach zamku w powiecie Lands-

berg. Polaków, których zmuszono do wykonania tej pracy, wywieziono w nieznanym kierunku”.

Dodam, że Landsberg to dawna niemiecka nazwa Gorzowa Wielkopolskiego.

W swej naiwności Ryszard Andruszczak może rzeczywiście wierzyć, że skrzynie z Bursztynową Komnatą ukryto gdzieś na terenie dzisiejszego województwa gorzowskiego. Jacek Ł. nie był tak naiwny. Na poszukiwaniach komnaty spróbował zbić spory majątek, co prawie mu się udało, wyprowadzając w pole nie tylko dziennikarzy, ale także historyków, biznesmenów i ludzi zainteresowanych zagadkami przeszłości. Wpadł zaś przez 46-letnią gospodynię domową, a Sąd Rejonowy w Warszawie „wycenił” działalność Jacka Ł. na dziesięć lat pozbawienia wolności.

W roku 1979 Jacek Ł. za rozbój i pobicie został skazany na karę dziewięciu lat więzienia. Za kratkami właśnie zrodził się jego szatański w istocie plan utworzenia... Światowego Komitetu Poszukiwań Bursztynowej Komnaty. A pomogła mu w tym informacja, którą przeczytał w wypożyczonej z więziennej czytelnicy gazecie. Któryś z korespondentów prasy polskiej w Londynie informował: „*Za jedyne 65 dolarów London Institut w Wielkiej Brytanii przyznaje dyplomy doktorów honoris causa w dziedzinach: geografia, historia, historia sztuki, biologia, archeologia, astronomia, prawo*”. Nie zastanawiając się długo Jacek Ł. wysłał pod wskazany adres zdobyte w jakiś sposób dolary i wkrótce naczelnik Zakładu Karnego w Czarnem poinformował go, że nadeszła odpowiedź z londyńskiej uczelni, przyznająca mu prawo do tytułu doktora honorowego historii sztuki...

Zanim Jacek Ł. opuścił więzienie, zdażył wysłać około pięciu tysięcy listów do różnych krajowych i zagranicznych instytucji z prośbą o... wsparcie badań naukowych nad Bursztynową Komnatą. A w pierwszych dniach odzyskania wolności w dawnym Domu Kultury Radzieckiej przy ulicy

Foksal w Warszawie zwołał konferencję prasową, na którą zaprosił dziennikarzy PAP, „Słowa Powszechnego”, „Sztandaru Młodych”, „Kraju Rad”, agencji Nowosti i kilku innych redakcji. Przybyli notowali lub nagrywali słowa doktora. „Słowo Powszechne” napisało po konferencji: *„Każdy, kto interesuje się fascynującą tajemnicą Bursztynowej Komnaty, może włączyć się w prace poszukiwawcze. Wystarczy napisać list, by znaleźć się w międzynarodowym gronie poszukiwaczy z RFN, Czechosłowacji, Austrii. Piszcie! Światowy Komitet Poszukiwań Bursztynowej Komnaty, Warszawa, skrytka pocztowa 41. Odpowiemy na każdy sygnał.”*

Darujemy sobie szczegóły działalności doktora honoris causa Jacka Ł. na niwie poszukiwań Bursztynowej Komnaty. Dość stwierdzić, że wielu dało się nabrać na tę działalność, która — z grubsza rzecz biorąc — polegała na wyłudzeniu pieniędzy. Bogaci skapili jednak środków finansowych, więc Jacek Ł. skoncentrował się na współpracy z młodzieżą ze szkół średnich. Zachęceni wizją wielkiej przygody uczennice i uczniowie płacili składki członkowskie ŚKPBK. Ponadto co ładniejsze uczennice Jacek Ł. zapraszał w podróże służbowe. W obskurnych hotelach bynajmniej nie dyskutowano o organizacji wypraw w celu szukania skarbów...

Doniesienie do prokuratury na działalność Jacka Ł. złożyła 46-letnia Zuzanna J. Ta gospodyni domowa okazała się dociekliwsza od wielu intelektualistów i biznesmenów. Zdziwiło ją to, iż prezydent ŚKPBK mianował szefową Biura Prasowego światowej wszak organizacji jej 16-letnią, mającą spore trudności z językiem polskim córkę.

— *I czego ta ciemniaczka* — mówił Jacek Ł. w prokuraturze, mając na myśli Zuzannę J. — *czepia się poważnego naukowca, doktora honoris causa londyńskiego uniwersytetu. Przecież organizacja, której przewodniczę, jest stowarzyszeniem legalnym, zarejestrowanym, działa w oparciu o statut uznawany w kilku krajach Europy...*

Dużo nie brakowało, by Jacek Ł. opuścił prokuraturę wolny i oczyszczony z zarzutów. Zredagowany ze znajomością prawa statut Światowego Komitetu Poszukiwań Bursztynowej Komnaty nie budził wątpliwości. Przedstawione dokumenty i korespondencja również. Z dużą pewnością siebie Jacek Ł. odpowiadał też na wszystkie, nawet najbardziej podchwytliwe pytania prokuratora. Dopiero poproszony o okazanie dyplomu upoważniającego go do posługiwania się tytułem doktora stracił tupet.

— *Dyplom — wycedził przez zęby — znajduje się w moich aktach więziennych w Czarnem.*



Marzec 1968 roku zapisał się w historii Polski brutalnie stłumionym przez milicję i służby specjalne buntem młodzieży akademickiej przeciwko ówczesnym władzom, a zwłaszcza przeciwko wszechwładzy cenzury politycznej, szaryźnie dnia codziennego i brakowi perspektyw na dostatniejsze życie.

W cieniu wielkiej polityki tamtych marcowych dni bez większego echa przeminęła tragedia, do której doszło w okolicach Karpacza. Była środa, 20 marca. Dzień ten był w Karkonoszach słoneczny, prawie bezchmurny. Pogoda zachęcała wręcz do spaceru i wycieczek, mimo że w górach leżała bardzo gruba pokrywa śnieżna, a służby meteorologiczne ostrzegały przed lawinami.

Okolo godziny 10 wyruszyła na spacer grupa obywateli ZSRR przebywająca w Domu Zagranicznej Turystyki Młodzieżowej w Karpaczu. Grupa spacerowiczów składała się z czterestu młodych obywateli radzieckich, jednego Niemca z NRD oraz pilota, mieszkańca Warszawy. Po drodze do grupy dołączyło też kilku obywateli NRD. Szli Białym Jarem i tam dosięgła ich śmierć. Schodząca z gór lawina, której czoło



31. Wyciąganie spod zwalów śniegu ofiar lawiny w Białym Jarze koło Karpacza.

Fotografia E. Wołoszczuka z albumu „Samo życie”.

sięgało dwunastu metrów wysokości, porwała ze sobą turystów. Nie mieli żadnych szans. Dziewiętnaście osób zginęło pod zwałami śniegu...

Minęło dwadzieścia jeden lat. W numerze z 1 kwietnia 1989 roku kombatancki tygodnik „Za Wolność i Lud” zamieścił artykuł emerytowanego pracownika Służby Bezpieczeństwa PRL Stanisława Siorka zatytułowany „Tajemnica Bursztynowej Komnaty — dolnośląski ślad”. Gdy na chłodno przeanalizuje się treść tego obszernego artykułu, dziwić może tylko jedno. Dlaczego redakcja zakwalifikowała do go druku? Wszak trudno wyobrazić sobie większe pomieszanie faktów, hipotez i domysłów z ohydą manipulacją, która w obliczu śmierci dziewiętnastu niewinnych ludzi może być odczytana jako insynuacja.

Za „Nowinami Jeleniogórskimi” Siorek zacytował listę ofiar tragedii w Białym Jarze, zwracając uwagę na dwa nazwiska. Na figurującą pod numerem 15 Ingeborg RINGEL z Zwickau, urodzoną w 1932 roku oraz na umieszczoną pod numerem 18 Bolesława KOROLEWSKIEGO z Warszawy, urodzonego w 1913 roku. I dalej Siorek pisze: *„Nazwiska Ringel i Korolewski napisałem dużą czcionką, gdyż pierwsze ma być pseudonimem, a drugie po usunięciu listery „o” będzie indentyczne jak nazwisko komisarza radzieckiego do spraw odnalezienia komnaty — Krolewskiego. (...) Gdyby nie to nieszczęsne „o”, mielibyśmy niemałą sensację. Ci dwaj ludzie, te dwa nazwiska tak nierozłącznie ze sobą związane poprzez tajemnicę Bursztynowej Komnaty, pojawiają się w Karpaczu; idą osoby je noszące doliną Białego Jaru i tam tragicznie obie, razem z innymi, giną...*

Nie wiadomo, co tu podziwiać? Tupet i bezczelność autora artykułu, czy jego niewiedzę? Abstrahując już od tego, że Siorek uważa Ingeborg Ringel za... mężczyznę, to cały jego wywód oparty jest — oględnie określając — na niezrozumieniu podstawowych faktów z historii ukrycia i poszukiwań Bur-

sztynowej Komnaty. 36-letnią w chwili śmierci turystkę z NRD i 55-letniego mężczyznę z Warszawy nie łączyło nic poza tym, że pierwsza nosiła takie samo nazwisko, jakie kiedyś redakcja „Freie Welt” użyła za pseudonim kryjący Gustawa Wysta, zaś drugi nosił podobne nazwisko do żyjącego sobie wtedy spokojnie w Kaliningradzie Weniamina Dmitriewicza Krolewskiego.

By jednak uwiarygodnić nieco swój wywód S. Siorek sięgnął do rzekomego czy faktycznego raportu PRL-owskiej Służby Bezpieczeństwa. Otóż na dzień przed tragedią w Białym Jarze jakiś agent SB zauważył, że w Karpaczu — przy kawie — pewien obywatel NRD miał przy sobie starą niemiecką mapę Karkonoszy z odcisniętą nań ponoć pieczętą „Gustaw Georg Ringel”. Na mapie zaś „były naniesione kolorowym ołówkiem dwa punkty w rejonie Białego Jaru, oznaczające położenie dwóch prastarych szybów kopalnianych na zboczu Śnieżki, noszących nazwę „Heinrich” i „Gustaw”. Szyby te nie są wymieniane na współczesnych mapach, ale istnieją. Opisał je profesor Tadeusz Dziekoński w swojej pracy pt. „Wydobywanie i metalurgia kruszców na Dolnym Śląsku od XIII do połowy XX wieku” wydanej przez Ossolineum”.

Swego czasu na szyby „Heinrich” i „Gustaw” zwracali uwagę ludzie szukający tak zwanego złota Wrocławia twierdząc, iż mogły być one wykorzystane jako schowki. Nic jednak nie wskazuje na to, że w okolice Karpacza dotarły skrzynie z Bursztynową Komnatą.

Zaś za moralne nadużycie trzeba śmiało uznać następujące zdanie z artykułu Stanisława Siorka w tygodniku „Za Wolność i Lud”: „W Białym Jarze, być może, zginął potomek tego, który ją (to jest Bursztynową Komnatę — przyp. L. A.) ukrył i ten, jak mi się wydaje, który jej szukał”. I tego surowego osądu nie może zmienić tryb przypuszczający zacytowanego wyżej zdania.

BEZ OSTATNIEGO ROZDZIAŁU

Co zatem stało się z Bursztynową Komnatą? W chwili, gdy piszę te słowa, nadal nie jest znana odpowiedź na tak postawione pytanie. Nadal musimy obracać się w sferze mniej lub bardziej prawdopodobnych hipotez. I tylko hipotez.

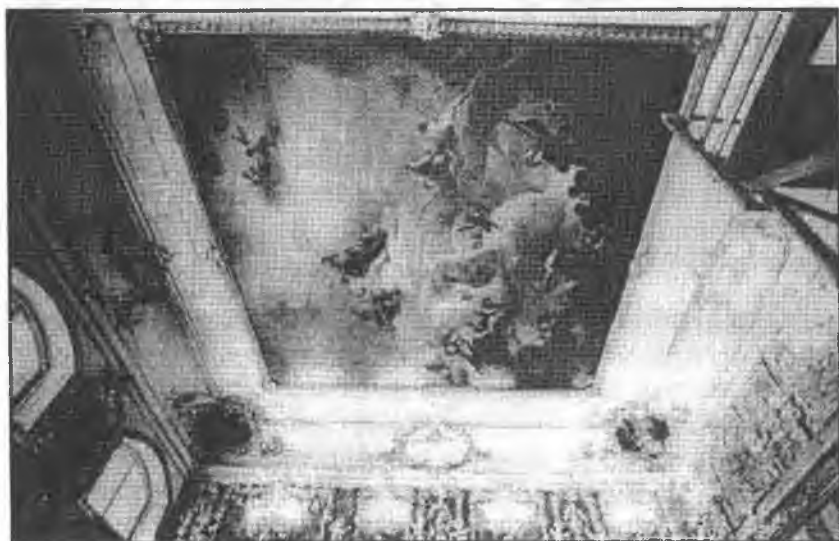
Gdy odrzuci się hipotezy fantastyczne, głoszone często z uporem godnym lepszej sprawy, pozostaną ślady warte sprawdzenia. Po to choćby, by wykluczyć niektóre z nich, pojawiające się niczym bumerang od czasu do czasu. Ale łatwo tak napisać, znacznie trudniej rzeczywiście sprawdzić, a w niektórych przypadkach jest to wręcz niemożliwe, co kryją na przykład lochy pokrzyżackiego zamku w Człuchowie, zasypane fragmenty sztolni w okolicach podwałbrzyskiego Walimia, podziemia twierdz w Kłodzku czy Srebrnej Górze, by ograniczyć się tu tylko do śladów wiodących na obecne ziemie polskie, a zwłaszcza te nazywane odzyskanymi.

Jeśli skrzynie z Bursztynową Komnatą ukryto właśnie w Polsce, a tej hipotezy całkowicie dzisiaj odrzucić nie można, to tylko i wyłącznie na naszych ziemiach odzyskanych. I to jeszcze nie wszędzie. Wszak Niemcy już co najmniej od połowy 1941 roku, wiedzieli, że w przypadku przegrania wojny utracą znaczną część swych wschodnich prowincji na korzyść Polski. W następnych latach ze źródeł agenturalnych oraz oficjalnych stanowisk zarówno głównych mocarstw koalicji antyhitlerowskiej, jak i rządu Rzeczypospolitej na emigracji oraz Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, władze III Rzeszy dowia-

dywały, się, że Niemcy utracą nie tylko całe Prusy Wschodnie, ale także inne swe dotychczasowe ziemie aż do Odry.

Biorąc to właśnie pod uwagę, z góry chyba należy wykluczyć, że skrzynie z Bursztynową Komnatą mogły zostać schowane w miejscowościach, które po wojnie miały znaleźć się w granicach Polski. Nie ukrywano by przecież tak cennego dzieła sztuki na ziemiach, które miano odłączyć od Niemiec. I z tego punktu widzenia trzeba z poszukiwań skarbu z Pałacu Jekaterińskiego wyłączyć od razu wszelkie ślady wiodące do dawnych Prus Wschodnich, do Człuchowa, czy choćby do podziemnego labiryntu fortyfikacji międzyrzeckich, nie wspominając już o ziemiach centralnej Polski, a więc na przykład o okolicach Konewki.

Ale aż do bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy w pierwszej dekadzie maja 1945 roku Niemcy nie znali przebiegu swej



32. Gotowy już plafon w sali Pałacu Jekatierińskiego, którą to salę zdobiła kiedyś Bursztynowa Komnata.

Reprodukcja zdjęcia z tygodnika „Kraj Rad”.

powojennej granicy z Polską na odcinku południowym. Strona polska — o i tym Niemcy wiedzieli — wysuwała postulat, by granica ta przebiegała na Nysie, ale której...

W Berlinie sądzono, że będzie to Nysa Kłodzka. Nikt tam w ogóle nie brał pod uwagę, że Polacy zażądają przebiegu granicy na Nysie Łużyckiej, a szefowie rządów zwycięskich mocarstw na konferencji w Poczdamie wyrażą na to zgodę. Stąd też z miejsc, których nie można dzisiaj wykluczyć jako schowków bardzo cennych przedmiotów, w tym i być może Bursztynowej Komnaty, są ziemie leżące między Nysą Kłodzką i Nysą Łużycką, ograniczone od północy Odrą, a więc znaczna część Dolnego Śląska i dzisiejszego województwa zielonogórskiego. Hipotezy wskazujące właśnie na te tereny, a zwłaszcza na rejon Sudetów, nie są zatem pozbawione racjonalnych podstaw.

To były — zdaniem Niemców — ziemie bezpieczne, którym nie zagrażały ani dywanowe bombardowania lotnictwa alianckiego, ani armie radzieckie. I jak się okazało, w dużej mierze mieli rację. Rejon Sudetów nie był ani bombardowany przez aliantów, ani Rosjanie nie toczyli tam walk, zajmując go praktycznie bez przeszkód już po kapitulacji III Rzeszy.

Georg Stein, o którym kilkakrotnie była w tej książce mowa, wykluczył jednak, by skrzynie z Bursztynową Komnatą mogły zostać schowane na obecnych ziemiach Polski. A więc tego skarbu należy szukać przede wszystkim w Niemczech. Może w dolinie Jonastal, może w Weimarze i innych miejscowościach Turynгии lub sąsiadującej z nią Saksonii?

Czy mają natomiast jakkolwiek sens poszukiwania w Kaliningradzie lub w okolicach dawnej stolicy byłych Prus Wschodnich? Biorąc pod uwagę przedstawione wyżej uwarunkowania geopolityczne, nie mają, ale jest wielu zwolenników tej właśnie hipotezy. Jeśli — rozumują oni — Bursztynowa Komnata przez kilka wojennych lat znajdowała się

w ówczesnym Królewcu, to tam przecież w pierwszej kolejności należy jej szukać.

Czy jednak — jak twierdzą niektórzy — Bursztynowa Komnata mogła zostać zniszczona podczas dywanowych bombardowań Królewca na przełomie sierpnia i września 1944 roku? Mogła, ale jest to tak mało prawdopodobne, że wręcz myśl taką należy z góry odrzucić. A podczas walk o „Festung Koenigsberg” na początku wiosny 1945 roku? Moim zdaniem, skrzyń z komnatą już wtedy

w Królewcu nie było. Wszystko, co było rzeczywiście bardzo cenne, zostało z miasta już wcześniej wywiezione.

I w końcu paść musi i to pytanie, od dawna zadawane sobie i innym przez ludzi interesujących się dziejami Bursztynowej Komnaty. Czy tego arcydzieła sztuki Rosjanie nie mają już od lat, fakt ten ukrywając przed własną i światową opinią publiczną? Na tak postawione pytanie nie znajduję jakiegokolwiek odpowiedzi. Teoretycznie jest rzeczywiście możliwe, że Rosjanie odnaleźli skrzynie z komnatą (na przykład w dolinie Jonastal w Turynii) i z sobie tylko wiadomych powodów fakt ten ukrywają przed światem. Jeśli jednak taki sekret można było utrzymać w tajemnicy za rządów komunistów, to wątpię, by było to możliwe w czasach, gdy Rosjanie ujawniają nie takie tajemnice państwowe...

Jedno z najpiękniejszych i najcenniejszych dzieł sztuki, które kiedykolwiek wyszło spod ręki człowieka, oficjalnie uważane jest za zaginione. Wprawdzie nie ono jedno zaginęło



33. Oryginalna ozdoba z Bursztynowej Komnaty, odnaleziona w zbiorach Ermitażu.

Reprodukcja zdjęcia z tygodnika „Kraj Rad”.

w zgoła tajemniczych okolicznościach podczas drugiej wojny światowej, ale tylko Bursztynową Komnatę uważano za ósmy cud świata. To nie był obraz, który można było przemycić pod płaszczem, albo w walizce wywieźć skrycie zrazu z terenów objętych działaniami wojennymi, a potem w ogóle z Europy. To było kilkadziesiąt sporych rozmiarów skrzyń!

A zatem jednak Bursztynowa Komnata musiała zostać ukryta. Gdzie? Odpowiedź na to pytanie znajduje się — na co wiele wskazuje — w Monachium. Tam bowiem jest supertajne archiwum, do którego zbiorów nie ma dostępu nikt postronny. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych indagowany w tej sprawie przedstawiciel władz RFN tłumaczył dziennikarzom, że sprawa radzieckich dzieł sztuki, które w czasie wojny znalazły się w Niemczech, może być rozważana wyłącznie pomiędzy urzędowymi placówkami RFN i ZSRR. Tygodnik „Die Zeit”, który w 1984 roku zacytował tę wypowiedź, z przekąsem zauważył, że również alianci zachodni nie przekazali Archiwum Federalnemu wszystkich zabezpieczonych w 1945 roku dokumentów dotyczących miejsc składowania dzieł sztuki.

Przez lata twardo milczeli także byli oficerowie Wehrmachtu i SS, a ci jeszcze żyjący nadal milczą na temat przeprowadzanych pod koniec wojny akcji ukrywania różnych skarbów, zasłaniając się złożoną kiedyś przysięgą na wierność... fuhrerowi i Rzeszy.



Czy kiedyś otrzymamy odpowiedzi na stawiane w tej książce pytania? Czy za życia pokolenia pamiętającego jeszcze drugą wojnę światową ujawniona zostanie tajemnica Bursztynowej Komnaty? Czy zostanie ona ujawniona kiedykolwiek?

Wiem tylko jedno. Do odbudowanego ze zniszczeń wojennych Pałacu Jekatierńskiego Bursztynowa Komnata wróci

na pewno. Być może, gdyby nie zamęt, anarchia i bieda towarzysząca rozpadowi Związku Radzieckiego, byłaby tam już w 1992 roku. Nie, nie oryginał, lecz wierna kopia dzieła Gottfrieda Wolfframa, Andreeasa Schluetera, Ernesta Schachta, Gotfryda Turowa i Warołomieja Rastrelliego. Bowiern na początku lat osiemdziesiątych ówczesne władze radzieckie zrezygnowały z poszukiwań oryginału i nie bacząc na koszty przystąpiły do rekonstrukcji Bursztynowej Komnaty.

Fachowcy z ówczesnego Leningradu, którzy z inicjatywy i pod kierownictwem architekta Aleksandra Kiedrinskiego zabrali się do tej żmudnej pracy, mieli zrazu do dyspozycji kilkadziesiąt czarno-białych zdjęć komnaty i jedno zachowane przezrocze barwne o wyblakłych już ze starości kolorach. Od tego zaczynało, mając w dodatku świadomość, że porywają się z motyką na Słońce.

Nie brakło im natomiast — przynajmniej do momentu rozpadu ZSRR — pieniędzy oraz surowca, ponieważ najzasobniejsza w bursztyn kopalnia znajdowała się w nadbałtyckiej części Związku Radzieckiego. Odzyskanie niepodległości przez Litwę, Łotwę i Estonię nie odcięło Rosjan od źródeł jantarowego surowca, gdyż w ich rękach zostały okolice dzisiejszego Kaliningradu, a właśnie na wybrzeżu bałtyckim dawnych Prus Wschodnich znajdowały się od wieków najślawniejsze w świecie kopalnie bursztynu.

Rosyjscy restauratorzy od początku zdawali sobie sprawę, że największą dla nich trudnością będzie maksymalnie wierne odtworzenie Bursztynowej Komnaty. Wszak na przykład wiele rodzajowych scenek na wykładzinach komnaty można było oglądać tylko przez... szkło powiększające. Co scenki te przedstawiały? Tego na zachowanych fotografiach nie widać.

W pierwszej fazie rekonstrukcji wielce przydatne okazały się odnalezione barwne akwarele malowane w różnych okresach we wnętrzach Pałacu Jekaterinskiego. A także siedemdziesiąt

drobnych, lecz praktycznie bezcennych kawałków oryginału tego arcydzieła sztuki. Zbierano je w latach międzywojennych, gdy z niewłaściwie konserwowanej komnaty odpadały od dębowych desek panelu fragmenty jantarowych ozdób. Właśnie one — obok zdjęć i akwarel — stały się podstawowym materiałem wyjściowym w żmudnym procesie rekonstrukcji. Można było zbadać gamę barw i sposoby obróbki bursztynu przez osiemnastowiecznych mistrzów.

Z pomocą pospieszyła też Polska. W drugiej połowie lat osiemdziesiątych zaproszono rosyjskich fachowców, by mogli zebrać doświadczenia dawnych mistrzów obróbki bursztynu, zakłete przede wszystkim w unikatowych zbiorach Muzeum Zamkowego w Malborku, gdzie znajduje się wspaniała kolekcja wyrobów z jantaru. Któryś z Polaków zwrócił też Rosjanom uwagę na zapis w... „Encyklopedii staropolskiej” Zygmunta Glogera o stosowanych przed wiekami metodach barwienia bursztynu. Było to odkrycie bardzo ważne, ponieważ właśnie z uzyskaniem odpowiednich kolorów jantarowych wykładzin — od cytrynowego do wiśniowego — mieli oni spore kłopoty.

Gdy w przedostatnim dniu 1992 roku piszę te słowa, z Rosji nie nadeszły żadne nowe informacje o losach kopii Bursztynowej Komnaty. Nie udało mi się dowiedzieć, czy prace nad nią kontynuowano po rozpadzie ZSRR i jak dalece zostały one zaawansowane. Na pewno jednak wcześniej czy później zostaną ukończone.

Ludzie, którzy przystąpili do prac nad rekonstrukcją Bursztynowej Komnaty obiecywali, że jej kopia nie będzie się różnić od słynnego oryginału. Lecz jeśli nawet zostanie ukończona i znowu bursztynowe boazerie zaczną zdobić jedną z narożnych sal Pałacu Jekatierńskiego, wprawiając w podziw zwiedzających, to nadal aktualnym pozostanie pytanie:

A co z oryginałem?

Lipiec-grudzień 1992

SPIS TREŚCI

Pod gradem bomb.....	4
Ósmy cud Świata.....	11
List z berlina.....	19
Ukryte bunkry.....	32
Jedno słowo gauleitera.....	49
Na pastwie losu.....	61
Podwodny cmentarz.....	74
Zatopione w mule.....	83
Tajemnica zamkowego wzgórza.....	91
Stare i nowe Ślady.....	101
Zabójstwo ogrodnika spod hamburga.....	119
Plan schickedanza.....	130
Eksplozja w kopalni volpriehausen.....	143
Sekrety doliny jonastal.....	150
Mitomani i szarlatani.....	159
Bez ostatniego rozdziału.....	171
Bibliografia.....	178

Redaktor

ANDRZEJ PIECHOCKI

Opracowanie techniczno-graficzne

JAROSŁAW PIOTROWSKI

JAROSŁAW SZUMSKI

Okładkę według projektu autora wykonał

WITOLD TKACZYK

Skład komputerowy i korekta

DZIENNIKARSKA SPÓŁDZIELNIA PRACY „GŁOS”

© Copyright by Leszek Adamczewski

© Copyright by Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „Głos”

Druk DANMARKON 61-323 P-ń, Rymanowska 29, tel: 798-077.